

HANKA GÓRSKA

Warszawa, Londyn, Los Angeles

Z dziejów polskiej emigracji 17 września 1939 r.

Hanka Górską, z domu Kupisz-Wiltosińska, zmarła 11 lipca 2005 r. w Orange County koło Los Angeles w Kalifornii w wieku 88 lat. Była działaczką polonijną i wielką patriotką. Choć 65 lat swojego życia spędziła poza Polską, tak naprawdę nigdy nie opuściła kraju. Myślami zawsze była w Polsce, śledziła polskie sprawy, wiadomości i doniesienia.

Druga wojna światowa zastała ją w Warszawie, gdzie pracowała w sztabie Naczelnego Wodza Edwarda Rydza Śmigłego. 17 września 1939 r., w dniu napaści Sowieców na Polskę, wraz ze sztabem Naczelnego Wodza przekroczyła granicę polsko-rumuńską. Tydzień później w Rumunii w warunkach polowych odbył się jej ślub z kapitanem Wojska Polskiego Jerzym Górskim. Potem była wspólna ucieczka z obozu dla internowanych w Rumunii, podróż do Francji i do Paryża, gdzie generał Władysław Sikorski tworzył Polską Armię. Gdy w maju 1940 r. Francja poddała się Niemcom, Hanka wraz z mężem i tysiącami innych polskich żołnierzy dotarła do Anglii.

W Szkocji stawiała swoje pierwsze kroki w pracy społecznej, zaopatrując żołnierzy w polską prasę i książki. Organizowała produkcję wełnianych nakolanników, niezwykle pomocnych polskim lotnikom podczas ich nocnych lotów nad Niemcy. Pracowała w Polskim Rządzie na Obczyźnie w Ministerstwie Rolnictwa, potem studiowała architekturę na Uniwersytecie Liverpoolskim, gdzie otwarto Polską Szkołę Architektury. W 1949 r. otrzymała dyplom inżyniera architekta i rozpoczęła pracę przy projektowaniu miast-ogrodów.

Wskutek ponurych wieści o aresztowaniach przez komunistyczny reżim powracających wojskowych, Hanka i jej mąż nie zdecydowali się na powrót do kraju. Postanowili pozostać w Anglii, ale decyzja o likwidacji wojsk polskich oraz opublikowanie przez Kongres Stanów

Zjednoczonych ustawy o przyjęciu do Ameryki 100 tys. polskich wojskowych spowodowały, że latem 1952 r. na statku Queen Mary dotarli do Los Angeles w Kalifornii.

Przez 20 lat pracowała jako architektka i urbanistka. Napisała dwie książki opublikowane przez Delaware Valley w Filadelfii na temat ochrony zabytków historycznych. Jej wiedza w tym zakresie została dostrzeżona przez Smithsonian Institution, które w latach 70-tych wysłało ją do Polski w celu opracowania studium na temat polskich metod konserwacji i odbudowywania historycznych pomników i miast. Pracując zawodowo uzupełniała edukację na wydziale urbanistycznym Uniwersytetu w Filadelfii i na Politechnice Warszawskiej.

Jeszcze bardziej widoczna była jej aktywność i zaangażowanie w polonijnej pracy społecznej. Od momentu przyjazdu do Los Angeles współtworzyła Stowarzyszenie nowej, powojennej, Emigracji. W 1955 r. jako pierwsza kobieta została Prezesem, a później Honorowym Prezesem stowarzyszenia. Organizowała szereg imprez wspierających budowę reprezentacyjnego Domu Polskiego. Była jedną z założycieli Fundacji Jana Pawła II, za działalność w fundacji otrzymała Medal Papieski „Pro Ecclesia et Pontifice”. Razem z grupą Polek i Amerykanek założyła „Helena Modjeska Foundation” i doprowadziła do uruchomienia działającego do dziś Muzeum Heleny Modrzejewskiej w jej starej posiadłości w Orange County w Kalifornii.

W 1977 r. wraz z mężem przeniosła się z Los Angeles do Mission Viejo w Orange County, gdzie po wielu latach wspólnego pożycia małżeńskiego w 1986 r. zmarł jej mąż Jerzy Górski. Hanka Górski odeszła 11 lipca 2005 r. po krótkiej chorobie, w otoczeniu swoich przyjaciół. Jest pochowana obok męża w grobie rodzinnym na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie.

Prezentowane poniżej wspomnienia Hanka Górskiej zostały spisane w 2004 roku, kilka miesięcy przed jej śmiercią w Los Angeles. Wspomnienia są uzupełnione o fragmenty pamiętnika pisanego przez nią w latach 1938–1943, w chwili, gdy w jej życiu dokonywały się wielkie zmiany. Dotychczasowe marzenia i plany przekreśliła II wojna światowa, emigracja z kraju, podróż przez Rumunię, Jugosławię i Włochy do Francji, a następnie do Anglii. To ważne i cenne świadectwo przybliżające tamte dramatyczne zdarzenia, pisane z perspektywy osoby będącej bezpośrednim świadkiem, uczestnikiem i obserwatorem ówczesnych wydarzeń.

WSTĘP

Ponieważ w moim życiu nic się nie dzieje zwyczajnie, normalnie lub typowo, warto jest ulec prośbie mojego siostrzeńca i chrześniaka i zarejestrować to w tym „pamiętniku”. Wojtek Gąssowski¹, gdy dowiedział się o moim ponownym upadku i pobycie w szpitalu (trzy razy na przestrzeni ostatnich 9-ciu miesięcy 2003-04) wziął pod uwagę mój zaawansowany wiek i wpadł w popłoch, poprosił by mu powiedzieć jak poznałam jego wujka i w ogóle wszystko. Ta niewinna prośba może się łatwo zmienić w powieść – rzekę, ostrzegam.

To, co przeczytacie to będą oderwane fakty przeżyte lub zapamiętane przez mnie. Byłam w rodzinie najmłodszym dzieckiem, logiczne, że wszyscy pomarli a ja żyję². Co jest niezwykle to to, że mam poza sobą największą ilość chorób, które powinny były skończyć się śmiercią i jeszcze więcej poważnych wypadków, które powinny się skończyć stałym kalectwem, a jakoś trzymam się na nogach, prowadzę auto, robię zakupy i sama przygotowuję posiłki i sama mieszkam w moim pięknym domu, w pięknym Mission Viejo w jeszcze piękniejszej Kalifornii. Czy mam jakąś misję do wykonania? Zacznę od lat najwcześniejszych, które będę wiązać z latami późniejszymi w miarę przypominania sobie wydarzeń, które mogą mieć ze sobą coś wspólnego. A zatem będzie to „skakanka” i musicie mi to wybaczyć, taki bowiem będzie mój styl.

¹ **Wojciech Gąssowski** – ur. 20 czerwca 1943 w Warszawie, polski piosenkarz, gitarzysta i kompozytor. Siostrzeniec Hanka Górskiej.

² **Hanka Górską** – zmarła 11 lipca 2005 r. w Orange County w południowej Kalifornii. Swoje wspomnienia spisała w 2004 r.

WSPOMNIENIA HANKI GÓRSKIEJ

To, że urodziłam się na Ukrainie w Połtawie wiem, ale niestety nie żyje nikt, kto mógłby mi powiedzieć dlaczego dwie polskie rodziny, w sumie osiem osób: rodzice moi ze starszym rodzeństwem Halą i Edkiem i moje wujostwo: Stanisław i Bronisława Wilkoszewscy z synem Pawłem tam się znalazły? Wujostwo Wilkoszewscy to również moi rodzice chrzestni. Sądząc po moim roku urodzenia i dodatkowych zapisków był to przełom lat 1918-1922. Mogę tylko domyślać się, że ojciec jako inżynier kolejowy mógł być zaangażowany przy budowie kolei. Wiem, że miały tam miejsce działania wojenne, bo obok miejsca jego pracy nastąpił wybuch bomby, czy innych pocisków, od którego stracił słuch i w moich czasach był wiecznym emerytem. Jak długi był nasz pobyt w Połtawie tego nie wiem, był to przełom lat 1918-1922. Pamiętam natomiast dobrze powiązania Połtawy z angielskim Scotland Yard, komendą główną Policji Angielskiej. Jako uchodźcy wojenni, tuż po upadku Francji w czerwcu 1940 r. byliśmy meldowani w Londynie. Sala pełna Polaków, wojskowi i cywile, ustawiają nas w kolejkach, gwar po polski, znajomość języka żadna, pomagają tłumacze, ja w tym gronie najmłodsza, staram się zrozumieć o co pytają, głównie „data i miejsce urodzenia”. Po pewnym czasie notują, że prawie wszyscy podeszli do okienka jako Polacy, a odchodzą jako Russians – bo w Polsce urodzeni, ale pod Zaborem Rosyjskim. Wpadłam w panikę, nie chcę być Rosjanką, a urodziłam się w sercu Rosji na Ukrainie, na mnie kolej: gdzie urodzona? W Połtawie, gdzie Połtawa? W Polsce. Jedyna w tym gronie urodzona w Rosji do dzisiaj we wszystkich dokumentach mam Połtawa – Poland. Na tym się jednak nie skończyło. Po zakończeniu drugiej wojny światowej, a był to rok 1947/48, ogłoszona o lokalnej prasie masowy spis cudzoziemców, a zatem ponowna wizyta w Scotland Yard. Podaję dokumenty i słyszę: „urodziła się Pani w bardzo historycznym mieście – w Połtawie”. Struchlałam, jak ja mu wytłumaczę Połtawę w Polsce? Zaczęłam od komplementu: „jak znakomicie zna Pan historię Europy, jest Pan jedynym Anglikiem, który może się tym pochwalić”. Odpowiedział radosnym uśmiechem i sypnął garstką informacji o Piotrze I, bitwie pod Połtawą, zwycięstwem nad Szwedami (1709 r.). Chwała Bogu, nie zauważył „Połtawy w Polsce”.

Wracam do chronologicznego zapisu moich wspomnień. Dokładnie nie wiem kiedy rodzina wylądowała w Łowiczu. Wujek Wilkoszewski³ miał tam silne powiązania z tym

³ **Stanisław Wilkoszewski** – żył w latach 1872-1929. Zarządzał majątkiem Folwark Łowicki położonym w Łowiczu. Brał czynny udział w życiu publicznym i politycznym Łowicza. Sprawował funkcję Vice-burmistrza, był radnym, prezesem Towarzystwa „Sokół”. Wyróżnił się przekazując do Muzeum Łowickiego szereg cennych eksponatów. Pełny wykaz zawierający 227 pozycji darów został ogłoszony w dzienniku „Łowiczanie” 20 września 1912 r.

miastem, w pięknej łowickiej kolegiacie była Kaplica Zaborowskich ufundowana przez matkę wujka, Zaborowską z domu, sam Wujek był persona grata w Starostwie Łowickim. Z czasem Hala, Paweł i Edek po ukończeniu gimnazjum rozjechali się po świecie, ja pozostałam ta najmłodsza i więcej mieszkałam w domu Wujostwa, niż z rodzicami, u nich miałam własny pokój i własne łóżko. Dla takiego stanu rzeczy było wytłumaczenie: Wujek długie lata chorował na cukrzycę, więcej czasu spędzał w łóżku niż poza nim i moim obowiązkiem było umilać mu ostatnie lata jego życia, a zatem zdawałam mu relacje, co działo się każdego dnia w szkole. Chodziłam wówczas do szkoły Sióstr Bernardynek. Recytowałam wierszyki, śpiewałam, tańczyłam. Zdarzało się, gdy bardzo cierpiał, Ciocia budziła mnie w środku nocy na te występy! Wujostwo mieszkali w pięknej dużej kamienicy, podzielonej na cztery duże mieszkania, dwa na parterze z tarasami i dwa na piętrze z dużymi balkonami. Typowe wysokie pokoje, piękne mieszkania przedwojenne. Półtora kamienicy była wynajmowana, a w drugiej połowie na piętrze mieszkali wujostwo i ja. Natomiast pod nimi, na parterze mieszkały dwie ciotki Wujka, jedna z nich p. Paschalska. Widywałam te panie na tarasie, ale miałam przykazane trzymać się z daleka, bo „są to bardzo złe kobiety”. Z perspektywy lat myślę, że chodziło o podział majątku po śmierci ojca Wujka – Walentego Wilkoszewskiego⁴, który zmarł mając lat 92 i zostawił duże posiadłości, m. in. Folwark „Łowicz” na obrzeżu Łowicza. Miał tylko jednego syna Stanisława – mojego wujka, ale również i kilka sióstr. (Mam nadzieję, że po śmierci wujka właśnie ustały). Ta piękna kamienica została doszczętnie zburzona bombą niemiecką we wrześniu 1939 r. w bitwie o Łowicz.

Wracając do mojego pobytu w domu Wujostwa, do wspomnień, pamiętam, że kilka razy Wujek pouczał mnie, że śpię na łóżku na którym spał Napoleon! To, że Napoleon zatrzymywał się w Łowiczu, gdzie spotykał swoją ukochaną Marię Walewską mieszkającą w pobliskich Walewicach, to wiemy z historii. Notabene Walewice wciąż istnieją, a przy pałacu założono kolonię koni angielskich, ale do dzisiaj nie wiem jaki mogło mieć związek z Napoleonem łóżko, na którym spałam. Byłam wówczas za mała aby o to Wujka pytać. Jedno pamiętam, że po śmierci Wujka właściciele Walewic odkupili od Cioci prawie całe umeblowanie mieszkania, łącznie z moim łóżkiem. Któregoś dnia zakonnica wywołała mnie z klasy i powiedziała, że mój wujek umarł, zapłakaną odprowadziła mnie do domu. Było to moje pierwsze w życiu zetknięcie się ze śmiercią, głęboko to przeżyłam. Do dziś pamiętam salon zamieniony w kaplicę, Wujka

⁴ **Walenty Wilkoszewski** – żył w latach 1819-1914. Pisarz Sądu Guberni Mazowieckiej i Kaliskiej, od 1845 r. Sekretarz Klasy 2 w Biurze Komisji Rządowej Sprawiedliwości (rok 1845), od 1850 r. Sekretarz Klasy 1. Zarządca majątku ziemskiego w Gminie Belono. Właściciel majątku Folwark Łowicki, położonego na terenach przylegających do miasta Łowicz.

w trumnie i tłum odwiedzających przyjaciół. Po śmierci Wujka byłam z osamotnioną Ciocią Bronisławą do momentu likwidacji przez nią mieszkania w Łowiczu i przeniesienia się na stałe do Głowna, gdzie kupiła dość duży teren ze stawem i strumykiem i ładną willą, w której przyjmowała w okresie letnim tłumy gości z Warszawy i Łodzi. Ja wróciłam do domu rodziców.

Myśmy mieli dwu-mieszkaniowy dom na peryferiach Łowicza z dużym pokojem i balkonem. Poddasze było wysłane rok rocznie świeżą słomą na przyjęcie darów z Dąbia. Wspominałam już, że ojciec na skutek utraty słuchu „na stanowisku” otrzymywał dobrą emeryturę. Ponadto po śmierci jego rodziców majątek rodzinny w Dąbiu przeszedł na dwóch synów: Antoni – starszy syn objął gospodarkę, Andrzej – mój ojciec wybrał miasto. Wujek Antoni był zobowiązany brata spłacać i ponadto raz na rok zaopatrywał nas przed zimą w „dary boże”. Trwało to przez lata mojego dzieciństwa i z relacji wujka Antoniego: było to zawsze dla mnie olbrzymim przeżyciem. Gdzieś w październiku lub listopadzie przed nasz dom w Łowiczu zajeżdżał wóz wyładowany po brzegi: ziemniaki, buraki, kapusta, cebula, owoce, no i pościartowany wieprz. Zapasy systematycznie od razu zabezpieczano, a zatem w ogrodzie powstawał kopiec ziemny, a w nim ziemniaki, buraki, etc. Strych pachniał jabłkami, gruszkami i cebulą – wszystko pod słomą. Lodówki wtedy nie istniały (a może istniały, ale u nas w Łowiczu popularne nie były) ale były pod kuchnią piwnice, które utrzymywały zimno, tam poszły mięsiwa i zapeklowane szynki, a w lecie zimne zsiadłe mleko. Z czasem mięso było przerobione przez fachowca na kiszki, salcesony i kielbasy. No i wreszcie robota skończona, towarzystwo zasiadało do sutej i smacznej kolacji. Według relacji Wujka, ja byłam ta jedna niezadowolona: „stanęłaś na paluszkach, żeby było cię widać ponad stołem i z wyrzutem powiedziałaś – nie ma masła ani nic...” Zauważyłam brak masła do świeżo upieczonego chleba, od tego czasu przywożono i masło. A skoro mowa o Dąbiu, dołączę tutaj moje wspomnienia z lat kiedy ten majątek był piękny i zasobny. Jak Wielkanoc, to tylko Dąbie, jak szkolne wakacje, to też Dąbie. Takich Świąt Wielkiej Nocy jak w Dąbiu nie spędziłam nigdzie i nigdy więcej. Ksiądz Proboszcz dobrodziej przyjeżdżał święcić stół do Wujostwa (robi to do dzisiaj). Sądząc po zastawie Ciocia Stefa i jej pomocnicy całą noc nie spali, czego na tym stole nie było? Pośrodku stołu królowało pieczone prosię z jajkiem w zębach. Na podwyższeniu – baranek z masła, super artystycznie wykonany łącznie z chorągiewką przez samą Ciocię, a potem szynki, schaby, kielbasy, kiszki, pasztety, baby lukrowane, strucle, placki, moje ulubione mazurki: marcepanowe, czekoladowe i pomarańczowe. Wszystko wykonane przez Ciocię Stefę lub pod jej okiem przez jej córki Helę i Marysię. Ciągnął się ten stół przez cały pokój, ksiądz go obszedł kilka razy, żeby czegoś nie pominąć, ale myślę, że raczej notował od czego zacząć jedzenie a

do tego jedzenia zjeżdżała się i rodzina i goście w dużej ilości ze wszystkich stron. Co za wspaniała kobieta, ta moja Ciocia Stefa. Pisząc to dochodzę do wniosku, że nie wywodzę się z dużych rodzin, ale ci co byli, to byli super!

Na wakacje wyjeżdżałam z Mamusią często do Zakopanego, z Halą – siostrą do Makowa Podhalańskiego, ale najchętniej przebywałam w Dąbiu. Najmilsze wspomnienia to żniwa, a moim udziałem było zawozić wozem drabiniastym kosiarzom podwieczorek (powoził ktoś inny). Od rana było pieczenie chleba, wspaniały ten zapach. Potem Ciocia Stefa pytała: Haniu, chcesz kosiarzom zawieźć podwieczorek? Tak Ciociu, tak! To zabieraj się do ubijania masła! Świeżutko upieczony chleb, świeżutko ubite moją ręką masło, świeżo zaparzona pachnąca kawa z mlekiem, jazda wozem drabiniastym, radosny krzyk kosiarzy: „podwieczorek jedziel!” To było przeżycie! Zmieniło się wszystko po wojnie. Wujek Antoni umarł, w Polsce Ludowej weszła w życie ustawa zmniejszająca ilość posiadanej ziemi, wprowadzono kołchozy, nic nie wyglądało tak jak przedtem i wszystko inaczej smakowało, autentycznie! Od opuszczenia kraju mojemu Jurkowi stale opowiadałam jaki wspaniały, najsmaczniejszy był chleb pieczony w Dąbiu. W czasie naszej pierwszej po wojnie wizyty w kraju w 1965 r. odwiedziliśmy i Dąbie. Na moją prośbę na nasze powitanie upieczono chleb. Ani chleb, ani kupne masło nie przypominało nic z okresu przedwojennego. Ciocia Stefa to zauważyła i była zdewastowana. Notabene zmarła w 1976 r. w czasie drugiej wizyty w kraju o czym napiszę później, i ja i Jurek byliśmy na jej pogrzebie. Aby zamknąć okres świetności Dąbia wspomnę o dzieciach Stefanii i Antoniego. Najstarszy syn Stefan objął gospodarstwo po śmierci ojca, córka Hela była nauczycielką w gimnazjum, młodsza wyszła za mąż, obie mieszkały w Łęczycy, obie wcześniej zmarły. Kazik, w moim wieku, był profesorem języka francuskiego na Uniwersytecie w Łodzi. Razem się bawiliśmy gdy spędzałam wakacje w Dąbiu. Ciocia czasami zaganiała nas do roboty: dzisiaj gęsi są pod waszą opieką. Gęsi były niesforne, chwila nieuwagi a te już buszowały w kapuście albo w kwiatach. Co pewien czas od strony domu rozlegał się krzyk Cioci: Haniu, Kaziu, gdzie są gęsi? Te nieszczęsne gęsi! Kazik i ja woleliśmy moczyć nogi w stawie.

Wracam do Łowicza. Jestem uczennicą Gimnazjum im. Juliusza Ursyna-Niemcewicza. Wiele lat spędziłam w jego murach, ale wówczas niewiele interesowałam się jego bogatą historią. Musiałam dorosnąć, skończyć wyższe studia i zmienić zainteresowania. Ten piękny zabytkowy gmach zamieniony w gruzy przez bomby niemieckie powstał w XVII wieku wg

projektu słynnego architekta Tylmana z Gameren⁵, początkowo jako seminarium duchowne, później był siedzibą różnych instytucji, dopiero po I Wojnie Światowej powstały w nim dwa gimnazja. Męskie, im. Ks. Józefa Poniatowskiego i żeńskie, im. J. U. Niemcewicza. Wreszcie obecnie, po II Wojnie Światowej ulokowano w nim Muzeum Ziemi Łowickiej. Elementem najbardziej zabytkowym w tym gmachu była i jest pięknie odrestaurowana Kaplica św. Boromeusza. Tyle lat, osiem dokładnie, w niej się modliłam, śpiewałam, spowiadałam, arcybiskup Kakowski bierzmował mnie w niej, a ja pojęcia nie miałam, że jej wnętrze było wypieszczone dłońmi Michała Palloniego z Florencji i że jest jednym z najpiękniejszych zabytków barokowych w Polsce. Była kaplicą wyłącznie dla Gimnazjum Żeńskiego. Gimnazjum męskie miało kościół Pijarów na swój użytek. Nie byle jakie nazwiska miały powiązania z obydwoma gimnazjami; uczniami Gimnazjum Męskiego byli: Józef Chełmoński (1862-65), Stanisław Noakowski (1884-86), Stefan Starzyński (1939) zamordowany przez Niemców Prezydent W-wy, stał na czele obrony stolicy do smutnego końca. Ileż ciekawych wydarzeń miało tu miejsce, o częstym pobycie Napoleona w Łowiczu pisałam, ale sama pamiętam przyjazd i pobyt Wojciecha Kossaka⁶. Przyjechał, aby na gmachu Gimnazjum odsłonić tablicę ku czci Chełmońskiego. Dwa szpalery uczniów i uczennic naprzeciw grupy honorowych gości. Od początku uroczystości padłam ofiarą zainteresowania mistrza pędzla Kossaka. Niedwuznacznie wskazując na mnie rozmawiał o mnie z Dowódcą 10 P.P., który mnie znał, miał córkę w gimnazjum o klasę wyżej, panowie się mile uśmiechali. Speszyla mnie ta sytuacja, koleżanki zaczęły chichotać, po skończonej uroczystości z koleżanką po prostu uciekłam, a szkoda, może byłabym na jego obrazach, jako Hanka Łowiczanka.

Sumując wspomnienia o Gimnazjum pamiętam i inne bardzo ciekawe. Otrzymałyśmy awizo od naszej Dyrektorki, że z wizytą do naszego Gimnazjum zjeżdża z Warszawy Gimnazjum Żeńskie im. Schacht Majerowej wraz z córkami Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, Wandą i Jadwigą. Oczywiście byłyśmy szczęśliwe i dumne, podejmowałyśmy je miło i serdecznie. Czyż mogłam wówczas przypuszczać, że kilkanaście lat później w Anglii, w Liverpoolu będę razem z Jadwigą⁷ studiować architekturę? Życie płata figle i stwarza sytuacje, w które trudno uwierzyć. Jak tu nie wspomnieć faktu, że daliśmy początek grupie Tanecznej

⁵ **Tylman z Gameren** – (1632-1706) architekt pochodzenia niderlandzkiego. Był królewskim architektem Michała Korybuta Wiśniowieckiego, przedstawicielem nurtu klasycyzującego w architekturze dojrzałego baroku, twórcą wielu warszawskich kościołów i pałaców.

⁶ **Wojciech Kossak** – (1856-1942) polski malarz, przedstawiciel nurtu malarstwa o tematyce historycznej i batalistycznej. Autor wielu obrazów przedstawiających wydarzenia z okresu wojen napoleońskich i powstania listopadowego. Wraz z Janem Styką współautor Panoramy Racławickiej.

⁷ **Jadwiga Piłsudska-Jaraczewska** – (1920-2014) polska architekt, córka Aleksandry Szczerbińskiej i Józefa Piłsudskiego, porucznik pilot Wojska Polskiego.

Mazowsze. 10 P.P w Łowiczu miał w programie wielką uroczystość w związku ze swoją rocznicą powstania. Dowództwo zwróciło się do obu Gimnazjów z prośbą o uczestnictwo. Zaczęto od wyłonienia grupy najbardziej urodziwych dziewcząt i chłopców, było nas razem ok. 50-u par. Zaczęły się intensywne lekcje tańca, głównie Polonez i Oberek, trwające ze sześć miesięcy. Ubiór to autentyczne wełniaki. Dowództwo 10 Pułku Piechoty uzyskało zgodę gospodarzy wsi Złaków, słynącej z autentyczności ubiorów łowickich, którzy otworzyli dla nas kufry, same kufry były pięknie malowane, a to co zobaczyliśmy w tych skrzyniach przechodziło wszelkie oczekiwania: wszystko własnej produkcji: pasiaste spódnice, fartuchy i spodnie, bogato dekorowane bluzki, haftowane kamizelki, sznury koralu. Ubierano nas, przymierzano, żeby pasowało, wybrano to, co było najpiękniejsze i świąteczne. Na drogę Złaków, ta piękna łowicka wieś, nas pobłogosławiła życząc powodzenia. Cóż to było za widowisko: orkiestry wojskowe, kapele łowickie, tłumy ludzi z całej Polski, mieszkańcy Łowicza i wsi łowickich i te 50 kolorowych par w polonezie i oberku. Długo o tym mówiono a i ja to pamiętam 70 lat później. Na tle tych wspomnień przychodzi refleksja: dlaczego te wypadki nie były opisywane w lokalnej prasie, nie były fotografowane, nawet jednego zdjęcia nie widziałam, jakże się czasy zmieniły! A skoro o Łowiczu i o fotografowaniu, to wspomnę o pobliskim Nieborowie, siedzibie Radziwiłłów, pamiętam bowiem, że raz w roku otwierali oni bramy dla mieszkańców Łowicza, nie do zamku, ale do słynnych ogrodów – do ARKADII. Łowicz zjeżdżał tam na letni piknik.

Nim „wyjadę” z Łowicza przypomniły mi się wydarzenia i powiązania z ciekawymi osobami, które mogą zainteresować czytających te moje wspomnienia. Rodzice wynajęli mieszkanie na parterze samotnej wdowie, która miała brata kapelana Wojsk Polskich, a on zjeżdżał do siostry na święta. Czekałam na te wizyty, bo zaczynało się od pieczenia ciasta według przepisów Ćwierczakiewiczowej: kopa jaj na kilogram mąki plus mnóstwo wspaniałych dodatków. Z reguły pierwszy wypiek nie udawał się, kończył się zakalcem, a ja to z apetytem zjadałam a p. Zosia zaczynała od początku. Ksiądz dobrodziej też był bardzo miły, uczył mnie jeździć na łyżwach. W zimie nasze szkolne boisko zamieniano na ślizgawkę. Któregoś dnia Mama była wezwana przez dyrektorkę Wandę Roguską, dobra, urocza pani. Doniesiono jej, że Hania z jakimś oficerem „szalała” na ślizgawce. Wybaczono mi, bo to kapelan! A w ogóle to miałam pecha, nie był to jedyny raz, gdy wzywano Mamę! Miałam kilka „serdecznych” przyjaciółek: Krysie Benoit, złapał nas woźny gdyśmy wyskakiwały oknem, wysoko ponad ziemią mogłyśmy kark skręcić, doniósł dyrektorce! Krysia była w klasie najniższą, ja najwyższą. Kiedyś popchnęła mnie, wylądowałam plecami na oszklonej szafie pełnej przyrodniczych eksponatów. Szkło poszło w kawałki. Takich przygód miałyśmy sporo,

ale tym razem same pobiegłyśmy do dyrektorki z płaczem i z przeprosinami. Szczęśliwie mama Krysi była nauczycielką języka francuskiego w męskim gimnazjum, to nam pomagało, rodzice nie zapłacili za te straty. Brat Krysi był później znanym aktorem Filmu Polskiego⁸.

Drugą bliską koleżanką była Marysia Jabłońska, siostra przyszłego premiera Polski Henryka Jabłońskiego, prof. Uniwersytetu Warszawskiego. Dyrektorkę Wandę Roguską widziałam ostatni raz w 1958 r. gdy pojechałam po raz pierwszy po wojnie na pogrzeb mojej Mamy. W tym samym czasie był Zjazd Wychowanków Obu Gimnazjów, nie muszę pisać jak serdecznie byłam witana, jedyna z Ameryki. Pamiętam, że pracowałam wówczas dla Parsons Engineering Company w Los Angeles jako projektant ośrodków mieszkaniowych i rekreacyjnych dla US Air Force Command na Alasce. Przez wyjazd do komunistycznej Polski straciłam Security Act, m. in. dla własnego bezpieczeństwa! W Pałacu Mostowskich indagowano mnie co robię. Powiedziałam, że projektuję domy dla robotników! A skoro jestem w Łowiczu, to czas opowiedzieć o historii poznania mego późniejszego męża Jurka.

I tak wreszcie docieram do najważniejszego wydarzenia w moim życiu, okoliczności poznania mego przyszłego męża, towarzysza życia poprzez 47 lat. Byłam wówczas uczennicą 5-tej klasy gimnazjum, maturę uzyskiwało się po 8-iu klasach. Razem z siostrą i jej córeczką (3-letnią) powróciłyśmy z Zakopanego. Często albo z Mamą albo z siostrą spędzałam wakacje albo w Zakopanem albo w Makowie Podhalańskim, pamiętam nazwę willi w której mieszkaliśmy: „Albatros”. Niewiele ludzi w przedziale 2-giej klasy, byłyśmy same, gorąco, okna, drzwi pootwierane, leżę patrząc się na mijające widoki. Hala siedzi przy drzwiach, Krysia śpi, ktoś przechodzi korytarzem, zatrzymując się mówi: „ta panienska powinna grać na fortepianie z takimi długimi palcami”. Podpierałam sobie głowę rękoma, uśmiechnęłam się nie wiedząc, jaka powinna być moja reakcja. Hala z miłym panem zamieniła kilka słów. Gdy poszedł powiedziała: czy ty wiesz, kto to był? Władysław Raczkiewicz, Marszałek Senatu”, później był w Rządzie Wolnej Polski na Emigracji w Londynie, sprawował urząd Prezydenta Polski. Widywałam go, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby mu to przypomnieć. Miły uprzejmy Pan! A propos komplementów, jak inna na nie reakcja! W Polsce zaprzeczać – jaki Pan uprzejmy, a w Anglii i w Ameryce należy podziękować :”thank you very much”.

Przed wojną podróż z Zakopanego trwała długo. W Łowiczu wylądowałyśmy zmęczone, poszłyśmy spać. Około południa miałam dość, ubrałam się i opowiedziałam Mamie jak tam było, że Hala mnie męczyła, bo wspinała się na góry i wrzeszczała na całe Zakopane

⁸ **Ludwik Benoit** - ur. 18 lipca 1920 w Wołkowysku, zm. 4 listopada 1992 w Łodzi – polski aktor teatralny i filmowy.

„Haniu, gdzie jesteś?”, ja wciąż na dole krzyczałam „No idę, idę!”. Po dobrym obiedzie oprzytomniała Hala i namówiłam ją na złożenie wizyty jej koleżance gimnazjalnej Zosi Gierasiewicz – jej ojciec miał cukiernię na Rynku w Łowiczu. Lubiłam te wizyty a jeszcze więcej dobre ciastka. Ponadto spodziewałam się spotkać koleżanki. Poszłyśmy i ku mojemu rozczarowaniu tak wyludnionego miasta, jak tego letniego popołudnia, nigdy przedtem nie widziałam. Ulica Podrzeczna, popularny deptak nad Bzurą i Rynek – puste! Tym bardziej uwaga nasza skupiła się na jednej osobie: wysoki, przystojny porucznik z pejczem w ręku, obwieszony torbami. Zaczęła się zabawa, wymijanie się, oglądanie nieciekawych wystaw, nieśmiałe uśmiechy, aż wreszcie pan porucznik zastąpił nam drogę z notesem w ręku, zasalutował mówiąc: „zbieram autografy od pięknych pań, mam nadzieję, że Panie mi nie odmówią”. To było rozbrajające. Panie nie odmówiły, poszły z porucznikiem na kawę i ciastka do kawiarni w Saskim Ogrodzie. Dowiedziałyśmy się, że w okolicy Łowicza mają miejsce manewry 2-go Pułku (Dywizjon Artylerii Konnej w Warszawie), pod dowództwem ideału żołnierza: generała Wieniawy Długoszowskiego. Koledzy zmęczeni śpią a pan porucznik postanowił zwiedzić Łowicz. Rozwiedziona, ale wciąż młoda i ładna siostra uwodziła porucznika, ja 15-o latka przeżywałam w tym okresie serię nieśmiałości i rumieńców. Wymienili adresy i na tym to miłe spotkanie w Łowiczu skończyło się. Zapomniałam.

Kilka lat później, już po maturze, pojechałam do Warszawy. Na głównym dworcu w Warszawie ktoś chwycił mnie za rękę, był w wielkim pośpiechu: „my się znamy, co Pani tu robi?” Zadyszany Pan Porucznik z Łowicza, obarczony paczkami, pudełkami czekoladek od Wedla, łapał pociąg do Famulek aby spędzić weekend z rodziną tam przebywającą na wakacjach. „Nie mogę rozmawiać, pociąg mi ucieknie, proszę o telefon, nie możemy się zgubić”. Zanotował telefon i pojechał. Jak tu nie wierzyć w przeznaczenie? Wówczas w Warszawie zatrzymałam się u Lutki Czekay, jej siostra Janeczka była żoną Pawła Wilkoszewskiego tego z Gdyni. Jurek istotnie po kilku dniach zadzwonił, ja wciąż nie traktowałam tego poważnie, może ze względu na znaczną różnicę wieku, która wówczas była zauważalna, później zaginęła. Spotykając się rozmawialiśmy o Hali, wciąż myślałam, że jest nią zainteresowany. Nie potrzebowałam zbyt wiele czasu, żeby zmienić zdanie i przekonać siebie, że to ja i tylko ja jestem przedmiotem jego zainteresowania. To, że mnie się podobał, nie podlegało dyskusji, przystojny, pewien siebie, artylerzysta, a ja panienka z prowincji, wychowana w domu, gdzie dzieci siedzą cicho bo mówią starsi, gdzie dziecku nie mówiło się, że jest ładne, bo mu się w głowie przewróci. To był inny świat, gdy miałam być o 7-ej w domu, to ostatni kilometr biegłam, żeby być o 7-ej.

Zaolzie, 1938⁹ – Bogumin¹⁰

Grupa z nas wyjechała na własne życzenie. Ze znajomością języków obcych, mój niemiecki! Ponadto, wysoka gaża. Chciałam się szybko wzbogacić!!!

Poniedziałek, 12 grudnia 1938

Wypominała mi, moja słodycz, w którymś ze swych listów, że nie chcę jej pisać stylem pamiętnikowym, a jeszcze do tego nie piszę codziennie swej książki życia, ew. książki swego życia – co kto woli... Nie będę pisać dziś dużo, bo jest już dość późno i spać mi się chce, ale uroczyscie przyrzekam sobie, że choć kilka słów, ale napiszę codziennie. Robię to tylko dla Ciebie, mój słodki Szczeniaczku, nie jest to z mej strony poświęcenie a tylko chęć zrobienia Ci przyjemności. Wiem, że w ostatnich czasach wiele nerwów straciłeś przeze mnie i chcę, choć w części, zmazać moją winę, choć takimi drobnymi uczynkami, jak pisanie pamiętnika, układanie budżetu, itd.

Zmęczona dziś trochę jestem, bo rano, jak zwykle, orka w biurze, a po przyjściu do domu, spożyciu obiadu, zabrałam się gorliwie do studiowania ksiąg rachunkowych i - o dziwo! – po dłuższym rozpatrywaniu, udało mi się zgłębić ich tajemnicę. Po wpisaniu wydatków, zabrałam się do przepisów kulinarnych, podzieliłam sobie zeszyt na szereg działów i wpisuję różnego rodzaju przepisy w odpowiednie działy.

Myślę, że gdyby Jureczek mnie tu widział taką zapracowaną ucałowałby mi pyszczek... a właśnie teraz po tak ciężko przepracowanym dniu mam wielką ochotę wypocząć... w tych najśłodszych dla mnie na świecie ramionach... Wiem dziś jedno, że zrobił mi mój chłopaczek ogromną przyjemność przysłaniem tym brulionów, ołówków, papierów, a nawet tymi książkami rachunkowymi!

Z przyjemnością dziś pracowałam i grzebałam się przez całe pół dnia w tych nowościach... przypominają się człowiekowi dawne dobre czasy, gdy z

⁹ **Zaolzie** – potoczna nazwa części dawnego Śląska Cieszyńskiego. 2.10.1938 r. oddziały Wojska Polskiego witane owacyjnie przez ludność polską, wkroczyły do należącego do Czechosłowacji Zaolzia. Polacy stanowili tam większość mieszkańców. Dwa dni wcześniej, 30.09.1938 r. Wielka Brytania, Francja, Niemcy i Włochy podpisały w Monachium układ, który pozbawiał Czechosłowację części jej terytorium. W wyniku układu Niemcy uzyskały ziemie na pograniczu czesko-niemieckim, nazywane Krajem Sudeckim. Tego samego dnia polski minister spraw zagranicznych Józef Beck zażądał od Pragi, by w sposób równoprawny potraktowała polskie żądania dotyczące Zaolzia. Prezydent Benesz wyraził wstępną zgodę na zmianę granicy. Wojsko Polskie zajęło Zaolzie między 2 a 11.10.1938 r. Zaolzie weszło w skład województwa śląskiego.

¹⁰ **Bogumin** – miasto na Śląsku Cieszyńskim, w kraju morawsko-śląskim przy granicy z Polską.

teczką pod pachą ganiało się do szkoły, zdobywać wiedzę. Proszę tylko Boga, żeby to nie był słomiany zapal i żeby moje lenistwo (troszeczkę) nie wzięło góry nad dobrymi chęciami.

Jurek wkrótce przedstawił mnie swojej rodzinie, wykorzystał fakt, że rodzina była razem na wakacjach letnich w Józefowie, gdzie wynajmowali willę. Była Mama Jurka, siostra Zosia z mężem Stanisławem Wyrzykowskim (w czasie okupacji niemieckiej wywieziony z Warszawy przez Niemców zaginął bez wieści. Zocha więcej go nie widziała). Była najmłodsza siostra Jurka Tola i jej narzeczony Stefan Gąssowski, był młodszy brat Jurka Janek i jego narzeczona Zosia. Razem studiowali i ukończyli Wyższą Szkołę Handlową w Warszawie, rodzina już ją znała z poprzednich wizyt. Ja byłam ta jedyna obca i nieznaną. Nie muszę tłumaczyć jak ja się czułam, pocieszałam sama siebie, że w analogicznej sytuacji wszystkie dziewczęta czują się podobnie. Wszyscy starali się być mili, może poza Zosią, która była ważna i sztywna, ona po SGH, a ja tylko po maturze, a może mi się tylko wydawało! Najsympatyczniejsi byli Stach i Stefan. Pamiętam powrót z tego weekendu do Warszawy pociągiem. Cała ta podmiejska kolejka pokładała się ze śmiechu, gdy Stefan z Jurkiem wystąpili w charakterze bohaterów z felietonów Wiecha, ci razem byli przezabawni, urodzeni komicy.

Czwartek, 15 grudnia 1938

Rano miałam ogromnie ciężki dyżur, dzwonili bardzo, a poza tym musiałam ustawiać rozmowy międzymiastowe, jakiś dziki prowincjonalny zwyczaj. Od samego rana spotkał mnie zawód, bo szłam do biura z tym przekonaniem, że czeka już na mnie list od Jurka, lecz mimo mych skrupulatnych poszukiwań, nie znalazłam go. Zasiadłam więc z ciężkim sercem do łącznicy, lecz około 9 przychodzi jedna z urzędniczek i wręcza mi pokwitowanie na przesyłkę poleconą. No, ulżyło mi oczywiście, jak zwykle list polecony otrzymałam później niż normalny.

Zastąpiono mnie na chwilę i pobiegłam go odebrać. List owszem, objętościowo poważny, lecz treść jego nie zadowoliła mnie, pozostawił po sobie jakiś przykry żal w sercu, a dlaczego, nawet nie umiem na to pytanie odpowiedzieć. List był, jak wszystkie listy – miły, ale widocznie niedostatecznie czuły, nie taki kochany i słodki jak wiele liścików od mego Słonka, a może to zazdrość z powodu tej Kleopatry... czarującej? ...

Całe popołudnie spędziłam w domu nad szyciem, pakowaniem się, praniem, no i teraz po kąpieli idę spać... a w ogóle to jestem trochę nieprzytomna, ale cóż się dziwić, już jutro stop... nie piszę więcej, bo boję się żeby jakieś złe fatum nie stanęło mi na przeszkodzie!...

Wtorek, 20 grudnia 1938

Nie pisałam cztery dni, ale nie moja w tym wina, na przeszkodzie stanął mój wyjazd do Warszawy. Nie będę opisywać dokładnie mego pobytu u Juras, jedno mogę powiedzieć, że te cztery dni, to były naprawdę cztery godziny..., minęły jak piękny sen..., a teraz cóż? – pozostała pustka i wspomnienia...

Juras, jak ja tęsknię za Tobą, żebyś Ty wiedział, mój maleńki, jak mi źle tu bez Ciebie... siedzę tu smutna, cierpiąca i zdenerwowana. Dlaczego smutna? – to jasne: byłeś ty i ja, teraz jestem tylko ja, była Warszawa, teraz są tylko Dziedzice! Dlaczego cierpiąca? – od dwóch godzin boli ogromnie mnie ząb, od zęba głowa, aż w skroniach huczy, i ostatnie pytanie, dlaczego zdenerwowana? – nie pisałam tego Jurasowi bo znowu zadawałby sobie pytanie, dlaczego nie umiem zjednać sobie mych władz.

Otóż, o 17-ej zasiadam do łącznicy, koleżanka, którą zmieniałam orzekła, że naczelnik pytał, czy ja już wróciłam? – zaraz więc zadzwoniłam do niego, bo naprawdę nie wiedziałam o co mu chodziło. A ten na mnie z buzią, dlaczego po przyjeździe z Warszawy nie zameldowałam mu się? – oczy zrobiły mi się okrągłe ze zdziwienia, bo przecież w Warszawie nie było tego zwyczaju, powiedziałam mu też spokojnie, że nie wiedziałam nic o tym, a on na to, że jeżeli chodzi o to, co się należy urzędnikowi, to ja wiem dobrze, lecz nie wiem jakie są obowiązki jego.

Zdenerwowałam się tym tak okropnie, że ręce mi latały jak w febrze. Ząb mnie rozbolał jeszcze więcej, że naprawdę męką był dla mnie ten dyżur. Wieczorem zadzwonił doktor, orzekł, że tęsknił ogromnie, pocieszał mnie żeby się nie martwić, zapytywał, czy ja za nim choć troszkę tęskniłam, oczywiście zapewniłam go, żeby się nie obawiał, bo co do tego to... wcale.

Tak się zakończył ten smutny wtorek, dzień, który według przepowiedni, ma być moim najszczęśliwszym dniem w tygodniu. Dziękuję, więcej takich, a człowiek w bladego trupa może iść.

Następna wizyta była w Łowiczu. Jureczek zażądał poznania moich rodziców, to spotkanie było skromniejsze i bardziej stonowane. Hala mieszkała w Łodzi, Edek był gdzieś na urlopie. Byli rodzice i był smaczny obiad i Jurek wykorzystał to i oficjalnie poprosił rodziców o moją rękę, zawsze był korekt i przestrzegał przyjętych obyczajów.

Poniedziałek, 9 stycznia 1939

Dziesięć dni, całe długie dziesięć dni nie pisałam nic w moim pamiętniczku, a dlaczego? Cóż za przyczyna tego milczenia? – otóż, brak czasu, bo przez te całe dziesięć dni gościłam u siebie Jurka! – tak, to nie żart, to prawda! Przyjechał 30. tzn. w piątek około 20-ej wieczorem. Zapukał w okno, ja siedziałam na leżaku haftując serwetę, zdrętwiałam na moment, wiedziałam, że to on... erce mi bić przestało, a nogi się uginały, gdy szłam otworzyć drzwi...

Przyjechał pijany, tak to również prawda, ledwie trzymał się na nogach... już minęło od tego dnia dziesięć dni, nie umiem już dzisiaj odtworzyć tego co czułam tego wieczoru. Jedno wiem, że drugi raz nie chciałabym tego przeżywać. To było wszystko straszne i bolesne zarazem. Przede wszystkim dobijała mnie świadomość, że przyjechał po pijanemu, tzn. że gdyby był trzeźwy, toby tego nie zrobił?... a po drugie wstyd. Wstyd przed gospodynią, bo niestety nie udało mi się ukryć tego przed nią, sam się zdradził witając się z nią wylewnie po pijanemu. Powiedziała mi to, gdy wyszłam do przedpokoju i nie wiem z jakiego powodu wprowadziło ją to w doskonały humor.

Mnie nie było do śmiechu tego wieczoru... uparł się by iść do hotelu. Nie chciałam do tego dopuścić, jedno, że prawdopodobnie by o własnych siłach do niego nie doszedł, tam by go mogli ograbić z pieniędzy, a trzecie nie chciałam dawać wiele do myślenia mojej gospodyni. Za pierwszym swym pobylem zatrzyma się u mnie, a teraz nie chce?.. no i wreszcie miałam błogą nadzieję, że po wytrzeźwieniu dojdziemy do jakiegoś porozumienia.

Oczywiście, nasłuchalam się dużo różnych rzeczy a propoz mego „prowadzenia się” w Boguminie. Że chodziłam codziennie na spacer ze Stefanem, (?), że płacił za mnie po 50 zł rachunki, że zadłużył się i dlatego musiał mnie rzucić, no a jeszcze podobno wie o wielu gorszych znacznie rzeczach, ale nie chce o tym mówić... (?) Oczywiście, początkowo słuchałam tych opowiadań jak bajki o żelaznym wilku, później poczułam żal, bezsilną złość, bunt, że nie jestem w stanie udowodnić Mu, że nie było tak jak mu opowiadają, że nie ma w

tym wszystkim cienia prawdy, a nade wszystko żal połączony z niechęcią do Niego, że mógł w coś podobnego uwierzyć, i że jeszcze chodzi, szuka, bada, a mnie nie zapyta, jak się rzecz miała faktycznie, a nawet jeżeli powiem Mu, że było inaczej, przyjmie to z niewiarą.

Jakże podły jest ten świat i ludzie, ale nie odbiegajmy od tematu. Otóż, tego wieczoru, który chciałabym jak najszybciej wymazać z pamięci, chciałam Go zatrzymać, ale natrafiłam na opór z jego strony, a jednocześnie nasłuchawszy się tyle różnych rzeczy, nerwy miałam jak postronki. Długo wstrzymywałam się od płaczu, ale w końcu nie wytrzymałam. Zrobiłam głupstwo, bo wywołało to fatalny skutek, mianowicie zaczął pić, no a co było dalej, to łatwo sobie jest wyobrazić. Był zupełnie nieprzytomny. Mówić w ogóle nie mógł. Posadziłam go z trudem na krześle, bo bałam się, że spadnie, a i tu musiałam go podtrzymywać, bo się wciąż przechylał z jednej strony na drugą. Później zaczął odbywać podróż..., pobiegłam po kubek, ale było za późno. Serwetę zabrudził, bo podłoga to głupstwo.

Wtedy weszła gospodyni, by mi pomóc. Zaczęłam go rozbierać, ogromnie ciężko mi to szło, przeniosłam go przy jej pomocy na łóżko. Zrobił się jak kłoda. Zaczęłam go rozbierać, to drugi raz zaczął „jechać”..., nie chciałam, żeby zabrudził pościel. Z trudem go podniosłam, podstawiłam kubek i jakoś, przytrzymując mu głowę przejechał się, i wtedy rozebrawszy go zupełnie, zaczęłam robić porządki koło jego garderoby, bo wszystko było brudne i poplamione. Uporządkowałam pokój i poszłam spać, by rano na 7-mą wstać do biura. Długo jeszcze nie mogłam zasnąć.

Chroń nas Boże od zazdrosnych ludzi! Nie myślałam o tym, jak będzie? Lepiej czy gorzej, pomodliłam się i oddałam los swój i Jego w ręce Boga, bo cóż tu pomogą moje łzy. Tak będzie, jak Bóg zechce. I dziwna rzecz, mimo tylu przykrości jakie mi wyrządził swoim listem i tym przybyciem w takim stanie, nie miałam do niego żalu, a wręcz przeciwnie, wiele miałam dla Niego tkliwości. Chciałam mu jakoś ulżyć, tak się nim opiekowałam, jakby swoim synem. Wtedy właśnie wydawało mi się, że ja jestem dorosłą, poważną osobą, a on taki bidulek, bezradny, chory...

Ciekawa też byłam jak się zachowa, gdy wytrzeźwieje. Z niepokojem o tym myślałam, ale obawy moje były nieuzasadnione. Rano, gdy weszłam do pokoju, przywitał się ze mną milutko, nic oczywiście nie pamiętał z tego, co było

wczoraj. Dziwił się, jak sobie dałam radę z przeniesieniem go na łóżko, z rozebraniem go. Zapewniłam go, że nie sprawiło mi to wiele trudności, przygotowałam mu śniadanie i poszłam do biura.

O pierwszej wyszedł po mnie, poszliśmy kupić parę drobiazgów, a wieczorem pojechaliśmy do Katowic. Był to przecież Sylwester. A więc byliśmy na balu pocztowców, gdzie mieliśmy się spotkać z sekretarzem dyrektora, p. Spiankiem, ale nie zastaliśmy go tam. Bawiliśmy też b. krótko, po czym poszliśmy do Cafe Club i tu witaliśmy Nowy Rok. Wzruszona byłam w tej chwili, bo tak pragnęłabym ten nowy rok spędzić bez burz, nieprzyjemności, w zgodzie i miłości razem z Nim, żeby te wszystkie złe chwile już były poza nami, żeby nam ze sobą było dobrze. Nie umiałam i nie miałam siły wyrazić słowami tego, co czułam, a chciałabym się tak wtedy przytulić do Niego, spojrzeć głęboko w oczy, żeby mógł w nich wyczytać to wszystko, co nie byłam w stanie mu powiedzieć.

Stamtąd poszliśmy do Astorii jeszcze na godzinkę i o 3-ej rano pojechaliśmy do domu wioząc ze sobą dobry humor i... baloniki.

Nowy Rok zaczął się bardzo miło, aż do godz. 16-ej, gdy poszłam do biura. Rano poszliśmy do kościoła, oczywiście tylko na pacierz, bo już było po Mszy Św. Przez drogę wysłuchałam kazania na temat mojej niereligijności, co jest również lekką przesadą, bo jeżeli nie proponuję pierwsza pójścia do kościoła, to nie dlatego, żebym nie chciała, lecz dlatego, że pomyśli sobie, ach, zrobiła to, bo ja jej wciąż zwracam uwagę i na pewno doszedłby do wniosku, że udaję, że to jest nieszczerze. Po drodze poszłam do Babiarczykówny z prośbą, aby posiedziała za mnie 3 godziny. Zgodziła się..., a złe zaczęło się dopiero po czwartej. Przede wszystkim miałam dużo roboty z telegramami, druga rzecz to ta, że spóźniła się Babiarczykówna, a trzecia rzecz, która z miejsca wprowadziła mnie w zły humor, to fakt, że Jurek pił tego dnia...

Dziś, gdy rozważę to na chłodno, to dochodzę do wniosku, że nie miałam powodu do zrobienia mu sceny, ale w pierwszym momencie, było mi niezmiernie przykro i nie mogłam sobie wytłumaczyć, że przecież pił w mojej sprawie, dla mnie, by zjednać sobie Soję, by od niego coś wyciągnąć... Popsułam cały wieczór noworoczny, bo wcale nie usiłowałam ukrywać swego złego humoru..., a nawet doszło do tego, że płakałam. Niedobrze się stało i później doszłam do przekonania, że wystąpienie moje nie było na miejscu, ale już było za późno. On

był zły, ja podrażniona. A jakiś głupi upór, czy fałszywa ambicja nie pozwoliła przyznać mu słuszności...

Tymczasem serce mi pękało, że musiało to nieporozumienie wypaść właśnie dzisiaj, po tak mile spędzonym wieczorze sylwestrowym. Szukałam sposobów jakby to naprawić i nie mogłam znaleźć. Ale na koniec zmiękł mój Maleńki, przyszedł, przytulił mnie i było znowu dobrze... i było znowu troszeczkę...

W ciągu tygodnia mieliśmy sporo roboty z pisaniem podania o przeniesienie. Juras często wyjeżdżał do Katowic do Dyrekcji, nabiegał się, nalatał mój Chłopaczek i to wszystko dla mnie, dlatego, by mnie wyciągnąć stąd, naprawić to, co zrobiłam przez swoją głupią decyzję. I słusznie, że mi to wytyka, że go to denerwuje i boli, bo to wszystko niepotrzebne było. Tylko z drugiej strony boli mnie, jak często daje mi odczuć, że musi się tak trudzić, że go to tyle nerwów i zdrowia kosztuje. Mnie już sam fakt, że nie samej sobie, lecz jemu będę zawdzięczać to przeniesienie, męczy ogromnie, bo jakoś dotychczas dawałam sobie radę sama. Nikomu nie byłam nic dłużna, dla nikogo nie czułam wdzięczności, bo nie miałam za co. Trudno jest mi się dziś z takim stanem rzeczy pogodzić, a jak do tego muszę wysłuchiwać uwag, to już mam dosyć wszystkiego. Ale nie chciałabym siedzieć tu, czy samej starać się o inną posadę. Nie chciałam żeby on mojej sprawy nie tknął, żeby przestał się nią interesować i żeby pozostawił mnie w tych Dziedzicach. Powiedziałam Mu o tym, to nazwał mnie egoistką. Mój Boże, żeby wszyscy byli takimi egoistami, to dobrze by było na świecie.

Ale po cóż wspominać rzeczy przykre, zresztą już sama jego obecność zmazuje, zaciera je. Co ja bym dała za to, żeby być wciąż przy nim, nawet znosząc te różne uwagi. No trudno, już bez niego żyć nie mogę, potrzebny mi jest do życia, jak powietrze, czy woda... Ale nie zapominam też o rzeczach miłych, tak dla mnie, jak i dla tego szczeniaczka, który mimo wszystko mnie przecież kocha i tak, jak ja jemu, tak on mnie potrzebny jest do życia. A więc mówiliśmy o naszym ślubie i najbliższej przyszłości.

Ślub odbędzie się jak dostanie urlop, tzn. gdzieś w sierpniu lub wrześniu. Och, Boże, tak długo jeszcze czekać trzeba. Gdy już będziemy mieć dziecko poda

się jako kandydat do K.O.P-u¹¹, jest to konieczne, więc lepiej wcześniej z tym skończyć. Przez ten roczny okres pobytu w Warszawie umebujemy się prowizorycznie, a meble porządne sprawimy sobie dopiero po powrocie z K.O.P-u, wtedy będziemy mieć dużo gotówki i nie zaciągając długów, solidnie się umebujemy.

Bardzo podoba mi się ten plan, nie przeczę i nie usiłuję sobie wmówić, że będziemy mieć tam rajskie życie. Ale czegoż to człowiek nie przetrzyma. Tu muszą znosić te Dziedzice, a przecież tam będę miała Jego i da Bóg coś jeszcze maleńkiego..., a zresztą potraktuje się ten okres jako źródło dochodu, kiedy człowiek będzie pracował, robił pieniądze, by po trzech latach wrócić i zacząć żyć na nowo. Takie wspólnie układaliśmy sobie plany, i tak mi wtedy było dobrze, taki byłeś mi Maleństwo bliski... kochany...

Byliśmy 7-go na balu Oficerów Rezerwy. Nie tyle dla samej zabawy, lecz by obejrzeć dziedzicką elitę. To, co zobaczyliśmy, przeszło nasze wszelkie oczekiwania. Hołota taka, że po godzinie wróciliśmy do domu, a po łazience poszliśmy spać.

W myślach urządzam sobie mieszkanie, widzę siebie z mężem Jurasem i synem w K.O.P-ie zajmującą się gospodarstwem, hodowlą świnek, drobiu, itd. Uczę się jeździć na nartach, polować, brodzę w wysokich butach gdzieś po bagnach... i myśląc o tym wszystkim wcale się nie nudzę. Tęsknię tylko za tym szczeniakiem okrutnie, już tak nie chciałabym się z nim nigdy rozstawać, bo te rozstania, pożegnania są dla mnie nie do zniesienia. Jemu o tym pisać nie będę, bo i tak mi nie uwierzy, powie, że ponosi mnie fantazja, więc po co?

Sobota, 21 stycznia 1939

W czwartek dzwoniłam do Jurasa. Tak jakoś było mi źle i ciężko, że nie mogłam się powstrzymać od tego, by nie zadzwonić. Inna rzecz, że nie polepszyło mi to wcale humoru, a wręcz przeciwnie. Przede wszystkim przyjął mnie wymówką, dlaczego dzwonię. Po drugie dowiedziałam się dlaczego cofnięto

¹¹ **K.O.P.** – Korpus Ochrony Pogranicza, formacja wojskowa utworzona w 1924 r. do ochrony wschodniej granicy II RP przed penetracją agentów, terrorystów i zwartych uzbrojonych oddziałów dywersyjnych przerzucanych przez sowieckie służby specjalne z terenu ZSRR. KOP stanowił część składową sił zbrojnych II RP. W 1928 r. ogólna długość granicy państwowej ochranianej przez KOP wynosiła 2334 km. W 1937 r. podjęto reorganizację jednostek KOP. Dokonano też zmiany systemu ochrony granicy na system patrolowo-wywiadowczy. W roku 1939 r. działalność KOP rozciągała się od Litwy i Prus Wschodnich na północy przez linię graniczną z Litwą, Łotwą, Związkiem Sowieckim, Rumunią, Węgrami oraz Słowacją aż do Wisłoki.

moje podanie. Otóż, podobno p. Młynarski otrzymał w mojej sprawie anonim, jaka jego treść i czyje to dzieło, to niestety nie możemy się domyśleć. Można posądzić wiele osób, ale dowodów nie ma żadnych. A więc sprawa mego przeniesienia przybrała wyraźnie zły obrót. Straciłam nadzieję zupełnie, trzeba będzie pomyśleć o wyszukaniu jakiejś innej posady, a tu podziękować. Innego wyjścia nie ma.

Tak mnie to przybiło, że straciłam ochotę do wszystkiego. Czasami mnie rozpacz ogarnia, chciałabym przekreślić ten cały dwuletni okres mego życia i zacząć go od początku. Bo to były ciężkie lata, chociażby wzięwszy pod uwagę współżycie z Jurasem. Tak rzucając okiem wstecz, dochodzę do wniosku, że pewnie więcej było tych ciemnych dni, jak jasnych, tych nerwów, tyle zdrowia człowiek stracił i po co to wszystko? ... Później ten wyjazd, ta tułaczka po obcych miastach, wśród obcych ludzi. Potrzebne mi to było?

Druga rzecz, która mnie ogromnie zdenerwowała, to zwierzenie się Jurasa, jak szaleje w Warszawie. W ubiegłą niedzielę i sobotę był na balach, bo był w doskonałym humorze, a w tę sobotę pójdzie, bo jest w złym. Chodzi w towarzystwie p. Miry, mojej poprzedniczki, co nie uważam, żeby było zupełnie w porządku. Naprawdę, jak tak czasami pomyślę, to oburza mnie jego postępowanie, bo czas byłoby skończyć te telefony od różnych bab. Ale co tu dużo mówić, sam je zachęca, więc niby dlaczego nie mają dzwonić. Z Wandą skończył, bo brzydka, ale p. Mira jest przystojna podobno, więc mu żal przerwać milej znajomości.

Wie przecież czym jest dla mnie sam pobyt tutaj, a jeszcze lepiej wie o tym, że jestem na tyle młoda, że też myślę, by się trochę pobawić, a przecież to hamował... Warszawa podobno szaleje, a ja o 7-ej chodzę spać, by nie myśleć o tej swojej sytuacji. Całe nieszczęście leży w tym, że jak głosi przysłowie „widzisz słomkę w oku bliźniego, a nie widzisz belki w swoim”. To samo można by zastosować i do Niego. Każdy mój postępek, czy zły, czy dobry - zgani, największe głupstwo gotów mi wypominać miesiącami, a on jest święty. On zawsze umie pięknie się wytłumaczyć ze swoich postępków. Ale myli się, skoro sądzi, że mnie przekonują tę piękne słówka. Dla spokoju często przyznaję rację, ale myślę co innego. Pamiętam b. dużo rzeczy, które mnie bolały, i o których się nie zapomina... Myślę, że żaden dżentelmen nie będzie przystawał na ulicy i oglądał się za babami, jeżeli idzie w towarzystwie niewiasty, choćby ta była

brzydka, jak noc... No, a przecież on uważa się za idealnie ułożonego i wytwornego, więc skoro takim chce być, niech postępkami swymi nie zaprzecza.

Taka się też czuję teraz nieszczęśliwa, bo wydaje mi się, że nie mam na tym Bożym świecie nikogo takiego bliskiego naprawdę, z kim mogłabym być naprawdę szczerą. I tak, - do domu wrócić nie chcę, bo Bogu dziękuję, że się z niego wydostałam, no a sytuacja między mną a Jurkiem mocno się naprężyła. Nie wiem, co on sobie myśli, postępując tak, ale ja wiem, że długo tego znosić nie będę. Tych wymówek, zarzutów poniżających, a jakże niesłusznych, tych jego wielbicielek... już mam tego dość, powyżej uszu. Nie wiem, czym to się skończy, wiem dziś jedno, że śmiertelnie się boję małżeństwa z nim... a niestety, nie mam dość siły na to, by powiedzieć, żegnaj, przepraszam, że stanęłam na twojej drodze, ale ustępuję i już więcej zawadzać nie będę...

Mogę śmiało powiedzieć, że Jurek „wprowadzał mnie w życie”, łącznie ze znalezieniem dla mnie pracy w Sztapie Naczelnego Wodza! Polska była już w przededniu wojny, o niczym nie mówiono tylko o 5-ej Kolumnie, gospodynie przygotowywały zapasy, już był aneks Czechosłowacji i Austrii, kraj niby przygotowywał się do wojny, ale liczył na cud! Na wszelki jednak wypadek Sztap N.W. przeniósł się do podziemi na ulicy Rakowieckiej i tam pracowałam przy telefonach i roznosząc korespondencję i w charakterze maszynistki – typowa amerykańska „Girl Friday”.

Któregoś dnia przy końcu sierpnia udałam się do kierownika z prośbą o wzięcie mnie, choć na pewien czas, od łącznicy do rozdzielania kartek. Trzeba trafić, że on w tym czasie rozmawiał z kimś przez telefon i podawał kilka nazwisk pań z międzymiastowej. Do nazwisk tych dorzucił i moje, słuchawkę odłożył i powiedział, że przejdę do Ministerstwa Spraw Wojskowych¹², gdzie prawdopodobnie służba nie będzie tak ciężką. Jeszcze tego samego dnia grupą w liczbie około 10-u pań przeszłyśmy do M. S. Wojsk., zameldowałyśmy się u pewnego kapitana z łączności i rozdzielono nas na różne stacje wojskowe. Ja miałam się udać na Rakowiecką. Zameldowałam się tam natychmiast. Trudno było tam trafić, bo był to olbrzymi, budujący się jeszcze gmach, otoczony wysokim drewnianym płotem i małą furką, nieopatrzoną żadnym numerem.

¹² **Ministerstwo Spraw Wojskowych** – naczelny organ administracji państwowej powołany do kierowania i administrowania siłami zbrojnymi II RP w czasie pokoju i przygotowania ich do działań na wypadek wojny, w latach 1918-1942.

Zadzwoiłam. Otworzono mi. W przejściu przyjął mnie żołnierz i poprosił o legitymację. Nie było już żadnych wątpliwości, że to tutaj. Nim weszłam na międzymiastową, przeszłam przez kilka jeszcze kontroli. Sama centrala była w podziemiach tego wielkiego gmachu. Spotkałam tam panie, które pracowały poprzednio na międzymiastowej, więc poczułam się dobrze i swojsko. To było około 25 sierpnia. Od koleżanek dowiedziałam się, że Wojsk. 4 to Sztab Naczelny Wodza, i że w podziemiach tych pracuje Śmigły Rydz¹³.

Niedługo w tych podziemiach przebywałam. Gdy się tam zgłosiłam było po 20-ym sierpnia, a 1-go września – pierwszy dzień wojny. W tym to historycznym dniu zbudziły nas – mieszkańców Warszawy, dość wcześnie, bo około 6-jej rano, syreny. Tak, jak każdy przypuszczaliśmy, że to alarm próbny, ale wyjrzawszy oknem stwierdziłam, że to szybkie chowanie się w bramach nielicznych zresztą przechodniów, wygląda na coś poważniejszego. W chwilę potem głuche odgłosy wybuchających na przedmieściach bomb, rozwiały całkowicie moje przypuszczenia, co do próbnego alarmu. Cóż było robić? Ubrałam się pośpiesznie i bez śniadania pojechałam do biura, rozumując słusznie, że gdzie jak gdzie, ale tu w Sztabie dowiem się szczegółów i prawdy. Z radością powitała moje wczesne przybycie pani, która miała nocny dyżur.

Ledwie stanęłam przy łącznicy, wszedł szef sztabu gen. Stachiewicz¹⁴. Łączyłam mu cały szereg miast. Zawiadamał dowódców garnizonów, że

¹³ **Edward Śmigły Rydz** - marszałek Polski, generalny inspektor Sił Zbrojnych, Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych w wojnie obronnej 1939 r., formalnie przez 17 dni „następca prezydenta RP na wypadek opróżnienia się urzędu przed zawarciem pokoju”. Rozpoczął karierę jako dowódca III batalionu Legionów Polskich. W czasie wojny polsko-bolszewickiej, w stopniu generała porucznika dowodził m.in. 3 i 2 Armią. W 1935 r. po śmierci Piłsudskiego, został mianowany przez prezydenta Ignacego Mościckiego generalnym inspektorem Sił Zbrojnych, a w następnym roku Marszałkiem Polski. 1.09.1939 r. w pierwszym dniu kampanii wrześniowej Ignacy Mościcki mianował go Naczelnym Wodzem. Dzień po agresji ZSRR na Polskę przekroczył wraz ze Sztabem Naczelnego Wodza granicę Rumunii, gdzie został internowany. W październiku 1941 r. wrócił potajemnie poprzez Węgry do okupowanej Polski, gdzie przebywał w konspiracji do śmierci w grudniu 1941 r.

¹⁴ **Wacław Teofil Stachiewicz** – generał brygady Wojska Polskiego, szef Sztabu Głównego, pisarz wojskowy. W 1964 r. awansowany do stopnia generała dywizji przez władze emigracyjne. W momencie wybuchu wojny objął stanowisko szefa Sztabu Naczelnego Wodza, marsz. Śmigłego Rydza. Po ewakuacji Naczelnego Wodza do Brześcia gen. Stachiewicz pozostał w Warszawie do 9 września w celu koordynacji obrony linii środkowej Wisły, po czym dołączył do sztabu w Brześciu. Na rozkaz Naczelnego Wodza 18 września 1939 r. przekroczył ze sztabem granicę rumuńską, gdzie został internowany. W styczniu 1940 r. uciekł z internowania i przez Bukareszt trafił do Jugosławii, skąd na rozkaz gen. Kukiela udał się do Algieru. Na skutek nacisków gen. Sikorskiego został internowany przez władze francuskie w Algierze. 6 listopada 1943 r. został wezwany przez nowego Naczelnego Wodza, gen. Kazimierza Sosnkowskiego do Londynu, gdzie przebywał do końca wojny bez jakiegokolwiek przydziału. Po wojnie, w grudniu 1946 r. został zdemobilizowany.

działania zaczepne rozpoczęte. Niemcy bombardowali Katowice, Poznań, posuwali się w kierunku na... Skończył, wyszedł, żona (która nie wiem co robiła o tak wczesnej porze w Sztapie, chyba, że pomagała w układaniu strategicznych planów?) przygotowała mu szklankę gorącej herbaty. Nie zdążył jej wypić, gdy przybył marszałek Śmigły Rydz. Ten również przyszedł do naszego pokoju, połączyłam mu kilka sztabów i poszedł. Łączyłam stojąc, byłam wzruszona, bo to przecież nasz Wódz, w którego tak wszyscy wierzyliśmy, który ma nam przynieść zwycięstwo, który nam tak wiele obiecywał, a zrobił tak mało.

Gdy pierwsze bomby spadły na Warszawę miałam opiekę i Jurka i Sztabu. 1 września 1939 roku Niemcy napadły na Polskę, pierwsze bomby na Warszawę. 3 września Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę, ale z natychmiastową zbrojną pomocą nie wystąpiły! Polska sama podjęła walkę z potęgą niemiecką, rozpoczęła wojnę Goliata z Dawidem, niestety w naszym wypadku Goliat wygrał! I na długie lata pozostał okrutnym zwycięzcą! Tragiczną była postać Marszałka Śmigły-Rydzia przechadzającego się samotnie w godzinach wieczornych na postojach Sztabu w lasach i wioskach. Jego obciążono odpowiedzialnością za klęskę Polski; a czy potęgi takie jak Francja były przygotowane, a Anglia?

W Warszawie byłam jeszcze przez pierwsze pięć dni września. Okropne były to dni, przeważnie nie wychodziliśmy z tych podziemi, bo gdzie iść. W tramwajach przepełnienie, autobusy nie kursują, o taksówce nawet marzyć nie można było, a dla mnie ze złamaną nogą, opierającej się jeszcze na lasce, zbyt trudno było przemierzać Warszawę na piechotę. Od czasu do czasu trzeba było jednak wyjść, najwięcej przebywałam wtedy u Jureczka. Na Wilczej się w ogóle nie pokazywałam. 3-go lub 4-go spakowało się rzeczy Jureczka i poszło wszystko na Przemysławą. Zostały tylko meble, cały zbiór zbroi, biblioteka, szkło w kredensie, w biurku stare fotografie i pamiątki. Gołe ściany przygnębiające robiły wrażenie na człowieku, a całe szczęście, że Jureczkowi ten pomysł wpadł do głowy, bo przynajmniej choć część rzeczy udało się uratować. Jeżeli do naszego powrotu nie dotrwią, to chociaż sprzedając je będą mieli za co żyć.

Przestaliśmy myśleć o jedzeniu, w ogóle nie chodziłam na obiady, czasami tylko wypijałam szklankę herbaty, przygotowaną przez ordynansa i zjadałam kawałek chleba. Z Jurkiem porozumiewałam się tylko telefonicznie, bo też całe dni i noce siedział w biurze. Widywałam się też często z Edkiem, tak

jakbym przeczuwała, że go długo, długo nie zobaczę. List olbrzymi napisałam do domu, wysłałam im trochę pieniędzy, udzielałam rad i wskazówek, co mają robić, jak się uchronić przed gazem, itd. itd. Oczywiście, nic z tego do Łowicza nie dotarło. Byłam na międzymiastowej by pobrać moją trzymiesięczną gażę, do dziś robię sobie wyrzuty sumienia, że nie zostawiłam tych pieniędzy Edkowi, ale kto wiedział, że to tak szybko i tragicznie się wszystko skończy?...

Z tych pierwszych dni wojny utkwił mi w głowie taki przypadek. Mam w sztabie nocny dyżur. Jemy kolację u Jureczka. Wicusia (ordynansa) wysłaliśmy po taksówkę. O tym, żeby można złapać autobus lub tramwaj w tych ciemnościach, mowy nie ma. Długi czas nie wraca, ja się niecierpliwę, bo niewiele czasu mi pozostało. Nareszcie przychodzi i oznajmia triumfalnie, że taksówka czeka. Wychodzę szybko, przy taksówce rozpoznaję sylwetkę jakiegoś wojskowego. Przepuszczam go i mówię, że musiała zajść jakaś omyłka, ale ten przedstawia się (por. lotnik, nazwiska nie dosłyszałam) i mówi, że chłopiec długo chodził po mieście, że taksówki nie byłabym w stanie dostać, podszedł do niego i mówi, że pani kapitanowa (dla Wicusia byłam p. kapitanową już przed ślubem) musi jechać do biura i natychmiast potrzebuje auto. Na takie dictum motor zapuściłem, jestem i proszę skorzystać z mego auta. Nie miałam wyboru, już byłam spóźniona, uprzejmie podziękowałam, podałam ulicę: Rakowiecka i jedziemy.

Jadąc zaczęły mi w głowie hulać przeróżne myśli - a więc nic innego, tylko to musi być 5-ta kolumna, a więc wpadłam. Teraz tylko pytanie, czy mnie porwie, czy nie. Wicusz pewnie mu już zdążył powiedzieć, że pracuję w Sztabie. Jeśli mnie porwie, to czy mnie będą torturować, chcąc wyciągnąć zeznania, czy nie. Nie bardzo uważałam co mój towarzysz szczebiotał, odpowiedzi moje nie były za bardzo logiczne. Trzeba trafu, że ten się uwziął na mnie i naprawdę zaczął stawiać przeróżne pytania: a czy pani jest żoną oficera, a gdzie pani pracuje? Przerazenie moje doszło do zenitu, gdy ten wyciągnął z kieszeni papierosy i częstując mnie nimi, na moje „dziękuję, nie palę” wyciąga cukierki. Oniemiałam, no teraz, myślę sobie, to na pewno 5-ta kolumna i odpowiedziałam, że nie jadam cukierków ani słodczy. „W to nie uwierzę! Niewiasta, która nie jada cukierków, to niestychane!”. Prędko zaczynam mu opowiadać o przebytej ciężkiej chorobie żołądkowej i o tym, że piję kwas solny, więc jedzenie słodczy nie jest wskazane. Odetchnąłam, gdy schował je. „Pod którym numerem mam

się zatrzymać?” Poprosiłam go, by się zatrzymał na rogu Alei Niepodległości i Rakowieckiej. Na szczęście zatrzymał się, podziękowałam mu za uprzejmość i prędko pobiegłam przed siebie mieszając się w tłumie przechodniów. Chcąc zmylić ślady za sobą szłam po przeciwnej stronie ulicy, przeszłam Sztab, potem zawróciłam i chyłkiem pod murem niemal na palcach podeszłam do bramy, oglądając się za siebie. We wszystkich przejeżdżających autach widziałam moją 5-tą kolumnę. Szczęśliwa byłam, gdy znalazłam się pośród koleżanek, w oświetlonych podziemiach.

Myliłby się ten, kto by przypuszczał, że to koniec tej przygody. Otóż, po przekroczeniu granicy rumuńskiej w dniu 18-go września, następnego dnia rano znaleźliśmy się w Vatra Dornei. Któregoś przedpołudnia czekam w magistracie na bardzo zajętego Jurka. Pewien porucznik poszedł go poprosić. Ja zostaję w holu i oglądam obrazy na ścianach. Przyglądam się wchodzącym i wychodzącym, robię jednym słowem to, co robią czekający na coś, czy na kogoś ludzie. Gdy naraz słyszę słowa zwrócone do mnie - „przepraszam panią”. Oglądam się i widzę: jakiś nieznajomy mi zupełnie mężczyzna - cywil. „Czy nie panią przypadkiem odwoziłem 3 września na Rakowiecką?” „Owszem tak, to byłam ja”. Nie mogę się jednocześnie nadziwić skąd on mnie mógł poznać, było przecież tak ciemno straszliwie i ja absolutnie nigdy bym go nie poznała, po prostu dlatego, że go nie widziałam, choć obok niego siedziałam. Zdziwienie moje wyraziłam słownie, a poza tym lustrowałam go oczami. Usiłowałam to robić bardzo delikatnie, mimo to zauważył i zaczął tłumaczyć mi, dlaczego jest w cywilnym ubraniu. Okazało się, że jego wraz z innymi kolegami zahaczyli Rosjanie, ale że zdołał im uciec, przebierając się za cywila i w ślad za innymi przyjechał tutaj. Słuchałam go trochę z roztargnieniem, bo właśnie myślałam o tym, jakby się go pozbyć. Przecież lada sekunda wyjdzie Jureczek, zobaczy mnie rozmawiającą z obcym mężczyzną i gotów urządzić mi piekielną awanturę. Wolalam tego uniknąć, toteż z radością nieukrywaną powitałam powracającego od męża porucznika, przeprosiwszy uprzednio mego „5-to kolumnowca”.

Opowiadałam o tym później Jurkowi, zastanawialiśmy się kim właściwie był ten człowiek? Jurek oczywiście z pretensjami do mnie, a dlaczego żeś go nie zatrzymała do mojego powrotu, byśmy go wzięli na spytki. Czy można kiedy mężczyźnie dogodzić? Dziś, gdy to piszę w Anglii, myślę sobie, że pewnie zbyt pochopnie osądziłam go, że najprawdopodobniej był autentycznym lotnikiem, a

może nawet już zginął w obronie Anglii z hasłem na ustach „za Waszą wolność i naszą”.

Sztab opuścił Warszawę już 5-go września w nocy. My, urzędnicy sztabowi w autobusie, nasze rzeczy i walizki w ciężarówkach wojskowych, od opuszczenia stolicy już ich więcej nie widzieliśmy. Przez 12 dni byłam w tym samym ubraniu, dzień i noc w letniej sukience, szczęście, że była piękna, ciepła jesień. 17-y wrzesień, najtragiczniejszy dzień, stanęliśmy w Kołomyi, kilka dni wcześniej zjawił się w Sztabie Jurek, gdy zobaczył nas w brudnych, pomiętych ubraniach z pomocą kolby karabinu zmusił lokalnych kupców do otwarcia zablokowanych sklepów. Nareszcie począwszy od koszul, skończywszy na zimowych płaszczach i butach opuszczaliśmy kraj ubrani od stóp do głów, ku zadowoleniu kupców, dla których były to ostatnie zarobki. A my stanęliśmy na granicy z Rumunią w Zaleszczykach, mimo rozkazu trudno nam było tę granicę przekroczyć, byliśmy zapatrzeni na płonąca Polskę, była noc, cały kraj w ogniu, „nasi bracia Słowianie” właśnie przekroczyli w tym dniu 17 września granicę, szli z pomocą Niemcom atakując nas od Wschodu. Bez wyjątku płakaliśmy wszyscy tak jakbyśmy przewidywali, że większość z nas do kraju nie wróci.

W nocy z 5 na 6 września opuściłam Warszawę. Jechałam z całym transportem łączności. Było kilka wozów. Nie będę pisać o tej upiornej podróży, bo każdy, kto opuszczał w te tragiczne, pierwsze dni września Warszawę, wie doskonale jak ta droga wyglądała, jak to się trzeba było przeciskać przez załadowane po brzegi wozy, te zatory, itd. Nasi szoferzy się darli: „Z drogi, tu kolumna wojskowa, nie rozłączać kolumny”, znowu z innej pięknej limuzyny ryczał szofer „usunąć się, tu jedzie min. „x”, czy gen. „y”. I tak w kółko, aż następnego dnia rano dojechaliśmy do Siedlec. Mieliliśmy polecenie czekać tu. Na co? To tajemnica wojskowa. Ponieważ miasto było już poprzedniego dnia bombardowane, odjechaliśmy z wozami do oddalonego od miasta o jakiś kilometr lasu. Tam zamaskowaliśmy wozy i nareszcie po długiej, męczącej nocy wysiedliśmy, by rozprostować nogi i zjeść co nie co.

Pamiętam, że z Siedlec, w kilka godzin po tym bombardowaniu, wyjechaliśmy do Brześcia. Dla mnie była to koszmarna podróż, zachorowałam niespodziewanie. W nocy około 1-ej przyjechaliśmy do Twierdzy. Spałyśmy na słomie w jakimś pokoju. Ja byłam wykończona. Centrala była jeszcze nieczynna. Pułkownik powiedział, że jak ją uruchomią, to mnie zawiadomi. Korzystając z

wolnego dnia i kilku godzin odpoczynku położyłam się w parku na kocu i usnęłam. Obudził mnie głos... Jureczka. Coś do kogoś krzyczał. Wstałam, przecieram oczy, nie bardzo się z początku orientuje, gdzie jestem. W tej samej chwili rozlega się syrena. Zerwałam się i oglądam, gdzie może być Jurek. Zobaczyłam go o kilkadziesiąt kroków od siebie. Nie widział mnie, krzyczę więc na niego. Przybiegł i razem poleciliśmy do schronu.

W Brześciu byliśmy zaledwie 2 czy 3 dni. Z Jurkiem widywałam się często. Przychodził do centrali, która funkcjonowała normalnie na 3 zmiany. Namęczyliśmy się niemało, bo stale Niemcy niszczyli łączność, trudno było uzyskać połączenie. Coraz to przybiegał adiutant Rydza, Szef Lotnictwa, panowie z Misji, by reklamować rozmowy. Nie mówiąc już o Szeffie Łączności, który pracował w tym samym co centrala pokoju, a więc stale nam siedział na karku. My z kolei presję wywieraliśmy na centralę międzymiastową w Brześciu, że się denerwowały, wymyślały nam, to my ze skargą do Szefa, to Szef bierze słuchawkę i w brzydki sposób wymyśla im, i tak w kółko. W wolnych chwilach coś się jadło w kasynie obok centrali. Myśleliśmy się za czas przeszły i na zapas. Porządkowanie waliz, czasami spacer przerywany częstymi nalotami. Kilka razy spotkałam Rydza. Smutną i zmęczoną miał twarz. Patrzyłam jeszcze wtedy na niego z podziwem i ogromnym współczuciem. Nikt wtedy nie myślał o ucieczce własnej i wodza za granicę.

Z Brześcia wyjechaliśmy do Włodzimierza. Podróż tym razem miałam wygodniejszą, bo jechałam z Jurkiem w aucie. Po drodze wstąpiliśmy do Kowla odwiedzić rodzinę Jureczka. Pobudziliśmy ich wszystkich, bo było to w nocy. Siedzieliśmy z godzinkę lub krócej, gadało się o wszystkim i o niczym. We Włodzimierzu byliśmy wczesnym rankiem. Dzień, jak wszystkie te dni wrześniowe, wstał ciepły i pogodny. Zatrzymaliśmy się razem z łącznością w jakimś ogrodzie na przedmieściu. Uprzejma gospodyni z pobliskiego domku przygotowała nam śniadanie składające się z herbaty, mleka, jajecznicy i chleba. Mimo naszych prośb nie chciała wziąć ani grosza za nie, a muszę zaznaczyć, że było nas sporo, jakieś 10 sztuk (urzędniczek) i 1 ppor. łączności Cępa, brat płk.

Cepy¹⁵. Umyliśmy się u niej, odświeżyły, jak wszędzie, tak i tu czekałyśmy na dalsze rozkazy. Żołnierze zakładali połączenia telefoniczne.

Dzień był okropny. Upał, my niewyspane i zmęczone. Po południu Szwaby nas odkryły i zaczęły bombardowanie. Bomby padały gęsto, aż ziemia dudniła. Ucierpiał najwięcej dworzec. Z Jurkiem cały dzień się nie widziałam. Zajęty jak zwykle najwięcej. Wyszukiwał kwatery, starał się o żywność dla żołnierzy. Myśmy dostały jakiś na pół pusty dom na przedmieściu. Poszłyśmy tam z ppłk. Stebelskim¹⁶, który się nami opiekował. Zastałyśmy 2 puste izby, bez światła, bez żadnego mebla. Chciało się usiąść, to proszę, czekało gotowe kilka m2 podłogi. Cóż było robić, śmiertelnie znużone usiadłyśmy na niej. W pobliżu mieli kwatery żołnierze. Płk Stebelski wysłał jednego czy 2-ch po słomę, sam zapłaci, byleby spod ziemi ją wydostali. Znalazło się kilka snopków, sam ją znosił. Miałyśmy posłanie. Noc, zimno mnie tknęło, w sukience z krótkim rękawkiem i w żakiecie od kostiumu. Wyjeżdżając z Warszawy zapomniałam wziąć płaszcz, a wszelkie inne cieplejsze rzeczy miałam w jedynej jaką miałam walizie. W Brześciu zapakowali ją na wóz ciężarowy, wóz w drodze zaginął, waliza też. Więcej jej nie widziałam. Było mi wygodnie podróżować bez bagażu. Szczęśliwie Jadzia Gruszkówna miała jakiś kocyk, przykryłyśmy się więc nim obie i przespałyśmy tę noc. Rano udałyśmy się na poszukiwanie śniadania, o co łatwo nie było.

Z Włodzimierza pojechaliśmy do Młynowa. Wyjazd nastąpił nagle. Zgubiłam się z Jurkiem, który służbowo wyjechał do Kowla, przy okazji widział się z rodziną i przeniósł ją na wieś w pobliżu Włodzimierza. O jego wyjeździe do

¹⁵ **Heliodor Cępa** – (1895-1974) generał brygady Wojska Polskiego, uczestnik I wojny światowej, powstaniec wielkopolski. W czasie wojny obronnej 1939 r. roku był Naczelnym Dowódcą Łączności w Sztapie Naczelnego Wodza. Po agresji ZSRS na Polskę przekroczył granicę polsko-rumuńską z kolumną Naczelnego Wodza Edwarda Śmigłego-Rydza i został internowany. Zbiegł z obozu dla internowanych oficerów, przedostał się do Francji i wstąpił do Armii Polskiej we Francji dowodzonej przez gen. Władysława Sikorskiego. Po upadku Francji razem z polskimi żołnierzami przedostał się do Anglii. Tam objął stanowisko dowódcy łączności Polskich Sił Zbrojnych. Funkcję tę pełnił aż do końca wojny. W maju 1946 r. powrócił do kraju i został powołany do ludowego Wojska Polskiego. W lipcu 1951 r. został aresztowany przez funkcjonariuszy Głównego Zarządu Informacji pod sfinansowanym zarzutem tworzenia w wojsku organizacji spiskowej, mającej na celu obalenie władz państwowych. W areszcie przebywał do lutego 1955 r. Mimo stosowania różnego rodzaju szykan nie załamał się i nie przyznał się do zarzucanych mu działań. Został zwolniony z więzienia i nie powrócił już do służby wojskowej.

¹⁶ **Płk Aleksander Stebelski** – dowódca 6 Batalionu Telegraficznego z Jarosławia w 1935 r. Wykładowca Wyższej Szkoły Wojennej Sił Zbrojnych II RP szkolącej i doksztalającej oficerów sztabów.

Kowla dowiedziałam się od płk. Mniszka¹⁷, którego spotkałam na rynku w Młynowie, gdy uganiałam się za jedzeniem. Martwiłam się porządnie, czy go Niemcy gdzieś po drodze nie odetną, lub czy się nie zgubi, nie wiedząc gdzie powędrowaliśmy. Ale ten rynek w Młynowie okazał się dla mnie szczęśliwym, bo po spędzonym dniu w parku przylegającym do pałacu ks. X, przed wieczorem, na krótko przed naszym wyruszeniem w dalszą podróż, spotkałam Jurka. Dogonił nas i znalazłam się znowu w aucie razem z nim. Pojechaliśmy dalej.

Następnym naszym etapem była Kołomyja. Tam spodziewaliśmy się zatrzymać dłużej. Uruchomiono nawet centralę telefoniczną i telegraficzną, ale przespaliśmy tam, o ile dziś jeszcze pamiętam, dwie noce. Noc pierwszą w jakiejś pustej chałupie, bez mebli, a drugą – spało nas pięć u wieśniaczki, która nam oddała swą najlepszą izbę, ale z jednym łóżkiem za ledwie. Przynieśli nam dwa snopki słomy. Umówiliśmy się, że w łóżku śpimy na zmianę, każdą noc inna. Zaczęło się ode mnie, jako że nie miałam ze sobą nic do spania, ani prześcieradła by słomę przykryć, ani jaśka pod głowę, wszystko zgubiłam w walizce.

Następnego dnia, pamiętam, była to niedziela, poszłam więc umyta i odświeżona do kościoła. Nic nie jadłyśmy w domu postanawiając iść do spowiedzi. Książeczkę do nabożeństwa pożyczyłam od gospodyni. Gdy około godz. 11-ej czy 12-ej opuściliśmy kościół, zastanowił nas niezwykle ruch na ulicach. Ruch wozów wojskowych i ruch pieszy wojskowych różnych stopni. Spotyka nas znajomy pułkownik z łączności: „Panie jeszcze tu? Za pół godziny wyjeżdżamy”. Biegiem na kwaterę. Przed domem olbrzymi autobus, nasze rzeczy już w wozie, miejsca dla nas zajęte. Wsiadając do autobusu widzę wóz Jureczka prowadzony przez pyskatego, ale poczciwego warszawskiego szofera Mieczkowskiego. Jechał wolniutko, rozglądając się na wszystkie strony, pytając

¹⁷ **Płk Adam Mniszek** – (1889-1957) pułkownik dyplomowany kawalerii Wojska Polskiego. Jesienią 1937 r. szef Sztabu Głównego gen. Wacław Stachiewicz zlecił mu przygotowanie mobilizacji Kwatery Głównej Naczelnego Wodza. W marcu 1939 r. gen. Stachiewicz wyznaczył go na stanowisko komendanta Kwatery Głównej Naczelnego Wodza. Podczas wojny obronnej 1939 r. był komendantem Kwatery Głównej Naczelnego Wodza w Warszawie, w Brześciu (od 6 września), Włodzimierzu Wołyńskim (od 11 września), Młynowie (14 września) i Kołomyi. 18.09.1939 r. w Kutach przekroczył granicę z Rumunią. 24.09.1939 r. rozpoczął przegrupowanie KG NW do rejonu Tulczy i Babadag. Od 28.09 do 23.12.1939 r. w Ambasadzie RP w Bukareszcie zajmował się sprawami ewakuacji do Francji polskich lekarzy medycyny i weterynarii, aptekarzy, sióstr PCK, oficerów oraz inżynierów, techników i rzemieślników. W sierpniu 1945 r. w stopniu pułkownika, wykonywał obowiązki w Szefostwie Służby Opieki nad Żołnierzem Sztabu Naczelnego Wodza na stanowisku szefa Wydziału Dobrobytu Żołnierza. Zmarł 16.11.1957 r. w Londynie.

kogoś o coś. Domyśliłam się, że mnie poszukuje. „Pan kapitan przysyła po panią, bo wyjeżdżamy”. Rzeczy szybko przeniosłam z autobusu, pożegnałam koleżanki i pojechałam.

Wieczorem dojechaliśmy do Kut. Tam stało się jasne, że uciekamy za granicę. Jurek wkrótce został wezwany na odprawę. Po odprawie potwierdził tę smutną wiadomość. Ciężko się człowiekowi zrobiło na duszy. Tysiące myśli przelatywało przez głowę. Myślało się o Polsce, o Warszawie, o rodzinie całej i każdym z osobna, kiedy się zobaczymy, kiedy wrócimy. Skończyły się sny i marzenia o pobiciu Niemców, o tym, że wkrótce będziemy w Berlinie. Skończyły się iluzje słodkie co do tego, że nasi zachodni sąsiedzi idą nam na pomoc. W tę smutną niedzielę 17-go września otrzymaliśmy wiadomość o przekroczeniu granicy przez wojska sowieckie. Wszyscy byli zdezorientowani. Zdania były w sztabie podzielone. Jedni twierdzili, że Rosjanie wkraczają z białymi płachtami pokoju, z innych stron donosili o ciężkich walkach z Rosjanami. Plk. Mniszek mówił nam, że ma być wysłany delegat sztabu polskiego do sztabu sowieckiego dla wyjaśnienia powodu wkroczenia ich wojska w granice Polski. Ale wydaje mi się, że delegat ten nie wyjechał. Nie było po co jechać, szybko odkryto sowieckie zamiary i najwyższy czas było wyjeżdżać.

Polska żegnała nas łzami. Niebo pokryło się chmurami, deszcz lał bez przerwy. W deszczu brodziliśmy po Kutach dobijając się do pozamykanych sklepów, chcąc za złote polskie coś jeszcze kupić. Specjalnie ja potrzebowałam wiele, zgubiwszy walizę. Niewiele co jednak można było dostać. Kupiło się koszulę nocną, komplet bielizny, jesionkę za 50 zł, pantofle, pończochy i to wszystko. Juras wyczarował z magazynu wspaniałą baranicę, która nam w Rumunii oddała nieocenione usługi.

Wyjechaliśmy z Kut późnym wieczorem, posuwając się żółwim krokiem ku granicy. Wyjechawszy na szosę poza Kutę ujrzelśmy na wschodzie olbrzymie luny od pożarów, głucho detonacje artylerii ciężkiej, ogień karabinów maszynowych – „przyjaciele” Rosjanie przybyli zbawiać Polskę i Polaków. Serce się krwawiło, ręce się bezsilnie zaciskały. Do granicy dobrnęliśmy nad ranem, nie zmrużywszy przez całą noc oka. Ciężkie przeżycia wewnętrzne, myśli czarne jak ołów, nie pozwalały nam usnąć.

Pierwszy postój był w Vatra Dornei¹⁸, niewielkie uroczyste miasteczko – kurort, rozkosz pierwszych kąpielni, miasto dla nas historyczne, w którym miał miejsce nasz ślub, był to pierwszy wojskowy ślub polowy z udziałem płk. Adama Mniszka – kolorowa postać przedwojennej Warszawy (jeździł po Warszawie karocą zaprzęzoną w dwa śliczne siwe konie), nasz wielki przyjaciel i kilku kolegów Jurka (wciąż mam korek od szampana z ich nazwiskami). Wesela na naszym ślubie nie było, wszyscy przeżywaliliśmy tragedię, niepokój o najbliższych, niepokój o kraj.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie „kochana” Rodzina Wojskowa¹⁹. Nie powinnam o niej pisać źle, bo sama obecnie do niej należę, ale jeśli znajduję słowa krytyki dla samej siebie, to dlaczego mam chwalić Rodzinę Wojskową wtedy, gdy należy jej się nagana. A zresztą, chcę w tej chwili zabrać głos jako osoba cywilna, jako chwilowa urzędniczka Sztabu, a nie jako żona oficera, bo nią zostałam później, po wypadkach, które opisuję. Jeszcze raz zaznaczam, że nie należałam do grupy pań, które wywyższały się z pieskami, czy kanarkami.

Przekroczyłam granicę rumuńską z wojskiem i na rozkaz. Nieprawdą jest, żeby zwracano się do nas z propozycją pozostania w Polsce, przynajmniej ja się z tym nie spotkałam, a zresztą nie byłoby to słuszne, bo skoro się wiozło urzędniczką przez całą Polskę do granicy, to trudno je pozostawić w Kutach²⁰ czy Zaleszczykach²¹, bez dachu nad głową, choć przypuszczalnie z pieniędzmi w kieszeni, wtedy, gdy Rosjanie stoją na przedmieściach tych miast i bądź co bądź traktowałiby je, jako osoby wojskowe, bo takimi były w istocie. Cóż z tego, że kobiety, kiedy na naszych legitymacjach i papierach widniały pieczętki: Kwatera

¹⁸ **Vatra Dornei** – miasto w Rumunii nad rzeką Bystrzyca, w Karpatach Wschodnich.

¹⁹ **Stowarzyszenie Rodzina Wojskowa** – powołane 3.02.1925 r. w Warszawie podczas spotkania przedstawicieli środowiska wojskowego z marszałkiem Józefem Piłsudskim. Celem stowarzyszenia była integracja żon i rodzin wojskowych, inicjowanie i udzielanie pomocy ekonomicznej rodzinom wojskowych oraz nawiązywanie i utrzymywanie łączności ideowej, towarzyskiej i kulturalnej środowiska. Stowarzyszenie cieszyło się uznaniem środowiska wojskowego i cywilnego. Pielęgnowało więzi i poczucie tożsamości rodzin, tworzyło korzystną atmosferę wokół wojska i spraw obronności kraju.

²⁰ **Kuty** – miasteczko na granicy II RP i Rumunii, którą wyznaczała rzeka Czeremosz. Słynęło z łagodnego klimatu, dzięki któremu stało się modnym letniskiem z hotelikami i pensjonatami. Popularność zapewniała miejscowości liczna kolonia ormiańska oraz 400-metrowy most graniczny, który we wrześniu 1939 r. przeszedł do historii.

²¹ **Zaleszczyki** – miasto w II RP, położone w zakolu Dniestru; otoczone z trzech stron wodami rzeki przybrało kształt półwyspu. Drogą lądową można dojechać tu tylko od strony północnej, od Tarnopola i Czortkowa, a na południe wyjechać jedynie przez most, prowadzący wówczas do Rumunii. Drugi brzeg Dniestru, mocno zalesiony, zwany bukowińskim, wznosi się na niemal 300 m nad poziom rzeki, dzięki czemu doskonale osłania miasto od wschodnich, zimnych wiatrów.

Gówna Naczelnego Wodza. Pisząc to, nie chodzi mi o usprawiedliwienie siebie, dlaczego znalazłam się za granicą. Uwagę tę wstawiłam dlatego, by mieć zrozumienie, że stanowisko moje – gdy będę bronić naszych pań, nim przejdę do ich... krytyki – jest zupełnie obiektywne.

A więc stwierdzam, że niesłusznie się dzieje, gdy czytamy w prasie lub najczęściej słyszymy uszczypliwe uwagi na temat pobytu pań tutaj, w rodzaju tych – wojna z babami, włóczę się stale za nami, dosyć mamy tego, nasze żony tam z głodu umierają, a one opływają w dostatkach, a skoro nieszczęście chciało, że się tu znalazły, to niech dzieci rodzą, a nie zajmują się plotkami, itd., itd. – to jest kropelka w morzu wyzwisk, wymyślań i zarzutów. Trzeba stwierdzić i postawić jeszcze jedną rzecz: a mianowicie o fakt, że pewna grupa kobiet znalazła się tutaj nie z własnej woli i nie należy obwiniać tych właśnie niewiast. Trzeba sobie uprzytomnić, że te kobiety, jeśli nie one to ich mężowie, otrzymali rozkaz – ewakuować swoje rodziny. Dla tych rodzin stały na stacjach dziesiątki pociągów ewakuacyjnych, czekały dziesiątki i setki przygotowanych autobusów. W wielu wypadkach kobiety te przysięgały sobie, że nie ruszą się z miejsca, że nigdzie nie wyjadą, ale gdy podstawiają pod drzwi autobus, gdy z takiego bloku wojskowego ładuje się jedna, druga, trzecia, to ta czwarta i piąta, które miały niby nie ruszyć się z domu, są dezorientowane. Wahają się, wreszcie łapią walizę, ładują ją na wóz i wsiadają z innymi. Przykład ludzi zaraża, powstaje panika i popłoch. Kto temu winien? Chyba nie te kobiety. Winien jest ten, komu powstał w głowie szalony plan ewakuacji Rodzin Wojskowych.

Szczęściem lub nieszczęściem, co kto woli, tych kobiet było to, że znalazły się za granicą, że zdążyły się do niej dowlec przed jej zamknięciem. Mężowie bez żon z nienawiścią spoglądają na Polki, dlaczego tak jest? Przecież Wasze żony, w wielu wypadkach, też były w pociągach ewakuacyjnych, czy autobusach, też jechały, jak wszystkie inne w nieznane, czyż winą tych, które tu są, jest to, że te inne nie zdążyły dojechać? Że jeden pociąg przejechał szczęśliwie bez przygód, a inny był bombardowany, a jeszcze przed innym zamknęła drogę bomba, która rozerwała się na torze? Tak zrzędził los! Nie każda z żon, która pozostała sama w Polsce tego żałuje. Nie każda z pań, które się tu znalazły, jest z tego zadowolona. Wiele z nich przeklina chwilę, w której noga jej stanęła na obcej ziemi, a i nie każdy mąż się martwi, że nie ma żony przy sobie...

Rozkaz ewakuacji Rodzin Wojskowych miał wiele ciemnych stron. Mało tego, że cywile pozajmowały środki transportowe, które więcej by się przydały w tych tragicznych dniach wojsku, to w wielu wypadkach unieszczęśliwiał żony ewakuowane, które straciły całkowicie kontakt z mężami, jechały często bez grosza w nieznaną, znalazły się za granicą po to, by stwierdzić, że mąż pozostał w Polsce. Znam takie wypadki. Czyż Rodzina Wojskowa jest temu winna? Można by również powiedzieć, że panie te przeszły granicę na rozkaz, jak żołnierz czy urzędniczka, bo nie mówimy o „propozycji ewakuacji”, a wyraźnie i jasno „rozkaz ewakuacyjny”.

Krytykować chcę i mogę natomiast fakt, że w wielu wypadkach Rodzina Wojskowa ciągnęła się za wojskiem, za Sztabem. Ale to też nie jest winą kobiet, a tego, kto wydał rozkaz szoferom jechania w kolumnach wojskowych. Taka historia miała miejsce w Siedlcach, gdy wyszłam z autobusu po całonocnej jeździe, okazało się, że oprócz wojska, oprócz nas urzędniczek, jest sporo cywilnych, młodych, średnich i bardzo już starszawych pań, nie mówiąc o licznej gromadzie „milusińskich”. Straszliwe chwile tam przeżywaliśmy, bo właśnie wtedy było to ogromnie silne bombardowanie Siedlec. Bezpośrednio jednak po naszym wylądowaniu się nic tego nie zapowiadało. Każda z nas, jak znalazła gdzieś, to obmyła twarz zimną wodą. Zjadło się trochę suchego prowiantu, o zagotowaniu wody na herbatę myśleć nie było można, bo nie było przyrządów, a ognia nie wolno było rozpalać, ze względu na dym, który mógłby nas zdradzić.

Częściowo odświeżone i nakarmione odzyskałyśmy dobry humor, dzień wstał jak wszystkie te dni wrześnie, słoneczny i ciepły, wraz z pierwszymi promieniami słońca zaczęły rozjaśniać się nam buzie. Ponieważ spora grupka nas była, usiadłyśmy sobie w lesie, młode to wszystko i trzpiotowate, szybko języki się rozwiązały, jeden żarcik, drugi... wywołał powoli i śmiech. Na to tylko czekały panie z Rodziny Wojskowej. Zaczęły nas okręzać, jak wrony złe, zrazu ciche uwagi, a potem coraz głośniejsze wymysły, że wojna, że ciężkie chwile, że ludzie giną, że rozwydrzone, że śmieją się, że płakać powinny, że bezwstydne, itd., itd.... Nie licząc się zupełnie z tym, że wokół pełno jest żołnierzy, przysłuchujących się. My siedziałyśmy cicho, dopóki jedna z nich nie odezwała się, że przez wspólne podróżowanie z urzędniczkami, na wstyd się narażają.

Krew polska, krew żywa w nas zakipiła! My, które na rozkaz znosimy towarzystwo rozhisteryzowanych pań, które, gdy z dala zobaczą, czy posłyszają

niemiecki samolot, w biegu z autobusu wyskakują, tłuką się, lecą jak opętane, gdzieś w pole, czy w las, byle jak najdalej od wozu, których, choć samolotu dawno już nie ma, dowołać się nie można i doprosić, by zajęły miejsce, bo czas jest jechać, bo przecież kapitan ma rozkaz o tej i o tej godzinie być w Brześciu z żołnierzami i urzędnikami, które płaczą, wymyślają sobie i kapitanowi, wreszcie teraz nam? I to nam? Każda z nas niebyle jakie miała o sobie pojęcie, no bo jak? Urzędniczka Sztabu Naczelnego Wodza w czasie wojny, czy to nie figura? Każda z nas uważała się za żołnierza, Polskę zbawiającego, choć bez karabinu, choć z piórem, słuchawką, czy aparatem Hughes'a²² przy sobie, ale przecież ta sama powaga, ta sama przysięga, ta sama tajemnica wojskowa, jednakowa kara za zdradę. Takie pojęcie miałyśmy o sobie my, niestety inne mieli wszyscy inni i również Rodzina Wojskowa.

W ich oczach urzędniczka to coś gorszego, co się ma w pogardzie, choć niejednokrotnie ta urzędniczka nie tylko wykształceniem, co jest rzeczą drugorzędną, bo można je posiadać, ale być człowiekiem o miernej inteligencji, ale właśnie intelektualnie przewyższa stukrotnie panią pułkownikową. Żeby przerwać zatem wywody oburzonych mamus i nie mamus zabrała jedna z nas głos, tłumacząc zdenerwowanym paniom, że to, że się śmiejemy, absolutnie nie może nam ubliżać. Jesteśmy młode, chwała Bogu żyjemy, więc się śmiejemy, cieszymy się życiem, póki można. Poza tym nie jesteśmy w niczym gorszymi od Pani z Rodziny Wojskowej, jak nam się imputuje, bo same jesteśmy żonami oficerów (były 2 żony lotników, 1 porucznika) i uprzejmie prosimy nam nie ubliżać. Mimo tego, że się śmiejemy, to każda z nas, jak każdy Polak w Polsce, ma swoje osobiste tragedie: rozstanie z rodzicami, mężami, narzeczonymi, wyjazd gdzieś w nieznanie, itd.

Panie z Rodziny Wojskowej na chwilę umilkły, częściowo zmuszone przez siłę wyższą, bombowce niemieckie, które zaczęły napływać falami, bombardując w straszliwy sposób przez dobrą godzinę Siedlce. Przykucnęłyśmy gdzie się dało, w dziurach, zagłębieniach, pod drzewami, każda duszę miała na ramieniu, serce w gardle. Klepało się jak nieprzytomna pacierze, pot sphywał z czoła, przy

²² **Aparat Hughes'a** – urządzenie do przekazywania informacji na odległość za pomocą linii telegraficznych. Wiadomości były wybijane na wąskiej taśmie papieru za pomocą specjalnie zaprojektowanych czcionek wycinających w niej niewielkie otwory. Szybkość transmisji osiągała 180 znaków na minutę. System Hughes'a stał się standardem w krajach europejskich, gdzie stosowany był aż do końca ery telegrafu w drugiej połowie XX wieku.

każdym nowym wybuchu kurczył się człowiek jeszcze więcej w sobie. Chciałoby się pod ziemię schować, pod tę ziemię, która drżała nam pod nogami, tak walili niemilosiernie. Szukali lotry wojska, a zabijali ludność cywilną i zwierzęta. Na koniec skończyli! Odetchnęliśmy i zaczęliśmy ściągać na swe dawne miejsce. Ledwo żeśmy tam przybyły, gdy jedna z dam stawia nam pytanie: „– no czemu to się panie teraz nie śmieją? ...” Cóż człowiek miał tej pani odpowiedzieć, gdy jeszcze każdy nerw w nas drgał po przebytej przed chwilą emocji. Odpowiedziałyśmy pogardliwym milczeniem!

W związku z tym bombardowaniem przypomniało mi się opowiadanie pewnej znajomej mi Pani, która była wtedy w mieście (p. Sanocka). Siedziała z mężem na jakimś kamieniu pod drzewem. Gdy nareszcie zapanowała cisza w powietrzu, mąż zwraca się do niej: „chodź, idziemy, już pewnie nie wrócą”. Jak wryty stanął, gdy usłyszał odpowiedź żony: „nie wstanę, nie mogę, nóg nie mam, nogi straciłam!” „Co za historie wymyślasz, wstawaj”. „Kiedy ja naprawdę nie mam”. Przerażony mąż zaczął przyglądać się żonie niedowierzająco, gdy zobaczył jej nieruchomą, poważną twarz, doszedł do wniosku, że zwariowała. Zaczął ją przekonywać, tłumaczyć, masować nogi, aż wreszcie po 5-ciu minutach zdołał w nią wmówić, że nogi ma, że może wstać i chodzić. Z przerażenia zdrętwiała cała lub na pewien czas mózg jej przestał normalnie funkcjonować.

W Vatra Dornei nastąpił również podział: wyżsi wojskowi byli skierowani do Calimanesti, reszta, do kapitana włącznie do Corabi nad modrym, pięknym Dunajem! Rumuni pod naciskiem Niemców ulokowali wojskowych w obozach dla internowanych i otoczyli nas kordonem z pułkownikiem rumuńskim na czele. Niemcom chodziło o to, aby obniżyć do minimum ucieczkę wojskowych z obozów, którzy na odzew gen. Sikorskiego przekradali się do Francji.

Sam pobyt w Corabi nie był zły. Była świetlica z gazetami, dach nad głową, niezłe jedzenie. Wieczory spędzaliśmy w lokalnej restauracji przyklejeni do radia w oczekiwaniu na codzienne reportaże bohaterskiego prezydenta Warszawy Starzyńskiego, wysłuchiwalismy ich ze łzami w oczach, a te łzy leciały ciurkiem, gdy grano hymn Polski! Przez przeróżne możliwości staraliśmy się informować rodziny co się z nami dzieje i poprzez czerwony krzyż robiliśmy poszukiwania naszych najbliższych, którzy rozjechali się po Polsce. Ja, m.in. uczyłam się rumuńskiego, przychodziło mi to łatwiej ze względu na znajomość łaciny. Pobyt nasz w Corabi nie był długi. Jurek zauważył nad górną wargą ranę, lokalny lekarz uznał, że

podłoże może być rakowate i wysłano go na leczenie do szpitala w Bukareszcie, a to wszystko miało miejsce pod koniec listopada. Zbliżał się grudzień i święta. W połowie grudnia zebrałam się na odwagę i złożyłam wizytę dowódcy prosząc go w języku rumuńskim o zezwolenie na wyjazd do Bukaresztu. Były to pierwsze święta na obczyźnie, bez rodziny, „chcę być przy chorym mężu!”. Pan pułkownik pogratulował mi znajomości języka rumuńskiego, przydzielił eskortę w postaci porucznika i kilka dni przed świętami byłam z Jurkiem, który w międzyczasie szczęśliwie wyzdrowiał. Święta, wigilia minęły smutno i spokojnie w Bukareszcie.

Na obcych papierach ze zmienionymi nazwiskami opuściliśmy Rumunię w drodze do Francji przez Jugosławię i Włochy. Podróż została przerwana moją chorobą, wysoka temperatura, silne przeziębienie. Szczęśliwie w Zagrzebiu w Jugosławii wciąż funkcjonował konsul polski. Umieszczono nas w jakimś młodzieżowym hostelu, przysłali lekarza, dr. Prašek²³, Polka, urocza Pani, która więcej niż serdecznie zajęła się mną, wyleczyła i rozpoczęła walkę z Jurkiem. Uważała, że powinnam zostać w Jugosławii pod jej opieką, a Jurek jak chce walczyć, to niech sam jedzie do Francji. Byliśmy z nią w kontakcie listownym poprzez długie lata.

Środa, 3 stycznia 1940

Opuszczamy Rumunię do Jugosławii. W dniu 3 stycznia 1940 r. przekroczyliśmy o godzinie 11 rano granicę rumuńską i wjechaliśmy na teren Jugosławii. Naszą pierwszą czynnością było cofnięcie zegarków o jedną godzinę. Czas taki sam jak w Polsce. Jednak tu inna atmosfera, jakże inne ustosunkowanie się do nas, uchodźców, Serbów i Chorwatów. Tyle serca, tyle współczucia, czego nie doznaliśmy wcale od Rumunów. A jaka przepaść między przeprowadzeniem rewizji przez Rumunów i przez straż celną jugosłowiańską?...

Zaraz po minięciu granicy przesiadłam się do przedziału Jureczka. Prócz nas siedziała tam pewna starsza pani, a na następnej stacji wsiadł jeszcze Serb, jak się później okazało Żyd. (Wolf Aleksander). Ileż ci ludzie okazali nam serca, to trudno opisać. Byłam po prostu wzruszona. Muszę przy tym zaznaczyć, że

²³ **Bronisława Gałczyńska-Prašek** – (1887–1969) polska lekarka, studiowała medycynę we Lwowie. W 1912 r. uzyskała dyplom lekarski na Uniwersytecie Wiedeńskim. W 1913 r. wyszła za mąż za Czecha, Emila Praška. W 1915 r. wraz z mężem wyjechała do Sarajewa, gdzie była pierwszym lekarzem pediatrą. W 1921 r. wyjechała do Zagrzebia, gdzie jej mąż otrzymał propozycję pracy. W czasie II wojny światowej jej dom był miejscem schronienia dla żołnierzy Armii Krajowej, którzy trafili do Chorwacji. Za pomoc Żydom została odznaczona medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Postanowieniem Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego z 27.11.1998 r. została pośmiertnie odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej za wybitne zasługi w niesieniu pomocy polskim uchodźcom w czasie II wojny światowej.

uczucia tego rodzaju doznawałam po raz pierwszy do chwili opuszczenia Polski. Często wiali nas czym mogli, a więc Jurka papierosami, mnie rogalikami, cukrem, itd. Jednym słowem podróż upłynęła nam przyjemnie, bo po wyjściu naszych miłych towarzyszy podróży w Suboticy, wsiadł młody człowiek, który mówił wcale nieźle po polsku. Matka jego była Polką, pochodziła z Krakowa, a on sam będąc dzieckiem kilka lat był w Polsce. Mieliśmy w tym dniu szczególne szczęście do ludzi znających nasz język, bo po wyjściu jednego wsiadł drugi, młody profesor, który w 1933 r. bawił w Polsce zaproszony jako student przez akademików. Był 3 miesiące nad morzem, zwiedził również Warszawę. Rozmawialiśmy z nim po polsku, z początku szło to kulawo, a później coraz lepiej, coraz to więcej sobie przypominał.

Osób do przedziału przybywało. Oczywiście, gdy dowiedzieli się, żeśmy Polacy, zaczęli się o różne rzeczy wypytywać – a dlaczego Anglia nie wystąpiła zaraz przeciw Niemcom? A dlaczego Anglia nie stanęła w obronie Czechosłowacji? Dlaczego Rydz-Śmigły zawiódł, dlaczego nie oddaliśmy Gdańska lecz wybraliśmy wojnę? Itd. itd. Na te wszystkie pytania i cały szereg innych musieliśmy odpowiadać, tłumaczyć Anglię, bronić, wbrew naszym poglądom, osoby b. Marszałka, bronić nasz sztab..., że musieliśmy ulec, ani Marszałek, ani naczelne dowództwo nic zrobić nie mogło, nas tak mało, wrogów tak dużo. Uwierzyli. Mówiliśmy tak przekonywująco, że uwierzyć musieli. Daj Boże by wierzyli w to zawsze. Niech nie dojdą do tego samego przekonania, do jakiego doszli wszyscy Polacy, że przecież gdybyśmy tam pozostali wszyscy, gdyby umiał ktoś nami pokierować, gdyby dano tysiącom ludzi broń do ręki z magazynów, z tych magazynów, których setki stały się łupem Niemców, gdyby umiano wykorzystać zapal jaki tkwił w całym narodzie, że przecież bronilibyśmy się nie dwa tygodnie jak zapowiadał Hitler, a miesiące, dwa, a może i więcej.

Mają prawo Rumuni czy Węgrzy nas lekceważyć, śmiać się w oczy, kpić a nawet popchnąć kolbą karabinu kapitana Wojska Polskiego, gdy uznają to za stosowne. My dziś jesteśmy bezsilni!

Czwartek, 4 stycznia 1940

Przyjazd do Zagrzebia nie okazał się dla nas szczęśliwym. Wskutek opóźnienia się pociągu przyjechaliśmy o 12-ej w nocy zamiast o 22-giej. Rzeczy zostawiliśmy na dworcu, w tzw. garderobie i tramwajem pojechaliśmy do hotelu poleconego nam przez naszego ostatniego towarzysza podróży (Ivan Kubanović,

prof. Prijedor). Hotel, w którym chcieliśmy się zatrzymać nosił piękną nazwę „Trzy gawrony”, mniej pięknie jednak zachował się w stosunku do nas portier tego hotelu, który nie chciał nas przyjąć i żądał zezwolenia od policji. Cóż mieliśmy robić? Udaliśmy się na policję. Bardzo mili wszyscy, uprzejmi, oświadczyli, że żadnego pozwolenia wydawać nie ma potrzeby i zgadzają się na nasz pobyt w Zagrzebiu i zatrzymanie się w hotelu.

Na policji był również pewien pan cywil. Należał do „Graždanska Zaščita”, co się równa naszej polskiej straży obywatelskiej. Poradził nam, żeby pójść do Ogniska Polskiego, gdzie nocleg nic nas nie będzie kosztował i ofiarował się nas tam zaprowadzić. Po długim dobijaniu się do drzwi otworzył nam pewien pan w pidżamie z miną złowrogą (p. kierownik Cichoń). No bo jakże? Godzina późna w nocy, a ktoś ośmielił mu się przerwać sen... Wyjaśniliśmy mu cel naszej wizyty. Okazało się, że łóżka są, ale musimy mieć najpierw pozwolenie z Konsulatu Polskiego. Poza tym nie przyjmuje się... bez uprzedniej dezynfekcji, a tertio Ognisko jest tylko dla panów, ale ponieważ jest łóżko wolne, mógłby mnie również w drodze wyjątku przenocować. Rozchodzi się tylko o pozwolenie z Konsulatu.

Nieuprzejme zachowanie się tego pana usposobiło mnie niechętnie do pozostania tutaj, ale Jureczek zdecydował się pójść po pozwolenie, więc usiadłam w poczekalni i byłam mimowolnym świadkiem rozmowy, jaką przeprowadził za ścianą pan kierownik ze swoją małżonką: „Co znowu?... ale gdzie?... ale skąd?... mowy nie ma, żeby tu kobieta nocowała! nigdy tego nie było!” itp., itd. Życzenie żony było dla pana kierownika rozkazem, bo wyszedł i oświadczył nam (a w tej samej chwili wrócił Jureczek i nie mógł wydostać się z gmachu), że po porozumieniu się z żoną doszedł do wniosku, że ja tu nocować nie mogę. Cóż było robić? – przeprosiliśmy bardzo, że o tak późnej porze zbudziliśmy, no i że to nie nasza wina, bo spóźnił się pociąg. W odpowiedzi usłyszeliśmy „trudno, taki to już los człowieka”. Zaznaczyć muszę, że cała nasza rozmowa odbywała się w obecności naszego przewodnika, który nie omieszkiał wyrazić słów zdziwienia, a nawet oburzenia, że nas nie przyjęto!

Poszliśmy więc dalej, zdecydowani nocować w hotelu, chociaż 100 dinarów za noc dla naszej kieszeni w naszych warunkach, to zawrotna suma. To niemal cały nasz majątek w dinarach, nie byliśmy przecież przygotowani na zatrzymanie się w Zagrzebiu. Wróciliśmy zatem jeszcze raz na policję by wziąć

pozwolenie pisemne, słusznie jak się później okazało przewidując, że bez tego nas nie przyjmie. Na policji ktoś wskazał nam tańszy hotel „Złota karczma”. Telefonicznie sprawdzili cenę, kosztował tylko 66 dinarów. Idziemy tam z naszym miłym przewodnikiem, a po przybyciu okazuje się, że 66 dinarów, ale bez opału. Z opalem kosztuje przeszło 100 dinarów. Centralnego ogrzewania nie ma, więc długo będzie trzeba czekać na ogrzanie się pokoju.

Zbyt czuliśmy się zmęczeni i podróżą i tym uganianiem się za noclegiem, żeby pozostać w zimnym pokoju, a więc zrezygnowaliśmy. Ostatecznie wróciliśmy do hotelu pod „Trzema gawronami”, a ponieważ nie mieliśmy zezwolenia pisemnego, idzie z nami p. Ivo Milašin. Obecność tego na wpół policjanta nie była jednak dostatecznym świadectwem dla p. portiera, który jak się później okazało był Niemcem, a więc stało się wszystko jasnym, dlaczego tyle trudności nam robił.

Ostatecznie tę sporną kwestię załatwił telefon na policję. Efekt końcowy był taki, że była godz. 3 nad ranem, gdy śmiertelnie znużeni kładliśmy się spać. Nie długo trwał jednak błogostawiony sen, bo o 9-ej rano obudził nas nasz chorwacki przyjaciel z pociągu, który obiecał poprzedniego dnia oprowadzić nas po Zagrzebiu. Wstaliśmy więc, ubraliśmy się szybko i o godzinie dziewiątej byliśmy na dole gotowi.

Dzień ten jednak okazał się dla nas nie mniej przykry od poprzedzającej go nocy. Wstałam już z silnym bólem głowy, cały ranek bardzo źle się czułam, zawroty, osłabienie do tego stopnia, że postanowiłam pozostać w hotelu, no ale sprzeciwiał się temu Jureczek, który zaczął mnie przekonywać i tłumaczyć: „Haniątko, nie bądź leniuszkiem, musisz się przemóc, trzeba przecież coś zobaczyć, skoro się tu zatrzymaliśmy, a zresztą, jak wyjdiesz na świeże powietrze, poczujesz się lepiej...”. Ten ostatni argument skłonił mnie do wyjścia, tym bardziej, że stan ten oboje przypisywaliśmy wyczerpaniu wskutek długotrwałej podróży.

Przede wszystkim, żeby było taniej, poszliśmy do Bar-Automatu na śniadanie, które zjadł tylko Jureczek. Ja ograniczyłam się do wypicia filiżanki kawy. Stamtąd udaliśmy się na zwiedzanie miasta. Zaczęliśmy od katedry w stylu gotyckim. Piękne organy, niemniej piękne witraże, ołtarz, rzeźby, tron arcybiskupa, razem to wszystko tworzyło naprawdę ładną całość, nie mówiąc już o zewnętrznym jej uroku.

W pobliżu katedry znajdują się hale, poszliśmy więc je obejrzeć. Schodziło się do nich w dół po schodach. Stałam jak wryta, na moment zapomniałam o swych dolegliwościach. Coś tak pięknego i praktycznego jeszcze nie widziałam. W Polsce tego nie mieliśmy. Białe kafle, którymi wykładane są ściany i podłoga, lśnią od czystości. Nie ma rzeczy potrzebnej do prowadzenia gospodarstwa domowego, której by tam człowiek nie dostał. Chociaż nie umiem gotować, ale w tych warunkach chętnie podjąłabym się sama prowadzić gospodarstwo. W jednym miejscu dostaję wszystko, co mi jest potrzebne, a więc mięso, drób, ryby, wędliny, słoninę, smalec i to wszystko w najlepszym gatunku. Tak ładnej, tak grubej słoniny nigdzie nie zdarzyło mi się spotkać. Własne stoiska mają tu kobiety ze wsi, które przychodzą z doskonałym masłem, serami, śmietaną. Sklepy spożywcze, piekarnie, owoce, jarzyny, sklepy z garnkami, miskami, łyżkami, talerzami.

Olbrzymi kontrast z Rumunią, gdzie żeby dostać kawałek mięsa, to trzeba było wstawać o piątej rano, czekało się z godzinę lub dwie, a i tak często odchodziło się z kwitkiem. Na kilo słoniny oczekiwało się miesiąc cały. Masła i śmietany kobiety na targ nie przynosiły. Trzeba było kupować wyroby śmietankowe produkowane i sprowadzane z Niemiec, z niemieckimi napisami na papierze, które po dwóch dniach nie nadawało się do użytku, tak pachniało lojem. Wszystko masowo odchodziło barkami, Dunajem do Niemiec. Za tym, co można było dostać, człowiek musiał się pół dnia uganiać, bo mięso na jednym końcu miasta, słonina na drugim, mąka, czy ryż na trzecim, jarzyny na placu, a jajka i drób jeszcze na innym placu. Mało, że gotować się nie chciało, ale w ogóle jeść, gdy człowiek pomyślał co go czeka, zanim zaopatrzy się w podstawowe produkty. To nie jest specjalnie niechętnie nastawienie do Rumunii, może w innych miastach było lepiej, opisuję to co widziałam w Corabii, a przecież przez trzy miesiące miałam możliwość poznać to miasto dobrze.

Wracajmy jednak do naszych hal w Zagrzebiu. Przyznaję, że opuszczałam je z żalem, oj, kupowałoby się tutaj, gdyby były pieniądze. Po obiedzie, ledwie trzymając się na nogach wróciliśmy do hotelu i zaraz położyłam się do łóżka. Nasz cicerone miał przyjść o piątej. Ja w międzyczasie się przespalam niespokojnym snem, obudziłam się z jeszcze większym bólem głowy, jak miałam. Wypożyczonym z apteki termometrem zmierzyłam gorączkę. Niedobrze, jest 39st. Głowa, całe ciało rozpalone, żar bucha ode mnie. Co robić?

– o wyjeździe mowy nie ma. Na dalszy pobyt w hotelu nie mamy pieniędzy, tak czy inaczej trzeba się wynosić. Najdalej wolno nam przebywać w pokoju do godziny 19-ej. Chwiejąc się na nogach wstałam z łóżka, taksówką pojechaliśmy do Konsulatu Polskiego prosić o radę i pomoc.

Załatwianie różnych formalności trwało pół godziny. W końcu dano nam kartkę do Czerwonego Krzyża plus 100 dinarów na pierwsze potrzeby. Na godzinę 21-ą obiecali przysłać lekarza. Tragedia nasza polegała na tym, że nie przewidując dłuższego pobytu na terenie Jugosławii nie zaopatrzyliśmy się w dinary. Mieliśmy z sobą około dwóch tysięcy lei, ale żaden bank nie chciał nam ich wymienić, twierdząc, że tych pieniędzy im nie potrzeba. O 21-ej przyszła dr Prašek, jak się okazało Polka, ale obywatelka jugosłowiańska. Bardzo miła, uczynna i dzielna niewiasta. Zbadła mnie, opukała, stwierdziła gripę i nie pozwoliła przez kilka dni wstawać z łóżka. Mało tego, że przez Jureczka przyniosła mi lekarstwo, ale przyniosła również kawy, upiekła mi bułkę, a gdy wstałam po raz pierwszy, zaprosiła nas na obiad i już mnie od siebie do wyjazdu nie wypuściła. Wykąpałam się przed pójściem spać, wykąpałam się następnego dnia rano, trochę odżyłam... Mało tego, Jureczkowi dała 100 dinarów i 20 lirów, mimo, że wziąć nie chciał. Stało na tym, że zwróci przysłaniem z Paryża „Głazu Polskiego”.

Pieniądze te przydały nam się bardzo, bo byliśmy dosłownie bez grosza, w tym wypadku – bez dinara. Jakby nie było, cały tydzień pobytu w Zagrzebiu kosztował nas trochę pieniędzy, 30 dinarów musieliśmy zapłacić za pobyt w Czerwonym Krzyżu, poza tym trzeba było za coś żyć. Skromny obiad kosztował 10-12 dinarów, a kolacja, a śniadania? Jureczek był jeszcze raz w Konsulacie, prosił o umożliwienie mu wymiany lei na dinary, niestety załatwić tego nie mogli. Prosił więc o pożyczanie mu jeszcze 100 dinarów, z tym, że przyśle z Paryża. Stanowczo odmówił mu obecny urzędnik. Odmówił również, gdy Jureczek wyraził ochotę (życzenie) porozmawiania w tej sprawie z konsulem. „Pan Konsul nie jest od załatwiania tego rodzaju spraw, to nie leży w kompetencji Pana Konsula” – brzmiała odpowiedź. Mimo woli nasuwa się uwaga: a od czego to właściwie pan konsul jest, i co leży w zakresie jego kompetencji, zwłaszcza teraz, gdy tak dalece aktualną jest pomoc uchodźcom. Moja niespodziewana choroba, to przykry dla nas obojga wypadek, nie byliśmy na nią przygotowani,

dlatego byliśmy zmuszeni zwrócić się o pomoc do polskiego konsula i odmówić nam nie powinni. Okazało się inaczej.

Ale przestaliśmy się dziwić, gdy Pani dr Prašek opowiedziała nam dokładnie o panujących stosunkach w polskiej placówce. Panowie konsulowie zmieniali się tam bardzo często, obecnie konsulem jest p. Mieczysław Grabiński²⁴, człowiek dobry, ale mało energiczny. Nie umiał sobie dać rady z tym bezhołowiem, jakie tam panowało. Jego poprzednik był człowiekiem charakteru, bardzo energicznym, który niewątpliwie by zaprowadził porządek, ale niestety wygryzł go po pewnym czasie niejaki pan Roman Kowalik²⁵. Ten, aczkolwiek urzędnik nieetatowy, utrzymywał się na swym stanowisku bardzo długo i on właściwie trząśł konsulatem i on dobierał sobie konsulów. Intrygant, osobistość mocno podejrzana. Na stanowisku referenta emigracyjnego był p. Wiktor Pol, niegdyś konsul w Zagrzebiu. Też rzecz niedopuszczalna, by były kierownik pełnił w tym samym urzędzie funkcję podrzędną ze zmniejszonymi w trójnasób poborami, chociażby ze względu na swój prestiż, na autorytet władzy, jeśli nie będziemy mówić o braku ambicji u tego pana. Żona p. Pola nie umie mówić po polsku, jest albo Żydówką, albo Niemką. Podejrzany typem jest również woźny Józef, który ma żonę rodowitą Niemkę, polskiego języka nie znającą zupełnie. Trzeba przyznać, naprawdę ciekawy zespół. Chciałabym wiedzieć, ilu tam jest na usługach Hitlera?

Wtorek, 9 stycznia 1940

W dniu 8 stycznia o godz. 22.00 serdecznie żegnani i obdarowani na drogę herbatą i małą buteleczką doskonałej chorwackiej śliwowicy, wyjechaliśmy dalej. Razem z nami w jednym przedziale jechało trzech Polaków, którzy uciekli z Węgier. Z opowiadań ich dowiedzieliśmy się, że znacznie więcej

²⁴ **Mieczysław Grabiński** – (1893–1960) polski urzędnik konsularny i dyplomata. Pełnił funkcję sekretarza w konsulatach w Odessie (1919–1920) i Królewcu (1920), sekretarza w poselstwie w Moskwie (1921–1924), wicekonsula w Belgradzie (1925–1926) i Zagrzebiu (1926–1928), radcy w komisariacie generalnym w Gdańsku (1928–1929), konsula generalnego w Wiedniu (1935–1939), Monachium (1939) i Zagrzebiu (1939–1941). Aresztowany 14.04.1941 r. przez chorwackich ustaszowców i wydany gestapo. Spędził kilka lat w obozie koncentracyjnym w Dachau. Po II wojnie światowej prezes Polskiego Związku b. Więźniów Politycznych Obozów Koncentracyjnych oraz prezes Międzynarodowego Komitetu Uchodźców Politycznych w Niemczech, członek Instytutu Badań Spraw Międzynarodowych w Londynie, Ligi Niepodległości Polski, Instytutu Marszałka Józefa Piłsudskiego, prezes Stowarzyszenia Pracowników Polskiej Służby Zagranicznej. Zmarł w Londynie.

²⁵ **Roman Kowalik** – pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych II RP i konsulatu RP w Zagrzebiu. Autor przewodnika pt. „Jugosłowiański Adriatyk – Dalmacja”, wydanego w 1936 r. przez Związek Polaków – Ognisko Polskie w Zagrzebiu.

trudności musieli pokonywać, niż uchodźcy z obozów rumuńskich. W Rumunii najgorszą rzeczą była ucieczka z obozu. Gdy się wyjechało poza teren obozu, ¾ trudności miało się poza sobą. Ambasada w Bukareszcie ułatwiała zdobycie paszportów, wiz, zaopatrywała w bilety. Inaczej było na Węgrzech. Ucieczka z obozu była wstępem do wielu jeszcze przeżyć i przygód, jakie czekały naszych bohaterów.

Jedną rzecz, że ambasada polska w Budapeszcie robiła w wielu wypadkach trudności. Wydawano tylko paszporty z jedną wizą francuską. To było bardzo niewiele. Brak było wizy węgierskiej zezwalającej na wyjazd, brak było wizy jugosłowiańskiej oraz greckiej lub włoskiej. Myślę, że przyczyną najważniejszą było to, że w Rumunii potęgą był pieniądź. Za tysiąc lei, płaconych przez naszą ambasadę władzom rumuńskim, wszystko dało się uzyskać i zabierało to niewiele czasu. Nasi rodacy opuszczający Węgry musieli ukrywać się przed czujnym okiem Węgra, w biegu wskakiwali do pociągu, wiele trudności musieli przezwyciężyć przy przechodzeniu „zielonej granicy”. Po jej przejściu, już na terenie Jugosławii, należało się pilnie wystrzegać w obrębie 50 km pasa przygranicznego wszelkich pograniczników, którzy, zdarzało się, że ich zawracali i oddawali władzom węgierskim z powrotem. Wtedy sytuacja wesołą nie była. Tacy nieszczęśnicy osadzani byli w obozie karnym, skąd wydostanie się było prawie niemożliwym. Ale gdy udało im się szczęśliwie przebyć te 50 km bez specjalnych przygód, dostawali się do ambasady w Belgradzie i tam uzupełniali brakujące wizy, albo wystawiano im w ogóle nowe paszporty i dalej jechali już śmiało.

Wracam do tematu. Granicę jugosłowiańsko-włoską przekroczyliśmy gdzieś o 3-ej w nocy koło miejscowości Rijeka. Rewizja przeszła bez wrażenia. Obydwie strony ograniczyły się do obejrzenia paszportów. Włosi zapytali o kawę, pieniądze i papierosy. Po skwapliwym zapewnieniu z naszej strony, że żadnej z wymienionych rzeczy nie posiadamy, poszli dalej. W Trieście byliśmy rano o 7-ej, po dwugodzinnym postoju pojechaliśmy dalej oglądając przez okno przepiękne widoki. Jak ślicznie położony jest Triest. Jakież cudne jest morze adriatyckie, jego zielonkawy kolor. Ileż uroku posiadają stare zameczki stojące na skałach wciskających się w morze. Niezapomniany widok! Ręce składałam w niemym zachwycie nad tymi cudami. Jakże tu pięknie musi być w upalny, słoneczny dzień letni. Ciekawa byłam, jaki też kolor mają wody Adriatyku?

Pociąg mknął szybko naprzód, z każdą chwilą oddalaliśmy się. Coraz dalej było morze, coraz smutniej na sercu. Oczy wypatrywały, szukały, ale niestety... zniknęło! Krajobraz stawał się mniej ciekawy. Równiny wokół, dużo winnic, ale smutne, szare, bez uroku, tak jak u nas w Polsce, w deszczowe jesienne dni wyglądają nasze kasztany, lipy, brzozy, gdy opadnie z nich ostatni liść....

Charakterystyczne były oglądane przez okno domki i domy małych miast i osiedli włoskich. Wszystkie bardzo już stare, podobne do siebie, równiutkie rzędy bardzo małych okienek. Zwłaszcza mikroskopijne były okieneczka na górze. Z początku wydawało mi się, że to musi być strych, ale obecność firaneczek w tych okienkach wskazywała na to, że są zamieszkane. Mieszkańcy tych domków musieli być bardzo biedni! Z podziwem natomiast człowiek patrzył na szosy włoskie, równiuteńkie, asfaltowe, ślicznie wiły się i przecinały kraj wzdłuż i wszerz. Z zazdrością nieomal patrzyliśmy. Kiedy my się takich doczekamy?

Przesiadł się do naszego przedziału w drodze pewien młody człowiek, jak się okazało podporucznik węgierski. Jechał do Wenecji dla nabrania wprawy we władaniu językiem włoskim. Rozmawialiśmy po niemiecku. Gdy zapytaliśmy czym wytłumaczyć fakt złego ustosunkowania się Węgrów do Polaków, odpowiedział, że w rzeczywistości Węgry są przychylnie usposobione dla internowanych, nieco ciężiej jest w obozach karnych, a jeżeli czasem są aresztowania Polaków, jeżeli wylapują i przeszkadzają w ucieczce Polakom, tłumaczy się to naciskiem ze strony niemieckiej, obawą przed agresją. Czy uchodźcom było dobrze, czy źle na Węgrzech, nie mogę opisać. Muszą się wypowiedzieć ci, którzy tam byli. Myślę, że na pewno tak, jak w Rumunii, zdania będą podzielone.

Gawędząc o tym i owym podróż dalsza upłynęła nam dość szybko. Oblicza znowu poweselały, gdyż mieliśmy morze, tym razem wokół siebie, z jednej i drugiej strony pociągu. Za chwilę byliśmy w Wenecji, przyjechaliśmy tam 9 stycznia o godz. 12-iej w południe. Nasz nowy przyjaciel, który Wenecję i miejscowe warunki zna doskonale, gdyż był tu już dwa razy, pomógł nam w wyszukaniu hotelu. Zimno w nim było jak w psiarni, tak samo zresztą jak i w całej Wenecji. Wiatr silny, mróz taki, że ja miałam wieczną febrę, dygotałam w rumuńskim futrze. Ja, mieszkanka północy, przyzwyczajona do znacznie

silniejszych mrozów z podziwem patrzyłam na Włochów w letnich płaszczach i na gromady dzieciaków w skarpetkach... Zastanawialiśmy się z Jurkiem i do dziś nie umiemy wyjaśnić, jak oni to znoszą?

A więc straszliwie przejmujące zimno oraz silne bóle spowodowały, że poszłam natychmiast do łóżka, mając butle z gorącą wodą wokoło siebie. Mimo zapewnień gospodyni, z którą się porozumiewaliśmy po niemiecku, że za godzinę, dwie, będzie w pokoju gorąco (centrale ogrzewanie), minęło całe pół dnia, dzień następny, i do naszego wyjazdu, pokój się nie rozgrzał, nie było nawet ciepło, tak, że ja się z butelkami nie rozstawałam nigdy.

Jureczek wyszedł zjeść obiad i przy świetle coś niecoś zobaczyć. Ja tymczasem po wypiciu gorącego wina starałam się usnąć. Przeszkadzało mi w tym ciągle, bezustanne bicie dzwonów. Jeden kościół kończył, drugi zaczynał, a ponieważ kościołów w Wenecji mało nie jest, bicie to nie kończyło się. Były, każdy inaczej, w innym tonie, przeważnie pogrzebowym, smutnym. Dlatego też początkowo myślałam, że pogrzeb jakiś musi być, ale gdy tak były przez godzinę, a później po 20 minutowej przerwie zaczynały na nowo, odpadło to przypuszczenie. I do dziś nie wiem, dlaczego tak były.

O godzinie 7 wieczorem wrócił Jureczek. Ponieważ nieco lepiej się czułam, wstałam i poszliśmy na kolację. Tu, jak i w Rumunii, ratowała nas znajomość języka niemieckiego. Jedna rzecz nas nieprzyjemnie uderzyła, że wbrew wiadomościom podawanym przez prasę, bynajmniej nie zauważyliśmy tu, ani w restauracji, ani gdzie indziej, wrogiego nastawienia do Niemców, za których nas niewątpliwie brano. Wręcz przeciwnie, wszyscy byli bardzo uprzejmi, grzeczni, a nawet życzliwi w niektórych wypadkach. Nieomal w każdym sklepie język niemiecki znali. Oficerowie wchodzący, czy opuszczający salę żegnali lub witali się faszystowskim podniesieniem ręki. Po kolacji przejechaliśmy się tramwajem morskim na Plac św. Marka, by mieć pojęcie jak Wenecja wygląda w nocy..., a wyglądała cudnie, moc uroku i tajemnic. O 3-ej wróciliśmy do hotelu.

Środa, 10 stycznia 1940

Rano zadzwonił do nas nasz węgierski przyjaciel. Za godzinę spotkaliśmy się z nim i poszliśmy zwiedzać Plac św. Marka. Piękny on, piękny. Zrobiliśmy tradycyjnie zdjęcie z gołębiami, których niezliczone mnóstwo tam jest, zwiedziliśmy kościół św. Marka, którego smutna przyszłość czeka, bo powoli ale

stale, mimo podtrzymujących go żelaznych rusztowań, zapada się w ziemię. Widzieliśmy „most lez” i kupiwszy kilka drobiazgów poszliśmy pieszo do domu by dokładniej zwiedzić miasto. Jeżdżąc tramwajem stale, niewiele by się zobaczyło. A nie przypuszczałam, by Wenecja miała tak przepiękne, na wzór wielkich europejskich miast, wystawy. Piękne, bogate, pamiątkowe miasto.

Wracając wstąpiliśmy do jakiejś knajpki. Panowie bowiem chcieli skosztować morskich specjalów. Ja ograniczyłam się do roli widza. Na pierwszy ogień poszło małe stworzonko podobne do ośmiornicy. Widocznie nie bardzo dobre to było, bo ledwie wzięli do ust, natychmiast, jak na komendę, poderwali się z krzesel i biegiem do spluwaczki. Jureczka sąd o tym streścił się w kilku słowach: „cholera niech to weźmie!”. Węgier natomiast w jednym słowie: „Schweinerei”.

Czwartek, 11 stycznia 1940

Mając ręce, człowiek nie zginie. Zawsze da sobie radę i zawsze potrafi się porozumieć. Nie znając zupełnie włoskiego doskonale dawałam sobie radę z robieniem zakupów. 11 stycznia wyjechaliśmy z Wenecji dążąc do granicy francuskiej. Zwiedziliśmy trochę po drodze Mediolan, bo kilka godzin czasu mieliśmy do pociągu do Modane. A więc widzieliśmy słynną La Scalę, operę, na której deskach próbowali szczęścia nasi wielcy śpiewacy, między innymi i Kiepurą. Budynek na zewnątrz raczej niepozorny i skromny, gdzie mu tam do naszej opery warszawskiej. Wewnątrz może i okazały, ale nie widziałam. Zwiedziliśmy też cudowną, wspaniałą Katedrę Mediolańską, naprawdę cudna, koronkowa robota. Ładny jest cały Mediolan, śliczny dworzec. Jadąc tramwajem przez miasto widziało się długie szerokie bulwary, nowoczesne gmachy, po bokach ulic trawniki i klomby.

Z Mediolanu wprost na Modane wyjechaliśmy późnym wieczorem, przejeżdżając przez Turyn. Do Modane przybyliśmy gdzieś o 2-giej w nocy. To była już Francja.

Modane, 12 stycznia 1940

Zmęczona byłam śmiertelnie, ale nie dane mi było iść zaraz do łóżka. Na dworcu jakaś rewizja, później ja poszłam do poczekalni, kiwać się na krześle. Siedziałam między jakąś Francuzką i Włoszką, obie z dziećmi, które się niemiłosiernie darły. W międzyczasie Jurek w jakimś office przechodził badanie. Wszystkich zapisywali, jeszcze na szczęście nie badali, odkładając to do dnia

następnego. Ale za to jakiś pan „trzymał” mowę do ochotników na temat obowiązku, honoru i czci. Trwało to razem ze dwie godziny. Później przyszedł po mnie i wyszliśmy do miasta. Z miejsca bym się przewróciła potykając się o jakiś schodek. Powód: rozespanie i black-out, od którego się zdążyłam odzwyczaić, siedząc w Rumunii. Na moje szczęście hotel, wiadomo „Modern”, był naprzeciw dworca i była jeszcze jedna miła rzecz, to woda gorąca i zimna. Umyłam się, nareszcie ubrałam się w nocną koszulę i spać, spać..., spaliśmy jak zabici do 1-ej w południe.

Nie pamiętam daty, ale pod koniec stycznia dobrnęliśmy do Paryża, poprzez krótki postój w niesamowicie zimnej Wenecji, Mediolan, Turyn, Grenoble, Lyon, Paryż. Pamiętny, ale jakże krótki był nasz pobyt w Paryżu. Mimo stanu wojny, mimo zimy, mimo black-out’u, nareszcie poczułam się pewniej, spokojniej, lepiej, a gdy już przyszła piękna wiosna paryska, gdy już trochę mogłam porozumieć się z tubylcami, gdy Francja przygotowywała się do wojny, trochę normalniejsze życie. Jurek postarał się o odnalezienie mojego wujka, który w Paryżu osiadł od lat 40-stu lub więcej, był najmłodszym bratem Hanusi, z którym od wielu długich lat nie była w kontakcie, do momentu gdy któregoś wieczora zapukał do naszych drzwi oświadczając: Jestem Henryk Wiltosiński, wujek Hani. Był miły i serdeczny, miał żonę i dwie córki, obie o kilka lat starsze ode mnie, jedna tylko znała język polski. Dzięki temu spotkaniu śniadanie wielkanocne w 1940 r. mieliśmy polskie, smaczne i rodzinne.

Drugim wydarzeniem wielkiej wagi było odnalezienia Janka Górskiego, młodszego brata Jurka. Po ukończeniu Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie Polski Export wysłał go do Afryki – Gold Coast w celu nawiązania kontaktów handlowych. Nim zdążył to zrobić wybuchła 2-ga wojna światowa i Janek doszedł do wniosku, że jego obecność jest konieczna w kraju, zapakował walizki i rozpoczął powrotną podróż. Dotarł do Francji i dowiedział się, że wojna w Polsce się skończyła i że mamy dwóch okupantów. Dowiedział się, że we Francji szkołą młodych ludzi przed przyjęciem do wojska, zapisał się. Jurek tak długo szukał Janka po świecie, aż go znalazł, byliśmy szczęśliwi otrzymując od niego list, że łąka dzień nas odwiedzi. Ja oczywiście zaplanowałam wspaniałe przyjęcie – pierwsze w moim małżeńskim życiu. Pomimo instrukcji i pouczeń przyjaciółek nic mi się nie udało, im dłużej pieczeń dusiłam, tym była coraz twardsza – poszła na śmieci, a my do restauracji! Z biegiem lat zostałam dobrą kucharką, ale Janek tę pierwszą pieczeń wypominał mi długo.

Wracając do wujka Henryka, po opuszczeniu Francji więcej już go nie widzieliśmy. Od rodziny w kraju dowiedzieliśmy się, że był z wizytą w kraju, tuż po zakończeniu działań

wojennych, zobaczył braci: Kazika i Edwarda i siostry Jadwigę i Bronisławę. Dzisiaj nikt z wymienionych osób nie żyje.

Po tej rodzinnej wstawce wracam do Paryża. Otóż, Francuzi spali spokojnie, bo mieli swoje wspaniałe fortyfikacje – linię Maginota. Czego nie przewidzieli, to to, że Niemcy zignorują to stuprocentowo pewne zabezpieczenie, uderzą od północy, poprzez Holandię i Belgię. Zrobili to i mieli drogę otwartą do Francji. W Paryżu powstał popłoch i nerwowa ewakuacja. Polskie rodziny wojskowe wywieziono na zachodni brzeg Francji do Les Sables-d'Olonne. Jako ta najmłodsza znalazłam się trochę pod opieką pań, obie żony pułkowników Mniszka i Wojciechowskiego. Siedzieliśmy któregoś pięknego popołudnia w restauracji, nagle powstaje niesamowity chaos i krzyk, ludzie rzucają się sobie w ramiona. Marszałek Petain ogłosił przez radio zawieszenie broni i pokój z Niemcami. Francuzi oszaleli z radości, a nasz stolik płakał.

Zaraz potem przyszła słynna Dunkierka i ekspedycja wojsk brytyjskich, francuskich, polskich, etc. Był to czerwiec 1940 r²⁶. Od brzegów Anglii do Francji płynęły okręty, statki handlowe, jachty i barki, łodzie rybackie i prywatne, byle zdążyć, byle przetrwać do Anglii jak najwięcej wojska i rodzin. Rano, gdzie mieszkałam, zajeżdża ciężarówka wojskowa z dwoma polskimi żołnierzami: „proszę się pakować, jedziemy do portu”. Ja gotowa w pół godziny, panie Mniszkowa i Wojciechowska oświadczyły, że zostają we Francji, że nie będą się po świecie tułać! W Londynie spotkałam ich mężów, ileż ci ludzie stracili zdrowia i pieniędzy, aby je sprowadzić do Anglii po wieloletnich staraniach. Dowieziono nas do portu La Rochelle, 3 handlowe statki stały na redzie, dowieziono nas do nich łódkami, co było przerywane nalotami niemieckich bombowców. A już potworne było dostanie się na pokład tych statków po drewnianych schodkach na linach. Gdy z łódki spjrzałam w górę widziałam ścianę statku kończącą się pod niebem. Pan Bóg miał nas wówczas pod swoją opieką.

*Sobota, 22 czerwca 1940, godz. 15. Zawieziono nas na okręt „Delius”
do portu Le Verdon. Na okręcie spotykam Izę. Deszcz i burza. Urządzenie*

²⁶ **Czerwiec 1940 r.** – w obliczu kapitulacji Francji, gen. Władysław Sikorski uzgodnił z premierem Winstonem Churchillem sposób ewakuacji wojsk polskich do Wielkiej Brytanii. 17.06.1940 r. gen. Sikorski zwrócił się do jednostek polskich z rozkazem, by kierowały się do portów zachodnich, a dowódcy nawiązywali kontakty z oficerami angielskimi i ewakuowali swoje wojsko. Oddziały polskie objęte ewakuacją zgromadziły się w trzech większych skupiskach: w Bretanii, Wandei oraz w dolinie Rodanu. Szacunki co do liczby ewakuowanych żołnierzy różnią się. W swoim sprawozdaniu o ewakuacji wojsk polskich z Francji do Wielkiej Brytanii gen. Kukiel pisze, że w dniach 19–25 czerwca 1940 r. ewakuowano 25 tys. żołnierzy. Badacze podkreślają, że ewakuacja była źle zorganizowana, improwizowana od początku do końca.

legowiska w kącie korytarza. W chwili ładowania się, bombardowanie okrętów. Bomby cztery spadają w pobliżu okrętu „Regina”.

***Niedziela, 23 czerwiec,** O godz. 8-ej opuszczamy port.*

***Poniedziałek, 24 czerwiec,** Jedziemy, dwa alarmy, choroba.*

***Wtorek, 25 czerwiec,** Jedziemy, alarm.*

***Środa, 26 czerwiec,** Godz. 8-a rano zawijamy do portu w Liverpoolu. Wylądowanie o godz. 12-ej. Utrata paczki z bielizną. Godz. 19:30 autobus zawozi nas na dworzec, po wizycie u lekarza, wyjazd pociągiem do Londynu.*

Podróż okrężnymi drogami trwała długo, bo byliśmy atakowani przez niemieckie łodzie podwodne. Wiem, że były alarmy, że mimo moich protestów nakładano na mnie jakieś pasy, a ja byłam chora, chciałam umrzeć! Nie dane mi było! W środku nocy, któreś z kolei, dopłynęliśmy do Liverpoolu. Angielki czekały z gorącą herbatą. Tutaj nastąpiło rozdzielenie, wojsko do Szkocji, cywile do Londynu. Z wojskiem poszły nasze bagaże. Po raz drugi pozostałam z tym, co miałam na sobie.

***Czwartek, 27 czerwiec,** godz. 2:30 w nocy przyjeżdżamy do Londynu. W wagonie Angielki roznoszą śniadanie. Po zjedzeniu, autobusem jedziemy do pałacu Alexandra. Śpimy do 9-ej rano, czuła opieka policjantów londyńskich. Rejestrowanie się u władz polskich i angielskich. Wizyta u lekarza.*

***Piątek, 28 czerwiec,** O 1-ej po południu przyjeżdżamy do Fulham. (367 Fulham Road, London 9 W 10.) Rejestracja.*

***Sobota, 29 czerwiec,** Rejestracja, kąpiel.*

***Niedziela, 30,** msza święta, chór żołnierzy angielskich*

***Poniedziałek, 1 lipiec,** W nocy alarm. Rano budzi mnie rozmówka tej treści: mieszkaliśmy w Pałacu Alexandra, łóżka stały w olbrzymiej sali koncertowej, bo były organy, wyściełane fotele i nie wolno tam było siadać w smokingach, bo na słupach były napisy „no smoking”. Kawał ten puściliśmy dalej, cały Fulham sobie go powtarzał, później pod różnymi postaciami krążył po Londynie. Żadnej wiadomości od Jurka.*

Po przybyciu do Londynu przewieziono nas do Crystal Palace (pozostałość po Światowej Wystawie), duże sale, prycze, i znowu angielki witające herbatą i jedzeniem, a my tylko spać, spać, usnąć, zapomnieć! Moment, w którym pokochałam Anglików, uczucie, które

trwa do dzisiaj, nastąpił w następnym dniu o świcie. Szarzało, gdy się obudziłam i zobaczyłam wysokie postacie w wysokich czapach chodzące pomiędzy łózkami, podnosili koce z podłóg i z czułością nianiek nakrywali dzieci i śmiertelnie wyczerpane piekłem wojny kobiety. A byli to londyńscy Bobbie 's – londyńska policja, która do dzisiaj nie ma przy sobie broni w postaci rewolwerów, ma tylko gumowe pałki. I w ten oto sposób dotarliśmy do Londynu i pod bomby niemieckie. Rodziny były pod opieką starszego Pana – Generała, którego zadaniem było łączenie rodzin, poszukiwanie naszych mężów, czy żyją i gdzie się znajdują. W początkowej fazie przyjęły nas domy prywatne. Rozdawano nam ich adresy i puszczano na głęboką wodę. Miałam kłopot ze znalezieniem jakiegoś adresu, policjant, którego prosiłam o pomoc wiedział, że jego tłumaczenia nie zrozumie i autobusem odstawił mnie na właściwe miejsce. Z czasem wynajęto dla nas domy studenckie, poczuliśmy się lepiej i tu odnajdywali nas nasi mężowie.

Po opuszczeniu sławnego Fulham skierowano mnie na prywatną kwaterę (66 Voltaine Road, Clapham Town, London). Co to była za kwatery, pożałuj Boże, pokój maleńki na poddaszu, ze ściętym sufitem, głową nieomal go dotykałam, bez światła elektrycznego, zamiast tego kawałek świecy w lichtturm. Umieblowanie – to łóżko i jedno krzesło, nic więcej, bo nic więcej by się nie zmieściło.

Nie byłam też tam długo, jakieś dwa tygodnie nim została załatwiona sprawa mojego przeniesienia do Ada Lewis Hance (2 Palliser Road, Londyn W 14), gdzie mieszkały Iza i Irena. Rodzina była robotnicza, sami mieszkali bardzo przyzwoicie, zajmowali parter i pierwsze piętro. Na parterze był sitting room, pokój jadalny, sypialnia i kuchnia, na pierwszym piętrze dwie inne sypialnie zajmowane przez zamężną córkę gospodarzy. Umieblowanie nowoczesne, ubrani wszyscy bardzo porządnie, jedzenie również dobre. Rozstawałam się z nimi w najidealniejszej zgodzie.

Gdy polskie jednostki wojskowe w Szkocji rozlokowano, nadszedł czas łączenia rodzin. Leadhills, urocza wioska niedaleko Glasgow, otoczona polami wrzosów, była pierwszym miejscem mego pobytu w Szkocji. Jurek stacjonował w pobliskim Crawford.

Po przyjeździe do Szkocji (20 sierpień 1940) zamieszkałam w Leadhills w pobliżu Crawford, gdzie pod namiocikiem bawił mój mąż. Leadhills – mała wioska, domy przeważnie murowane, kościół, kaplica baptystów, kilka sklepów

spożywczych, poza tym sklepy z ubraniem, galanterią, poczta w sklepie, w skromnych ilościach o niezbyt wielkim wyborze, ale wszystko pod ręką na miejscu. Moja gospodyni, niegdyś służąca w hotelu, obecnie żona robotnika pracującego w fabryce amunicji w Glasgow – Mrs Miller. Mieszkanie niezbyt obszerne, dwa pokoje sitting-bed rooms jednocześnie, kuchnia, ubikacja bez łazienki, co się dość rzadko spotyka, bo większość mieszkań robotniczych zaopatrzona jest w łazienki. Miała 5-letnią córeczkę Marion, miłą, zawsze czysto i schludnie ubrane dziecko.

Ja uczyłam się angielskiego czytając ze słownikiem w rękę detektywistyczne powieści. Wojsko polskie często zmieniał miejsca pobytu: Falkirk, Broughty Ferry, Dundee, Kirkcaldy, okolice Edynburga nad zatoką Firth of Forth (opisywaną w „The Da Vinci Code” Browna).

Wreszcie Broughty Ferry. Najpierw mieszkałam u Blacklawsowej, niedługo, jakieś zaledwie dwa miesiące. To „Czarne prawo” czarnymi zgłoskami zapisało się w mej pamięci. Wyjątkowo podła Szkotka. Nie mogę spokojnie o niej myśleć, ani mówić. Mieszkanie, początkowo dość wygodne, stało się dla mnie później czymś nieznośnym. Najchętniej przebywałam poza domem, byleby nie widzieć wrednej jej twarzy. Przykra była w pożyciu niemal od początku. Wszystko było w porządku, gdy miałam gotowy obiad z dnia poprzedniego i potrzebowałam go tylko przygrzać. Wtedy miała humor, umiała sympatycznie ze mną rozmawiać. Trudno mi było gotować raz na cały tydzień, więc co drugi dzień, czasami co trzeci, przygotowywałam obiad. O, wtedy było niedobrze. Niby nic, żadnych wymówek, ale wystarczyło spojrzeć na buźkę, żeby mieć zepsuty humor do wieczora. Przystawała rozmawiać, uśmiechać się. Ona tak, to i ja się zamykałam w sobie i się nie odzywałam. Najgorsze jednak stało się przez szczeniaka Dawidka, czyli 5-letniego synalka „Czarnego prawa”. Różne nieznośne dzieci się spotyka, ale takiego szatana, to po raz pierwszy widziałam. Tak jak bardzo był ładny, tak i bardzo był zły, niedobry. Nie słuchał matki zupełnie, a najmniejsze głupstwo wystarczyło, żeby rzucił się na nią z pięściami, żeby ją kopał, żeby ewentualnie zaczął w nią rzucać klockami, czy czym innym, co w danej chwili miał pod ręką. Oburzało mnie to niejednokrotnie, tym bardziej, że ciosy potrafił wymierzać dotkliwie, nic jednak nie mówiłam, trudno mi było pouczać Szkotkę, jak źle wychowuje swojego syna. Zareagowałam natychmiast

wtedy, gdy poznawszy się ze mną bliżej zaczął bić i mnie, jeżeli mu się coś nie podobało. W takich wypadkach „Czarne prawo” karcilo go i musiał mnie przeprosić. Pewnego jednak razu Pani B. była nie w humorze, chłopiec w jej obecności uderzył mnie dość silnie kijem, który trzymał w ręku. Pani B. nic. Słodki Dawidek zatem drugi raz mocniej to zrobił. Pani B. znowu nic, ja kij mu wzięłam z ręki i położyłam gdzieś na półce, a sama wyszłam z kuchni. Zdenerwowana byłam. Należało chłopca w jakiś sposób ukarać. Jak to zrobić. Po godzinie jestem w kuchni, podchodzi do mnie i zaczyna ze mną rozmawiać. Ja mu mówię – nie będę z Tobą Dawidzie rozmawiać, bo jesteś niegrzecznym chłopcem. Niegreczny chłopiec poszedł i powtórzył to Matce. A ta wieczorem ze skargą do mnie, że ja mam 20 lat, a zachowuję się głupiej niż 3-letni David, bo nie chcę z dzieckiem rozmawiać. Przestałyśmy mówić ze sobą zupełnie, a ona rozpoczęła szykany. A więc obiad gotowała w tym samym czasie, kiedy ja musiałam go przygotowywać. Sitting-room był początkowo tylko do naszej dyspozycji, obecnie my byliśmy w nim gośćmi, nie wychodziła nawet w czasie naszego posiłku. Trudno mi opisać to niezliczone mnóstwo przykrości, jakich od niej doświadczyłam w przeciągu dwóch dalszych tygodni pobytu, nim wyszukaliśmy nowe mieszkanie. Jej mąż był również robotnikiem w fabryce amunicji w Edynburgu.

Przez następne dwa i pół roku byłam typową żoną wojskowego: pracowałam w świetlicy żołnierskiej, z grupą pań wykonywałyśmy na drutach nakolanniki dla naszych lotników, marzły im kolana w czasie nocnych lotów na Niemcy; z czasem zorganizowałam kiosk, sprowadzałam książki, publikacje, polską prasę z Londynu, papeterię, magazyny, karty – wszystko, co żołnierzowi było potrzebne. Byłyśmy pomocą dla Polskiego Dowództwa. W domu – dla Jurka, Janka i Olka, lotnik lekarz, dr. Łuczak, stary przyjaciel z Polski – urządzałam tradycyjne polskie święta, w miarę możliwości, żywność była na kartki.

Niedziela, 18 maja 1941, Broughty Ferry,

Jurek sam poszedł do kościoła, ja się fatalnie czuję. W nocy spać nie mogłam. Wczorajsze placki z zsiadłego mleka stanęły mi kością na żołądku. Wstawałam, wzięłam pigułki przeczyszczające, nad ranem trochę usnęłam i lepiej się poczułam, mimo to mam ból głowy i czuję się b. zmęczona. W łóżku przeczytałam mszę św. Chciałam spać, ale nie mogłam. Uporządkowałam więc

budżet. Jurek wrócił przed pierwszą, więc wstałam napalić w kominku i przygotować obiad. Obecnie czeka mnie moc pracy – pisanie listów. Napisałam już dwa, do Leny i Paczoskiej.

Poniedziałek, 19 maja 1941

Rano do miasta po lekarstwa dla Jurka, który mi się rozchorował. Zupełnie nie wiem co to ma znaczyć, czyżby ten morski klimat był dla niego niezbyt dobry? Już drugi raz się tu przeziębiam, obawiam się, czy to nie zapalenie płuc, ale lekarz stwierdził bronchit. Dziś czuje się trochę lepiej, ale kaszel dość silny i gorączka się utrzymuje. Może jednak, Bozia da, prędko się to skończy, skoro się tak raptownie zaczęło.

Środa, 21 maja 1941

Zebranie Rodziny Wojskowej. Jak zwykle nuda. Zarząd zrezygnował, ponieważ jednak wśród pań obecnych trudno było kogoś wybrać, ustępujący zarząd zaproponował panią Kuraś na opiekunkę, a mnie na zastępczynię. Pani Kuraś odmówiła i wszystkie inne zaprotestowały przeciw ustąpieniu zarządu. Po długich prośbach przewodnicząca i vice pozostały, a tylko pani Gruszevska – sekretarka – prosiła mnie przynajmniej o zastępstwo, bo czuje się zmęczona i chora. Przyjęłam. Po zebraniu zatrzymała mnie pani Stebelska i przeprosiła za awanturę, jaką urządziła mi we wrześniu 1939 r. w pociągu ewakuacyjnym w Rumunii. Ja w kilku słowach powiedziałam jej co o tym myślałam i że obecnie uważam sprawę za załatwioną. Poznałam panią Stankiewiczową.

Wracam obecnie do tematu Rodziny Wojskowej znajdującej się na terenie Wielkiej Brytanii. Zwracam się tu z apelem do Panów bez żon, by przestali się na nas patrzeć z nienawiścią. Spotykają się również nasze panie z nieżyczliwością miejscowego społeczeństwa, zwłaszcza płci pięknej. Szkotki nie chcą wynajmować mieszkań małżeństwom, nawet bezdzietnym, opinia ich o nas ogranicza się do tego: „Polka umie tylko palić i grać w brydża”. Tak nie jest. Ale komu mamy do zawdzięczenia taką, a nie inną opinię? W wielu wypadkach właśnie panom. Mamy świetlice prowadzone przeważnie przez Szkotki, przychodzą wieczorami dość licznie, nasi panowie doskonale się z nimi bawią, dyskutują i plotkują. Niestety, często przedmiotem tych plotek są panie Polki. „Och – powiada jeden – nie lubię Polek” i żeby się przypodobać tubylce dodaje „ja bardzo lubię Scots Ladies”. Wy jesteście takie miłe, pracowite, uprzejme, takie dla nas dobre. Nie potrzeba nawet Szkotce tłumaczyć, że wobec tego Polki

muszą być złe, leniwe, opryskliwe, kapryśne, itd. To już jest dla niej jasne i patrzy na nas z niechęcią. Gdy znalazłam się w pewnym szkockim towarzystwie i gdy panowie chcieli rozegrać partię brydża, z niedowierzaniem na mnie spojrzeli, gdy oznajmiłam, że nie znam tej gry. To samo było przy oświadczeniu, że nie palę. „My myśleliśmy, że każda Polka gra w brydża”. Dosyć na ten temat. Wysłałam już artykuł do Nowakowskiego na temat niewiast, które znalazły się w Szkocji. Dotychczas go nie umieścił w „Wiadomościach”²⁷ i nie przysyła odpowiedzi.

Czwartek, 22 maja 1941

Imieniny Heli i jednocześnie święto Wniebowstąpienia Pana Jezusa. Jureczek jeszcze chory, więc sama poszłam do kościoła, pomodliłam się w intencji Heli i rodzin. Zapaliłam im 3 świece. Popołudniu odebrałam nareszcie ostatecznie wykończone sukienki od krawcowej. Wzięła za wszystko 30 szylingów, niewiele, postanowiliśmy razem z Jurkiem, że dołożę jej jeszcze 5. Otrzymaliśmy list od ambasadora Biddle²⁸ w sprawie Stacha. Bardzo mu przykro, ale nie może interweniować w sprawie obywatela innej narodowości.

Sobota, 24 maja 1941

Wczoraj minęło 20 miesięcy od naszego ślubu (23.09.1939). Od tygodnia się nie kłóciliśmy. Jurek w ogóle jest rozkoszny jak rozkapryszony bobo. Chwała Bogu, czuje się lepiej, natomiast ze mną coś nie w porządku. Odczuwam dotkliwy ból gardła i głowy, czuję się b. zmęczona. Tyle pracy, że nie wiem, co najpierw robić. Chciałabym skończyć robić sweterek, czeka sweter dla jeńców, stos pończoch dawno nie cerowanych, wykończyć lalkę łowiczanek, listy do domu, do Zosi, do Izy, do Mildredy i do Millerowej. A tu jeszcze ile pracy w związku z sekretarzowaniem w Rodzinie Wojskowej. Sprawozdania, protokoły,

²⁷ **Wiadomości Polskie Polityczne i Literackie** – emigracyjny tygodnik społeczno-kulturalny wydawany w latach 1940–1944 w Paryżu i Londynie, będący kontynuacją międzywojennych Wiadomości Literackich. Założycielem i redaktorem naczelnym pisma był Mieczysław Grydzewski, lecz ze względów politycznych formalnie funkcję tę pełnił Zygmunt Nowakowski. Wydawany był od marca 1940 r. w Paryżu, a potem od lipca 1940 r. do lutego 1944 r. w Londynie.

²⁸ **Anthony Joseph Drexel Biddle** – (1897–1961) amerykański polityk i dyplomata, ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce w latach 1937–1943. Podczas I wojny światowej był żołnierzem Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. W czasie II wojny światowej wraz z rządem polskim opuścił teren okupowanej Rzeczypospolitej, udając się do Francji, gdzie przebywał od 1939 r. do 1940 r., a następnie do Anglii, gdzie przybył 14.03.1941 r. Londyn opuścił 1.12.1943 r. – był to oficjalny koniec jego służby jako ambasadora Stanów Zjednoczonych w Polsce.

zapotrzebowania, listy... Doprawdy, jak ja temu wszystkiemu podolałam? Wizyta u p. Kucharczykowej.

Środa, 29 maja 1941

Już kilka dni nie pisałam, ale byłam i jestem ogromnie zapracowana a przy tym chora. Ból gardła, katar, ból w klatce piersiowej, na szczęście to wszystko bez temperatury, więc nie kładę się do łóżka, choć czuję się fatalnie. Każdą wolną chwilę poświęcam na wykończenie swetra i można powiedzieć, że pobiłam rekord szybkości, bo już bym go miała skończonym, gdyby nie to, że na pół rękawa zabrakło mi wełny.

W poniedziałek rano przysłali mi nareszcie zegarek od reperacji. Trzymali 6 tygodni i wzięli 176 szylingów – ogromnie drogo. Dla Jurka przysłali wiśniówkę mimo tego, że nie zapłacił przesyłki. Jurek jest podły pies, bo nie chciał policzyć mi oczek na drucie i spóźnia się na obiad co najmniej pół godziny.

Czwartek, 30 maja 1941

Rano byłam u lekarza laryngologa z gardłem. Ogromnie niepoważny człowiek. Mówi stylem Wiecha²⁹, dowcipkuje bez wielkiego sensu i lekceważy sobie chorobę. „Jest źle, ale nic poradzić Pani nie mogę, bo klimat jest tu dla Pani niedobry”. Wypędził mi gardło i jeszcze się będę musiała zgłosić. Po powrocie od lekarza upiekłam sernik, ciekawa jestem czy będzie udany. Po południu jedziemy do Dundee po sprawunki. Kupiliśmy niemal wszystko, co postanowiliśmy, a więc Jurek – butki i skarpetki, a ja – rękawiczki i dwa bardzo ładne futrzaki. Poza tym zupełnie niespodziewanie poszliśmy do kina na Dianę Durbin³⁰. Wieczorem czułam się ogromnie zmęczona.

Masowo wysyłaliśmy pieniądze i paczki z lekarstwami do rodzin w kraju. Działo się to wszystko do momentu mojej choroby. Ataki bólu, utrata wagi, pobyt w szpitalu w Dundee,

²⁹ **Stefan Wiechecki ps. Wiech** – (1896–1979) polski prozaik, satyryk, publicysta i dziennikarz. Uznawany jest za uosobienie warszawskości z uwagi na swoją twórczość pisaną stylem gwarowym, nazwanym wiechem. Najbardziej znane są jego felietony, z którymi kojarzona jest jego postać. Nazywany Homerem warszawskiej ulicy.

³⁰ **Dianna Durbin, właśc. Edna Mae Durbin** – (1921–2013) kanadyjska aktorka i piosenkarka. W wieku 14 lat była jedną z najlepiej opłacanych aktorek Hollywoodu. W latach 30. stała się znana dzięki filmom "Penny", "Pensjonarka" i "That Certain Age". Zanim stała się pełnoletnia zarabiała ćwierć miliona dolarów rocznie, co na tamte czasy było zawrotną sumą. Miała piękny głos, którym śpiewała pieśni z oper, m.in. "Madame Butterfly" pod batutą Polaka, Leopolda Stokowskiego.

sondy, badania, wreszcie konsylium: trzeba natychmiast operować, czterech lekarzy nade mną, a ja do Jurka po polsku: „Jak mnie stąd natychmiast nie zabierzesz, to żywa stąd nie wyjdę”. Tego samego popołudnia ze specjalnym OK-y gen. Kukiela przewieziono mnie do polskiego szpitala wojskowego w Taymouth Castle koło Perth w Szkocji. Dr. Sokołowski, wybitny specjalista ze szpitala wojskowego w Warszawie, pytał co jest. Powiedziałam, że szkoccy lekarze powiedzieli, że nie wiedzą co jest, ale chcieli natychmiast operować. Po zbadaniu dr. Sokołowski położył moją rękę na wątrobie mówiąc: „to, co Pani czuje, ten duży banan pod skórą, to jest woreczek żółciowy, mowy nie ma o operacji, przez następny tydzień będziemy wzmacniać organizm. W tym stanie, w jakim Pani jest operacji Pani nie wytrzyma”. Rzeczywiście wyglądałam jak jeniec z obozu koncentracyjnego. Gdy się dowiedział, że w piątym roku życia umierałam: pęknięta ślepa kiszka i zapalenie otrzewnej, orzekł, że od tego czasu rosły we mnie kamienie. Uratował mi życie, był to drugi cud w moim życiu.

7 czerwca 1941

Dziś o godz. 11-ej rano przywieźli mnie do szpitala w Dundee. Czuję się na tyle dobrze, że mogę podać przyczyny tego. Otóż, tydzień temu w sobotę rano wstałam ze straszliwymi bólami żołądka, pleców, głowy, itd. Chwyciło mnie tak nagle i tak gwałtownie, że podnieść z łóżka się nie mogłam. Rano gorączka 37,5 a w kilka godzin później 38,8. Lekarz tego dnia był dwa razy. Na gorączkę polecił stosować wysychające kompresy, a na uśmierzanie bólu zapisał anyżek. Zażyłam tego dnia dwa razy, ale cóż z tego, nic nie pomogło. W niedzielę bóle jeszcze gorsze. Jureczek poszedł po innego lekarza, bo dr Szmajdziński wyjechał na niedzielę.

Lekarz przyszedł około pierwszej i bezpośrednio po nim przyjechał Olek z bratem..., aczkolwiek Boga prosiliśmy, żeby nie przyjechali. Do płk. Mniszka Jureczek dzwonił odrzucając zaproszenie. Do Olka nie mogliśmy tego zrobić, całe szczęście, że nie przyjechał autem a pociągiem. Miałam więc na miejscu dwóch lekarzy. Zbadali, ale wiedzieli tyle co i przedtem, to znaczy – nic. Radzili to co każdy – pójście do szpitala. Jedno tylko uzyskałam, dostałam jakieś kropelki trucizny i minęły mi bóleści.

W niedzielę wieczorem wyjechał brat Olka, Jaś odwołany telegraficznie z urlopu. Pozostał Olek, był do środy. On niepiękny miał urlop a i Jureczek moc pracy, bo to w biurze się namęczył, a później w domu ze mną i obiad przygotować. Nalatał się do lekarzy, nieraz po kilka razy dziennie. W

poniedziałek i wtorek czułam się znacznie lepiej tak, że na obiad dali mi kawaleczek pieczonej kury z ziemniaczkami. Pogorszyło mi się po tym znacznie, już i gorączka zaczęła wzrastać i na domiar złego gardło boleć. Olek zajrzał mi do gardła i cóż się okazało? Mam wrzód około migdałkowy. Przeprowadził mi też zaraz operację i łyżką wyskrobał zawartość. Byłam zdumiona po prostu, że tyle świństwa mogłam tam mieć, co rusz to wypluwałam całe kawały jakiejś białej kaszki.

Z gardłem mi się poprawiło, z boleściami też, ale nie na długo, bo lekarz poradził mi zjeść kawalek ryby gotowanej. Zjadłam ją, ale dostałam takich kurczy żołądka, wątroby, sama nie wiem czego, myślałam że umrę. Jureczek znowu po lekarza, Szmajdzińskiego nie było, więc zameldował dyżurnego lekarza. Bezpośrednio przed jego przyjściem wymiotowałam, bardzo silnie i z żółcią. Gdy przyszedł, dał mi na uspokojenie morfiny. Bóle mi ustały, ale samopoczucie fatalne, przyśpieszone bicie serca, przyśpieszony puls, skurcze mięśni, silna febra, wreszcie gorączka 38,1 plus dwukrotne jeszcze jechanie, co ścięło mnie zupełnie z nóg.

W nocy trochę usnęłam, obudziłam się czując się znacznie lepiej. Do szpitala pojechałam taksówką z Jurkiem i dr. Szmajdzińskim, przyjęli mnie bardzo szybko, wszystko poszło piorunem. W jakiejś łazience musiałam się rozebrać zupełnie, dali mi szpitalną koszulę i szlafrok, zważyli (10 stone i 9 funtów, tj. ok. 67,5 kg). W jakiejś ubikacji oddałam mocz celem zbadania i położyli mnie na ogólnej sali. Zbadał mnie zaraz prof. Patryk. Wzięli krew do badania. Podejrzewa ślepą kiszkę lub woreczek żółciowy. W przyszłym tygodniu złączą się szczegółowe badania. Zobaczymy co powiedzą po ich ukończeniu. Albo operacja, albo odpowiednie leczenie.

Jureczek po tych wszystkich badaniach przyszedł pożegnać się. Jutro przyjedzie z Mieciem do mnie. Teraz jest 3:30 po południu, smutno mi, bo przy każdym łóżku ktoś siedzi, tylko przy moim nie ma nikogo. Przynosi rodzina chorym, którzy są niby na diecie, ciastka, pomidory, sałatę, jakieś bulki, lemoniady i całe paki jedzenia.

Ładny szpital. Podeszła tu do mego łóżka Szkotka – uczennica, która ma na tej sali chorą matkę. Współczuła mi ogromnie, że jestem sama i powiedziała mi, że zna mnie z Broughty. Przypominam i ja sobie, że widziałam ją kiedyś z

por. Błaszczukiem. O 4:00 godz. podają herbatę. Po herbacie przyszedł młody lekarz, opukał mnie i spisał to, o mu mówiłam o swojej chorobie.

Niedziela, 8 czerwca 1941

Od rana poczułam się gorzej z bólami plus niewyspanie, nie wiem czy spałam dłużej jak 2 godziny, bo 1) łóżko wściekle twarde z dołem w materacu, jeszcze kilka dni, a w ogóle podnieść się nie będę mogła, 2) nie pozwalają mi usnąć światła na sali, choć przyciemnione, ale rażą. Chore spać chodzą późno, aczkolwiek mało mówią, ale za to słuchają radio, na słuchawkach wprawdzie, ale jak kilka par słuchawek na sali działa, to nie potrzeba głośnika. Ten jazz angielski wświdrowuje się w uszy, aż głowa pęka. Gdy nareszcie ostatnia para słuchawek poszła spać, dyżurna siostra zaczęła przegląd chorych, więcej czasu poświęcając nowym. A więc podchodzi do łóżka, zapala lampkę nocną nad łóżkiem i zaczyna się wypytywać nie tylko o to jak się czuję, ale kiedy przyjechałam do Anglii, jak długo jestem w Szkocji, z kim tu jestem, jak mi się tu podoba, „Do you like Dundee?”, etc. Miło jest sobie pogawędzić, gdy człowiek jest zdrow, ale nie chory i o 12-ej w nocy.

Gdy się trochę uspokoiło z wizytami, to znowu któraś zaczęła niemożliwie jęczeć i płakać i wołać siostry. Znowu inna później zaczęła jechać, a mnie to wszystko budziło, męczyło, usnąć nie mogłam, a gdy wreszcie się trochę zdrzemnęłam, obudziło mnie głośne likwidowanie blackout-u, roznoszenie herbaty, głośne, bezceremonialne rozmowy siostr i chorych. Patrzę na zegar, która to godzina, okazuje się, że za dziesięć minut piąta. Dzień w szpitalu zaczyna się więc o 5-ej. Przypominam sobie, jak to żeśmy narzekały na pielęgniarki gdy byłam w szpitalu w Białej, że budzą nas już o godz. 7-ej rano, wtedy, gdy najlepiej się śpi i śni.

Herbaty rano nie piłam, bo podali ją gorzką. Niestety, mimo wojny, nie przywykłam do gorzkiej. O jakiejś 6-ej, czy 7-ej robili mi lewatywę, zmęczyło mnie to tak ogromnie, że nie mogłam wziąć nic do ust. Jedna ze Szkotek dała mi do herbaty cukru, więc zmuszając się, wypilałam szklankę herbaty gorącej. Całe rano fatalnie się czułam, myślałam, że będę jechać, zmęczona, niewyspana.

Okolo 11-ej przyszedł na wizytację asystent prof. Patryka, a godzinę później sam Patryk w towarzystwie jeszcze dwóch lekarzy. We trójkę wygnietli

mnie solidnie i co rusz to słyszę appendix³¹, appendix, - operacja murowana. Na obiadek zjadłam nieco więcej, po tym wygnieceniu lepiej się poczułam i mogłam jeść. Dostałam filiżankę dobrego rosółu z kury i kawałek gotowanej kury z ziemniakiem w łupinie gotowanym.

Po obiadku uczesałam się, przypudrowałam i z biciem serca oczekiwałam na przybycie swego kochanego i punktualnie, gdy godz. 2-ga wybiła, pierwszy wszedł na salę. Ponieważ przy jednym łóżku może być tylko jeden gość, nie pomogły prośby u siostry, więc zmieniali się Jaś z Jureczkiem. Ogromnie szybko ta godzina minęła. Jaś rozmawiał ze starszą siostrą na mój temat, pytał co lekarze przypuszczają..., otóż wyrostek lub kamienie w woreczku żółciowym. I na jedno i na drugie potrzebna operacja, perspektywa nie bardzo miła.

Poniedziałek, 9 czerwca 1941

Od rana zdenerwowałam się oczekując na prześwietlenie. Niby nic wielkiego, ale denerwuje. Przerazał mnie zwłaszcza fakt wypicia bizmutu, ale wbrew moim przewidywaniom prześwietlili mi tylko miejsce silnych bólów a nie żołądek, więc nie piłam nic i cała operacja trwała kilka minut za ledwie. Na krótko przed obiadem zachorowałam, trochę bóleści, dała mi siostra proszki na uspokojenie, prócz tego musiałam wypić jakąś wstrętną, gęstą, zieloną ciecz, jako wstęp do środowego, nowego prześwietlenia.

Po 7-ej przyszedł, od godz. 5-ej wyczekiwany Jurek. Martwię się o moje kochanie, bo mi tak zmarniało i przybladło, ten tydzień zrobił swoje. Może jednak dobra Bozia pozwoli, że skończą się te wszystkie historie pomyślnie, wrócę, przestaną mnie męczyć bóle, ataki, że wreszcie znajdę się w jednym łóżeczku z moją Pocięką, za czym i on i ja tęsknię, że dam mu coś – troszeczkę, bo też już spragniony, no i będziemy się lepiej odżywiać, oboje przytyjemy, bo figura figurą, ale tak, jak ja obecnie schudłam, to coś niesłychanego. Dobranoc Maleńki.

Wtorek, 10 czerwca 1941

Od rana fatalnie się czuję, znowu ten straszliwy ucisk w żołądku, który żyć mi nie daje. Poza tym leje się ze mnie straszliwie. Nadzwyczajna jest tu jednak opieka pielęgniarek, nawet porównać nie można z polskimi. Co one się

³¹ **Appendix** – wyrostek robaczkowy.

tu narobią, nabiegają koło chorych, chwili wypoczynku nie mają. Rozmawiałam na ten temat z siostrą, pytała mnie jak mi się podoba szkocki szpital, czy jest lepszy od polskich? Dodała przy tym, nie czekając na odpowiedź, że jeżeli nie szpitale, to opieka pielęgniarek jest lepsza. Zgodziłam się z nią bezwzględnie, stwierdzając, że w Polsce mieliśmy nowoczesne, ładnie urządzone szpitale i b. dobrych lekarzy specjalistów. Przez grzeczność, czy z przekonania powiedziała mi, że owszem, lekarze są dobrzy, poznała ich kilku, bo przychodzą często do szpitala, żeby nie wyjść z wprawy. Zapewniłam ją, że ci, co tu przychodzą są dobrzy, ale starsi lekarze, sławy w swym zawodzie, pozostali w Polsce, bo nie byli zmobilizowani. Sławni profesorowie siedzą po obozach koncentracyjnych. Zgodziła się ze mną, a wracając do pielęgniarek, to nachwalić się ich nie mogę. Na sali nadzwyczajnie czysto, aczkolwiek jest około 25 łóżek. Prócz porannych, generalnych porządków, sprzątają i wycierają kurze kilka razy w ciągu dnia. O czystość chorych również dbają. Najmniejsza plamka na prześcieradle czy poduszce, momentalnie zmieniają pościel. Rano i po południu przynoszą dla chorych ciepłą wodę w miskach do umycia. Nie ma im nic do zarzucenia, chyba to, że swoją troskliwością przeszkadzają chorym spać.

Środa, 11 czerwca 1941

Szalone znowu boleści. Rano bez śniadania, zastrzyk dożylny i 3 prześwietlenia całego brzucha. Później poczułam się lepiej, ale niewiele co jadłam. O 7-ej jak co dzień Mężuś. Siostra jeszcze nie ukończyła pracy koło chorych i zasłoniła nas parawanem, dzięki temu mogliśmy się wycalować za wszystkie dni. Aż mi się lepiej zrobiło. Była też Hania, opowiadała mi, że wszystkie Szkotki na całej ulicy pytają, jak się czuję. Jedna z nich przysłała mi 3 jajka. Jajka dziś, to to samo co bukiet róż, bo bardzo trudno je dostać, takie są ograniczenia.

Czwartek, 12 czerwca 1941

Spalam całą noc spokojnie, wstałam wypoczęta i specjalnie nic mi nie dolega. Owszem, czuję, że mam żołądek, nerki, wątrobę, czy żółć, ale to nic w porównaniu z wściekłymi atakami bólów. Niespodziewana wizyta Jasia. Egzaminy studentów. Wieczorem spóźniony przyszedł Jureczek z Jasiem.

Sobota, 14 czerwca 1941

Wczoraj było prześwietlenie wątroby i woreczka żółciowego. Dziś odpoczywam. O godz. 3, z 15-o minutowym opóźnieniem, przyszedł Jurek,

przyniósł mi takie śliczne 3 róże i dużo gazet. Drzę przed jutrem, bo będę miała badaną treść żołądka sondą, którą muszę trzymać trzy godziny. Czy wytrzymam?

Niedziela, 15 czerwca 1941

Okazało się, że wytrzymałem i to nie 3 a blisko 4 godziny, ale ile sił i zdrowia mi to zabrało, to sam Bóg wie. Przez cały czas wstrząsały mną torsje, pod koniec, to już półprzytomna siedziałam. Sonda wykazała brak kwasów w żołądku. Gdy skończyła się ta męka, pierwsza rzecz to poszłam spać. Jak przespałam się godzinkę, to zjadłam trochę śniadania. Obiady dziś w ogóle nie jadłam. Bo dali mi gęstą zupę, niby jarzynową, zawierającą między innymi, niedogotowany groch. Na drugie to, czym częstują mnie od kilku dni, a czego nie ruszam, to znaczy rybę gotowaną, twardą i niesmaczną. Na deser był rabarbar, kwaśny straszliwie. Dolali tradycyjnie do niego mleka, chwilę później się to wszystko zważyło. Odstawiłam, a więc pozostałam bez obiadu, ale głodu nie czułam.

Wstałam, umyłam się, uczesałam, przygotowałam na przyjęcie męża. Gdy druga na zegarze wybiła sala zaczęła się napelniać. Przy wszystkich łózkach już siedzą, tylko moje krzesło puste. Przykro mi było, płakać mi się chciało i ręce trzęsły się ze zdenerwowania. Czekając, napisałam kartkę dla Jurasa, którą miałam mu dać, gdy będzie wychodził: „Obawiam się, czy Cię zbyt mocno nie męczą te wizyty, więc może raczej nie przychodź w tygodniu, a ogranicz się do niedzieli. Gdy wiem, że nie przyjdiesz, na zapytanie siostr odpowiadam, że dziś nie oczekuję wizyty męża i jest wszystko w porządku. Gdy masz przyjść, wiedzą o tym pielęgniarki i cała sala i wtedy głupio się czuję, gdy widzę moc spojrzeń skierowanych na puste krzesło przy moim łóżku. Po co mają wyciągać takie, czy inne wnioski? Przez pierwszych kilka dni zdobyłeś się na punktualne przybycie, natomiast ostatnio nieustannie się spóźniasz, wynajdując co rusz to inne przyczyny. Czyżby ta jedna godzina była dla Ciebie zbyt długą, bo dla mnie jest o wiele, wiele za krótką...”

Tak napisałam, ale w ostatniej chwili się rozmyśliłam i nie dałam. Po co ma się denerwować, wystarczy, że ja jestem rozdygotana i bardzo, bardzo smutna. Smutna i zmartwiona podwójnie, bo i Jurek humor stracił i pytał, dlaczego jestem taka dziwna, pytał, choć on dobrze wiedział dlaczego. I prosił, by się uśmiechnąć. Chciałam to zrobić, ale nie mogłam, bo musiałam nadludzkim wysiłkiem powstrzymać cisnące mi się gwałtem do oczu łzy. Jutro

o 7-ej ma przyjść, mam wrażenie, że przyjdzie punktualnie i znowu będzie wszystko all right. Może zasłonią nas parawanem?...

Był i Jaś. Przyniósł mi duży bukiet bzu i pomarańczę. Niewiele z nim jednak mówiłam, bo spóźnił się, a poza tym rozmawiał z lekarzem. Jutro rano prześwietlenie żołądka z piciem bizmutu.

Środa, 25 czerwca 1941

Co los z człowiekiem wyprawia? Gdzie nim nie rzuca? W czwartek ubiegłego tygodnia opuściłam szpital szkocki, badana przed wyjściem przez prof. Alexandra, który stwierdził, że operacja jest potrzebna. Na wszelki jednak wypadek nie chcę być operowaną przez szkockich lekarzy. Opuściłam więc szpital, jak przystało na uprzejmą Polkę, dałam siostrze w prezencie książkę „Poland”, dla pielęgniarek bombonierkę, a dla prof. Patryka różę. Po powrocie ze szpitala odpoczęłam 4 dni w domu i we wtorek, tzn. wczoraj przyjechałam do Szpitala Polskiego nr 1³². A więc znowu szpital!

Podróż dość uciążliwa, bo cztery przesiadki, ale szczęśliwie dobrnęliśmy tu około 6-ej wieczorem. Na wstępie zbadał mnie – sława szpitala – płk dr Pawłowski³³. Chodziło mu o to, czy nie ma potrzeby położyć mnie zaraz na stół operacyjny. Potwierdził opinię lekarzy szkockich, że to woreczek żółciowy, ponadto przewiduje zrosty. Także operacja niewątpliwie będzie musiała być przeprowadzona. Ostatnie słowo wypowie po ukończeniu badań.

O moim tu przybyciu władze szpitala były uprzedzone telefonicznie. Stało się to tak szybko dzięki Jasiowi. Wykazał w tym wypadku dużą energię, biorąc pod uwagę fakt, że dostanie się tu żonie oficera, jest niesłychanie trudne. Sprawa załatwiona była pozytywnie, ale interweniował tu sam gen. Kukiel³⁴. Czekalo już

³² **Polski Szpital Wojenny Nr 1** – Szpital znajdował się na zamku Taymouth Castle w Szkocji. 7.08.2015 r. w zamku odsłonięto pomnik upamiętniający polskich żołnierzy, którzy stacjonowali tam w czasie II Wojny Światowej. Napis na tablicy brzmi: „*Żołnierzom, marynarzom i pilotom Pierwszego Korpusu Polskich Sił Zbrojnych stacjonujących w Szkocji, którzy dzielnie walczyli o wolność okupowanej Europy 1940–1945. Zamek Menzies był dla nich domem oraz składnicą medyczną Szpitala Polskiego Nr 1 w Kenmore 1940 – 1947*”.

³³ **Plk Bolesław Pawłowski** – (1892–1946) lekarz Polskiego Szpitala Wojennego Nr 1 w Szkocji. Pochowany w Perth Wellshill Cemetery, największym „polskim cmentarzu wojskowym” na terenie Szkocji.

³⁴ **Gen. Marian Kukiel** – (1885–1973) generał dywizji Polskich Sił Zbrojnych, historyk wojskowości, działacz społeczny. W sierpniu 1939 r. zgłosił się na ochotnika do wojska, nie uzyskując jednak przydziału służbowego. Po wybuchu II wojny światowej brał udział w obronie Lwowa. W październiku 1939 r. przedostał się do Francji, w rządzie gen. Sikorskiego został wiceministrem spraw wewnętrznych, po klęsce Francji ewakuował się do Wielkiej Brytanii. W sierpniu 1940 r. został dowódcą wojsk polskich w Szkocji. Od 24.09.1942 r. do 10.02.1949 r. był ministrem obrony narodowej w rządach: gen.

na mnie wolne łóżko, musiałam się śpieszyć, by go nie zajęto. Moc znajomych tu spotkałam. Dwadzieścia kilka pań z Warsztatu Dobrej Woli jest tu na praktyce. Co rusz, to ktoś ze znajomych wchodzi do pokoju. Jest i Halina, którą znam z Les Sables-d'Olonne³⁵, a wkrótce ma tu przyjść i Iza. Na sali leży nas 4, ja jedna tylko jestem w oczekiwaniu na operację, reszta już po fakcie.

Przywiózł mnie tu mój Jureczek, wczoraj do 9-jej wieczór byliśmy razem. Nocował w pobliskim hotelu, w niezbyt wygodnych warunkach, bo jest wszystko zajęte i zarezerwowane na zapas. Dziś rano przyszedł się z żonusią pożegnać i wyjechał. Przyjedzie w sobotę, a w niedzielę przyjedzie Jaś. Dziś rano zupełnie niespodziewanie przyszedł z wizytą płk Mniszek. Przyjechał do szpitala z młodszą córką, była badana.

Poniedziałek, 30 czerwca 1941

W sobotę przyjechał Jureczek i był do dzisiaj rano. Fatalnie zaczął się dla mnie ten tydzień: 1) wyjechał Jureczek, a więc byłam i jestem smutna, bo sama, 2) dr Klimczewski powiedział mi, że jutro nie będę miała zapowiedzianego prześwietlenia żołądka, bo prześwietlenie woreczka żółciowego dało dobry wynik, tzn. wykazało, że chorym jest woreczek, 3) płk Pawłowski, który przyszedł z wizytą do sali, badał mnie jeszcze i powiedział, że przez 3-4 dni będę miała zastrzykiwaną glukozę, a po tym operacja. Aczkolwiek przyjechałam tu w tym celu, to jednak wiadomość ta ścięła mnie zupełnie z nóg. Po wyjściu lekarzy zaczęłam jak głupia płakać. Później się nieco uspokoiłam, trochę zapomniałam, bo przyjechała Iza. Trochę pogawędziłyśmy, zdziwiła się ogromnie, że tak schudłam.

Ale teraz znowu się fatalnie czuję. Po prostu nawala trochę serce, mam fatalne duszności i czuję się tak, jakbym miała za chwilę zemdleć. Może się oswoję z myślą o bliskiej operacji. Będę ją miała w czwartek lub w piątek. Thumaczę sobie jak mogę i umiem, że będzie to co Bóg da, ale jakoś ani ten, ani inne argumenty nie trafiają mi do przekonania... i lękam się. Zastanawiam się też, czy zawiadomić moje Słoneczko, czy też zrobić mu niespodziankę i niech

Sikorskiego, Stanisława Mikołajczyka, Tomasza Arciszewskiego i gen. Bora-Komorowskiego. Po wycofaniu się z polityki współtworzył i był prezesem Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii. Był jednym z redaktorów „Tek Historycznych”, polskiego pisma historycznego na emigracji. W latach 1949-1973 Kukiel był też wiceprezesem zarządu Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Zmarł w 1973 r. w Londynie.

³⁵ **Les Sables-d'Olonne** – nadmorskie miasteczko w zachodniej Francji, nad Oceanem Atlantyckim.

przyjedzie już po wszystkim. Oszczędziłabym mu zdenerwowania, ale z drugiej strony tak się źle czuję, wiem, że obecność jego wpłynęłaby na mnie uspakajająco. Gdyby tam moja Mamusia wiedziała, że będą mnie kroić, Biedaczka, zamartwiałaby się. Jeśli dobra Bozia pozwoli wyjść mi cało z tej operacji, to wyślemy list do Polski już po wszystkim.

Dostałam walerianę i brom na uspokojenie, a prócz tego zastrzyk dożylny z glukozą na wzmocnienie. Zastrzyki te mam brać codziennie, aż do operacji, może mi coś pomogą?...

Wtorek, 22 lipca 1941

Miesiąc dzisiaj upłynął, jak jestem w szpitalu, a w czwartek będzie trzy tygodnie od mojej operacji. Czuję się już dobrze. Zaczynam siadać na łóżku, spać na bokach i myślę, że jeszcze w tym tygodniu zacznę chodzić. Bogu gorąco trzeba dziękować, że tak szczęśliwie wszystko minęło. Plk Pawłowski powiedział, że normalnie po operacji woreczka żółciowego wstaje się po 6-10 tygodniach, gdy tymczasem ja wstanę po trzech. Woreczek mój, niesłychanej podobno wielkości, wraz z ½ kg kamieni wziął pułkownik do prywatnych swoich zbiorów, jako okaz dotychczas niespotykany. Gdyby to wiedział prof. Alexander – Szkot wściekłby się z zazdrości, że on tego nie zdobył. Jak wstanę i będę już zupełnie dobrze się czuła, to i ja zobaczę swoją własność.

Ogromnie jestem niezadowolona, że nie wycięli mi jednocześnie ślepej кишки, ale podobno jest zupełnie zdrowa. Przez pierwsze kilka dni czułam się jak półtrup, od czasu do czasu otwierałam oko. Działo się to wtedy, jak siadał ktoś przy moim łóżku, sprawdzałam kto jest i zaraz zamykałam, żeby ten ktoś nie zaczął ze mną rozmawiać. Tak samo przyjęłam i Jasia, który przyjechał na drugi dzień po operacji. Podałam mu rękę na przywitanie i pożegnanie, ale słowa z nim nie zamieniłam.

Ból fizyczny jest przykry, ale najgorsze to były straszliwe torsje, które męczyły mnie przez dwa dni po operacji tak, że wydawało mi się, że wszystko mi porozrywa, a poza tym, wskutek tego, nie pozwolili mi przez blisko 3 dni nic się napić. Myślałam, że oszaleję. Ciężko przeżyłam też pierwszy opatrunek, wymywanie rany tamponem i dren z brzucha. Myślałam, że wszystkie wnętrzności na wierzch mi wyciąga, ból tak straszliwy, że złapałam się ręką za ranę i rozdarłam ją sobie. Pawłowski się wściekł, ryknął na mnie, ale ja niewiele się tym przejęłam, bo sama wylam z bólu. Siostram też się dostało, że nie

trzymały ręk, Jedna z nich obraziła się na mnie, bo powiada, że nie miała jeszcze takiego wypadku. Pułkownik wrzeszczał, że wyratował mnie od śmierci, a teraz mogę spowodować infekcję i przejadę się. Pomimo, że po skończonym opatrunku przyszedł pocieszać mnie i głaskać. Mówił, że najgorsze minęło, że następny nie będzie tak bolał i że to wina sióstr, bo nie trzymały mnie. Jednak jego słowa o przejechaniu się tak mi utkwily w głowie, że przez dwie noce spać nie mogłam ze strachu, bolało mnie to tu, to tam. Gorączkę co chwilę mierzyłam, wciąż oczekiwałam tej infekcji, ale chwała Bogu wszystko minęło. Tak jak zapowiedział, następne opatrunki są bezbolesne, mimo tego, że na długi jeszcze czas otwór w brzuchu zostawili i maleńki dren w nim siedział. Ropy żadnej nie było, rana bardzo czysto się goi.

Jurek postanowił „cierpieć” razem ze mną i kazał sobie usunąć tłuszczak na ramieniu i z dumą obnosił się po szpitalu z ręką na temblaku.

Poniedziałek, 4 sierpnia 1941

Chodzę coraz lepiej, mogłabym już wyjść do parku, ale winda się zepsuła. Nie czuję się na tyle silna, by wejść sama na drugie piętro. 26 lipca miałam bardzo miłe imieniny, moc kwiatów i życzeń. Od Jureczka swego rano otrzymałam róże, zakupione i przywiezione przez p. Adamczykównę. Przyjechał o pierwszej, przyniósł mi ciasteczek, a na prezent imieninowy otrzymałam cztery pary pończoch i śliczną złotą bransoletkę do zegarka. Od Jasia dostałam dwie pary pończoszek, a od p. Rozelowej portmonetkę w szkocką kratę.

Jutro Jureczek przyjeżdża do szpitala na operację - wycięcie nowotworu, jak określił płk Pawłowski: narośl na ramieniu, którą Jureczek miał od tak dawna, a którą inni lekarze uważali za tłuszczak. Uważam, że najwyższy czas jest na usunięcie tego potwora, bo już okropnie źle wygląda. Błady, wychudł ogromnie, wygląda tak, jakby on był po ciężkiej operacji a nie ja. Prawdą jest, że ostatnie przeżycia w związku z moją chorobą i operacją dużo zdrowia, moje kochane, straciło, ale jestem przekonana, że ten nowotwór tak niszczy jego organizm. Jeszcze gdy byłam zdrowa zauważyłam, że nic się nie poprawiało, mimo tego, że dużo i dobrze jadł. Boję się tej operacji, a zwłaszcza narkozy dla Jureczka, bo to chłopię piło dużo, pali jeszcze więcej, ale może się uda zrobić przy miejscowym znieczuleniu.

Piątek, 8 sierpnia 1941

Najważniejszym wydarzeniem dnia dzisiejszego była operacja Jureczka. Okazało się, że był to tłuszczak, a nie naczyniak i usuwali mu to przy miejscowym znieczuleniu. Wyskrobali tłuszczu wielkości dużej pomarańczy, jak powiedział doktor. Przykrym dla nas obojga był okres przedoperacyjny, bo operacja Jureczka była ostatnia i wezwali go około godz. 11:30. Wrócił mniej więcej po godzinie. Operowany był przez płk. Pawłowskiego, asystował dr Sałaciński z 5. brygady. Zdenerwowana byłam porządnie, aczkolwiek wmawiałam sobie, że to nic takiego. Toteż z ulgą odetchnęłam, gdy zobaczyłam Jureczka kroczącego o własnych siłach. Położyłam go do łóżka, ułożyłam jak mogłam najwygodniej. Pierwszą rzeczą, o którą poprosił to coś do picia i fajka... wiadomo!

Okolo trzeciej Jurek poczuł głód, nie chciałam mu dawać żadnych konkretnych rzeczy, bo obawiałam się torsji, dostał więc gorącej herbaty z cytryną, biszkopty słodkie i kruche z miodem. Po obiedzie zaczęło go więcej boleć, co jest zupełnie zrozumiałe, bo znieczulenie zaczęło mijać. Obawiam się nocy dla swego kochania. Ma wprowadzić proszek, ale nie wiem, czy to go uspokoi całkowicie.

Wtorek, 19 sierpnia 1941

Jureczek już zapomniał o swojej operacji, miał już dwa opatrunki, szwy wyjęte, pewnie za dwa dni opuści szpital i przejdzie do domu wypoczynkowego. Ja już od tygodnia jestem na prywatnej kwaterze (Aberfeldy 27, Dunkeld Str. Mr&Mrs Henderson). Moi Hendersonowie są to bardzo mili ludzie. Odstąpili mi swoją sypialnię na pierwszym piętrze, sami poszli na drugie. Pani Henderson zgodziła się gotować dla mnie obiady, chociaż dotychczas poprzednie lokatorki na obiady musiały chodzić. Całodzienne utrzymanie wraz z mieszkaniem kosztuje mnie 35 funtów szterlingów tygodniowo, ponieważ jadam 5-6 razy dziennie, więc drogo to nie jest. Co drugi dzień jeżdżę do Taymouth Castle do dentysty i zarazem do Jureczka. Ogromnie się cieszę, bo wyreperuję sobie wszystkie zęby, których stan ostatnio był dość przykry, zaczęły mi się robić małe dziurki i to w kilku naraz, oczywiście przyczyną tego były ostatnie przejścia.

W ostatnią sobotę i niedzielę był w szpitalu Oleczek, przywiózł nareszcie swych pacjentów, nie samolotem wprowadzie, jak w listach zapowiadał, a samochodem, ale to nieważne. Chciałabym kiedyś wybrać się do niego i z bliska zobaczyć życie polskiego dywizjonu bojowego i powiedzieć naszym chłopakom: „Good luck!” przed startem do Niemiec i cieszyć się, jeżeli wszyscy szczęśliwie

powrócą zadowoleni z wykonanego zadania i weseli, że mogą cieszyć się jeszcze życiem. Bardzo biedni my jesteśmy. Mało tego, że tak nas los porozrzucił po całym świecie, często bez chleba i dachu nad głową, to jeszcze tylu ginie w tych wyprawach na Niemcy i to sama młodzież. Jeżeli wierzyć Paczoskiej³⁶ to 60% naszych oficerów miało zginąć przez ten rok naszego tu pobytu. Okropne, jak się wyniszczamy!

Szkocja, ta piękna Szkocja, zwiedziliśmy ją wszerek i wzdłuż. Zima i wiosna podobne do Polski, ale lato było inne, dni ciągnęły się bez końca, druga w nocy, a tu wciąż jasno, spać się nie chce, czekamy aż się ściemni – ciepłe, piękne polarne zorze!

Środa, 27 sierpnia 1941

Mam naprawdę miłych gospodarzy. Ona, jak nie Szkotka, ma dość dużo w sobie słodyczy, przypomina mi moją mamusię chwilami. Nie powinno się o tubylcach mówić źle, ale trzeba stwierdzić fakt, że przeważnie Szkotki są nadęte, urodzone typy jędz, które nie cierpią kobiet Polek, przepadają natomiast za naszymi panami. Natomiast ci oboje są wyjątkowo życzliwi dla Polaków. On, emerytowany urzędnik kolejowy, bardzo inteligentny człowiek, pierwszy spotkany przeze mnie Szkot, który pierwszorzędnie pisze i czyta po polsku. Mówi też zupełnie nieźle, ale nie ma w tym wprawy, język z braku praktyki mało wygimnastykowany. Brak mu odwagi. Rozmawiając z Polakami woli to robić pisemnie. Krępuje go myśl sama, że może się wyrazić niepoprawnie po polsku. Tłumaczę mu, że musi się przemóc i musi więcej mówić, bo tak, to nigdy się nie nauczy i zaproponowałam mu, żeby z Jureczkiem mówił po polsku z powodu słabej znajomości języka angielskiego przez mego męża.

Wczoraj wieczorem rozmawiałam z nim na tematy ogólne, trochę o polityce dawnej i obecnej, a potem zeszliśmy na temat naszego powrotu do kraju. Oboje byliśmy wzruszeni, gdy zaczęliśmy rozpamiętywać jak to Szkocja będzie Polaków żegnać, jakie to przeraźliwie smutne będzie dla obu stron. Zżyliśmy się razem, przyzwyczailiśmy się do siebie, wspólne mieliśmy zmartwienia i kłopoty.

³⁶ **Irena Paczoska** – publicystka, bajkopisarka. W 1939 r. korespondentka Kuriera Warszawskiego we Francji; od 1940 r. w Wielkiej Brytanii, do 1946 r. występowała w Lotniczej Czołówce Teatralnej; pisała felietony i recenzje teatralne, m.in. w Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza, Tygodniku Polskim, Wiarusie Polskim; bajki w czasopiśmie dla dzieci i młodzieży, m.in. w „Dziatwie”, „Razem Młodzi Przyjaciele”, także w tomach: Bajki. Polish Fairy tales (1945), Caro's Adventures. Przygody Kara (1945), Jesień polska (1957).

Później natury politycznej i gospodarczej. Martwiliśmy się razem, co to będzie, jak przyjdzie inwazja, czy jesteśmy dostatecznie przygotowani, czy nie powtórzy się historia Europy. Widzieliśmy dobre strony i widzieliśmy luki i braki w tym przygotowaniu. Wspólne były nasze troski, czy to z p. Millerową, czy Kasią, czy p. Henderson o to, jak zdobyć jajka, jak zdobyć trochę cukru, co może być w najbliższej przyszłości racjonowane, by ewentualnie porobić zapasy, skąd wziąć więcej masła dla mnie, ze względu na dietę, jaką mam? ..., itd., itd.

I wreszcie przyjdzie dzień, kiedy człowiek tych ludzi, z którymi się żyło pod jednym dachem, będzie żegnał. Smutne będzie to pożegnanie, bo każdy będzie myślał o tym, że widzimy się po raz ostatni. Jest trochę Polaków, którzy myślą tu pozostać. Jest trochę Szkotów, którzy myślą odwiedzić nas w Polsce, ale to są wyjątki nieliczne. Takim jest p. Henderson, człowiek, który dziś się martwi, skąd weźmie pieniędzy na wyjazd kilkumiesięczny do Polski, co jest w obecnej chwili największym jego marzeniem. Czy wojna nie zje wszystkich jego oszczędności? On mi to właśnie powiedział, że smutno będzie w Szkocji bez Polaków. Z nim rozmawiałam też o tym, jaka jest przepaść w wielu wypadkach w rozumowaniu Polaka i Brytyjczyka. Powiedziałam mu jakim wstrząsem był dla nas Polaków artykuł Times'a. Po tylu miesiącach wojny autor artykułu stwierdza, że w Europie Wschodniej, po zakończonej wojnie, stosunki muszą się tak ułożyć, by Niemcy lub Rosja miały decydujący głos w sprawach obchodzących wszystkie inne państwa Europy Wschodniej. Wygląda to tak, jakby to właśnie małe państwa, między innymi i Polska, wywołały tę wojnę. Zaprotestowała przeciwko takiemu stanowisku prasa polska w Anglii i Szkocji, ukazało się też oświadczenie rządu angielskiego, że rząd nie inspirował tego artykułu.

Na to odpowiedział mi p. Henderson. Rząd angielski tylko w tym wypadku umywa ręce od artykułów ukazujących się w Times-ie, jeśli ktoś żywiłowo i głośno protestuje, jak właśnie w tym wypadku Polacy. Gdyby natomiast Polacy pominęli ten artykuł milczeniem, lekceważąc sobie pomysł powstały w jakimś dzieciniałym umyśle, rząd angielski przyjąłby ten artykuł, jako wskazówkę na przyszłość. Sic!

Wtorek, 8 września 1941

Jureczek jeszcze wypoczywa i ja również. Gospodyni któregoś dnia przyszła do nas z wiadomością, że pragnie nas poznać, przebywający tutaj na

urlopie, profesor matematyki na uniwersytecie londyńskim. Wyraziliśmy oczywiście swą zgodę i zaprosiliśmy jego wraz z żoną na tea-time na niedzielę. Nazywa się Mr John Semple³⁷. Obawiałam się trochę sztywności, ale to bardzo mili ludzie. Jureczek z nim mówił po niemiecku, a ja z nią po angielsku. Na środę jestem zaproszona do nich na kolację, pójdę tam z gospodynią. Zastanawiam się tylko nad jednym, dlaczego nie zaprosili również Jureczka, czyżby przez słabą znajomość jęz. angielskiego? Nie bardzo to mogę zrozumieć.

Wczoraj znowu spędziliśmy miło popołudnie, bo byliśmy wynajętym autem na pięknej wycieczce do jeziora Rannoch³⁸. Oprócz nas byli jeszcze dwaj kapitanowie z Auxiliary Hospital. Bez zatrzymywania się pojechaliśmy do jeziora, tam zatrzymaliśmy się w Hotelu Loch Rannoch, zjedliśmy podwieczorek, zrobiło się kilka zdjęć i inną drogą udaliśmy się w podróż z powrotem, zwiedzając po drodze olbrzymią zaporę wodną na jednej z rzek, coś al` a nasza Porąbka³⁹, a następnie elektrownię uruchomioną dzięki sile wody. Wszystko pomalowane na kolor ochronny, tak, że podobno z lotu ptaka jest zupełnie niewidoczne. W domu dowiedziałam się od gospodarza, że od początku wojny już moc razy Niemcy usiłowali ją dostać, ale na próżno. Szukają i bombardują ale... pola w pobliżu innych jezior, nie tam, gdzie się ona znajduje.

Czwartek, 10 września 1941

Aczkolwiek nieszczególnie się czułam, to jednak poszłam z gospodynią do pp. Semple na kolację. Tak pani jak i pan domu wyrazili zdziwienie, dlaczego nie przyszedł Mr Henderson i kpt. Górski. Powiedziałam, że nic nie wiedziałam o tym, że mąż był proszony. Kolację odłożono. Oboje wzięli rowery, ona pojechała na 27 Dunkeld Str. po Hendersona, a on po do Auxiliary po Jurka. Ja z gospodynią pozostałam, a wraz z nami siostra pani Semple i jej mąż. Ona od roku artystka filmowa, oboje przystojni. Później przyszedł ojciec p. Semple,

³⁷ **John Greenlees Semple** – (1904–1985) irlandzki matematyk, specjalista od geometrii algebraicznej. Po zdobyciu Nagrody Rayleigha w 1929 roku Semple został powołany na stanowisko wykładowcy na Uniwersytecie w Edynburgu.

³⁸ **Loch Rannoch** – jezioro w Szkocji. Ma ponad 15 km długości, średnią szerokość ok. 1,2 km i osiąga głębokość 130 metrów.

³⁹ **Zapora Porąbka** – zapora wodna wybudowana w latach 1928–1937 w Międzybrodzu Bialskim. Spiętrza wody rzeki Soły, tworząc Jezioro Międzybrodzkie. Została zbudowana na podłożu skalnym według projektu prof. Gabriela Narutowicza i inż. Tadeusza Baeckera przez Société Franco-Polonaise Warszawa. Wysokość zapory wynosi 37,3 m, a jej długość 260 m. Uroczyste oddanie do użytku zbiornika i zapory odbyło się 13 grudnia 1936 r. z udziałem m.in. wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego i marszałka sejmu Stanisława Cara.

starszy pan, również profesor, inżynier. Rozmowa długi czas toczyła się między ową gospodynią i resztą towarzystwa, mnie pozostawiono samej sobie. Przekora się we mnie obudziła, postanowiłam się gwałtem do rozmowy nie wpychać i czekać, jak długo ten niezręczny dla mnie stan potrwa. Trwał dość długo, aż wreszcie pierwsze pytanie do mnie skierował p. Payne – mąż artystki, zapytując jak mi się tu podoba. I znowu długo nic. Przyjechała p. Semple, przyszedł w pewien czas po niej Henderson, a jakieś dobre pół godziny później przyszedł Jurek z p. Semple. Również przekorna bestyjka, bo przyznał mi się, że celowo kazał na siebie dłużej czekać.

Zaraz też usiedliśmy do stołu. Artystka z mężem jadła w kuchni, dlaczego? Nie wiem, może ze względu na brak miejsca przy stole... Przy kolacji rozmowa tyczyła się o tym i o owym, głównie o sprawach kulinarnych, a zwłaszcza o truciznie jaką się karmią Polacy, tzn. o grzybach. Po kolacji całe towarzystwo zasiadło przy kominku, artystka coś robiła na drutach, Jurek zabawiał towarzystwo rozmową i odpowiadał profesorowi Semple na przeważnie ironiczne i zgryźliwe pytania pod adresem Polaków zadawane. Ja milczałam, od czasu do czasu tylko zabrałam głos. Pan Semple przyjacielem Polaków nie jest, to pewne! Takie pytania od niego słyszeliśmy: „a co pan sądzi o granicach wschodnich, przecież tam nie ma wielu Polaków?”, „co Polacy zamierzają dalej robić w Szkocji?”, „dlaczego przy przywitaniu Polacy podają rękę?”.

Chwilę mówiliśmy na temat, czy lotnictwo same może wygrać wojnę? Prof. Semple twierdził, że tak, no bo wystarczy zbombardowanie fabryki produkującej samoloty, czołgi i inną broń dla Niemiec. Ja mu na to odpowiedziałam, że na to potrzeba by było długich lat, bo musieliby zbombardować nie tylko wszystkie fabryki w Niemczech, ale wszystkie fabryki we wszystkich krajach okupowanych, bo i te są zmuszane do produkcji na rzecz Niemiec. A są kraje, które trudno bombardować angielskim samolotom, bo są za daleko, jak np. Polska. „A to w Polsce produkują dla Niemców? Dlaczego polscy robotnicy godzą się pracować?” – pyta p. prof. Semple. Wytłumaczyłam mu, że dobrej woli w nich nie ma, ale są zmuszani, a poza tym, że tysiące polskich robotników wywieziono do fabryk położonych w zachodnich Niemczech, które są najczęściej bombardowane, a na ich miejscu w polskich fabrykach pracują robotnicy niemieccy.

Jureczek był zmęczony już tym podtrzymywaniem rozmowy, pożegnał wkrótce towarzystwo i poszedł. Ja musiałam pozostać jeszcze przez jakiś kwadrans z gospodarzami i ten ostatni kwadrans był dla mnie najgorszy, bo p. Henderson wyczuwszy, tak jak i my, to niechętnie stanowisko p. Stemple dla Polaków, no a chcąc może zdobyć łaski profesora uniwersytetu, zaczął mówić o formie listów polskich, a więc o adresowaniu kopert: „Wielmożny Pan”, o tytułowaniu per „Szanowny Panie”, o podpisywaniu „Z poważaniem”, itd. I w nader wyszukanych słowach przetłumaczył im to na język angielski. Tłumaczył im to tak: „much capable, powerful lord”, a szanowny panie „much honoured lord”.

Towarzystwo oczywiście długo i głośno się śmiało, nie zwracając uwagi na moją raczej poważną w tej chwili minę. Zdenerwowałam się ogromnie i zabrałam głos, ze zdenerwowania nie mogłam jednak mówić ani dobrze, ani dostatecznie spokojnie. Powiedziałam mniej więcej tyle, że każdy kraj ma swoje obyczaje, które dla innych mogą wydawać się dziwne. My adresując w ten sposób koperty jesteśmy uprzejmi dla tej drugiej osoby. Zaczynając list od „Szanowny Panie” wyrażamy nasz szacunek dla tej osoby. Podpisujemy się tylko nazwiskiem bez dodatku Mr lub Mrs angielskiego. W treści listu nie o sobie piszemy dużą literą, lecz o osobie, do której list jest skierowany. Zaznaczam, że piszę tu to, co chciałam im powiedzieć, ja jednak nie potrafiłam im tego dość jasno wytłumaczyć. Cholerne Brytyjczyki!

Całą noc ze środy na czwartek śnił mi się Edek. Żeby tam się co nie stało, bo dawno mi się nikt nie śnił. Znowu pewno awantury?...

Czwartek, 18 września 1941

Złote myśli Jureczka: „Niech my tylko wrócimy, to już będzie majątek dla nich”. Słowa te wypowiedział mój mąż wczoraj przy podwieczorku. Rozmowa toczyła się na temat naszych oszczędności i długów. Jurek stwierdził, że ma 20 £ długów. A ja zapytałam Jasia, czy słuszne jest, mając długi, pisać do rodziny w kraju (tak robi Jureczek), że oszczędzamy, by Wam po powrocie móc pomagać. Czy nie lepiej jest zamiast robić długi, naprawdę oszczędzać i czy nie lepiej jest pomóc im, gdy na tę pomoc od nas nie liczą, niż obiecywać złote góry i wrócić z niczym? Jaś zgodził się ze mną, Jureczek natomiast z powagą wypowiedział słowa, które na początku określiłam jako jego złotą myśl. Dużo myśli o sobie, mój bezcenny skarb, moje 22-karatowe złoto!...

Wczoraj przyjechał do nas Jaś na dwudniowy pobyt i jednocześnie na zakończenie swego 12-o dniowego urlopu. Przez pierwsze dziesięć dni zwiedzał górną Szkocję, jak Aberdeen, Inverness, itd. Z Aberfeldy wyjeżdżamy w sobotę rano. Zawiadomiłam kartką Kasię, kupiłam i wręczyłam Hendersonom prezent (16 funtów szterlingów). Kupiłam im tacę i cacuszko kryształowe do dżemu, obie te rzeczy były bardzo ładne. Mam wrażenie, że nie będą tego używać, schowają to na gospodarstwo dla Kathy. Wręczając im to powiedziałam mniej więcej tak: „nie umiem wyrazić dobrze po angielsku tego, co chciałabym Wam powiedzieć i co czuję. Chcę Wam podziękować za Waszą gościnność, za wielką Waszą uprzejmość dla Polaków a specjalnie dla mnie, za Wasze dobre serca. Pobyt tutaj będę zawsze mile wspominać”.

Zarówno ja, jak i cała rodzina Hendersonów byliśmy trochę wzruszeni, naprawdę są to mili ludzie i to, co powiedziałam, to nie były słowa na wiatr rzucone. Naprawdę będę ich mile wspominać. Wczoraj zaprosiliśmy ich do kina. Grali „The farmer`s wife”⁴⁰ – niezły film. Dziś od rana Jaś z Jureczkiem poszli na grzybki, będzie grzybna kolacja, bo Jaś przywiózł więcej masła, więc będzie na czym zrobić.

Wtorek, 23 września 1941

Jestem od soboty, godziny 19-ej u Kasi. Przyjęli mnie bardzo serdecznie i miło. Ciepłutko wszędzie, co stanowi kontrast z mieszkaniem Hendersonów. Pokój mój tonie w kwiatach. Na honorowym miejscu, na stoliku cudny bukiet róż, przygotowany na moje przyjęcie. W niedzielę dość długo w łóżeczku, później czytanie na świeżym powietrzu gazet, a po obiadku z Kasią zrobiliśmy trochę zdjęć. W poniedziałek pojechaliśmy do Dundee, oddałam materiał do krawca, wybrałam fason, za robotę z dodatkami liczy 4£. Gotowe będzie za 3 tygodnie. Przed kinem „King” spotkaliśmy się z Edziami i razem poszliśmy na film, który zyskał sobie dużą sławę „I wanted the wings” – Chciałem skrzydeł. Treść nijaka, ale film zmontowany wspaniale, bo pokazali nowe typy amerykańskich bombowców-twierdz, ich wnętrze i pracę załogi, o czym dotychczas tylko słyszeliśmy, ale nie mieliśmy pojęcia, jak to wygląda.

⁴⁰ **Żona farmera** – brytyjski, czarno-biały, niemy film komediowy w reżyserii Alfreda Hitchcocka z 1928 r. oparty na sztuce teatralnej Edena Philpotts.

Wtorek, 23 IX – 2 lata upływa od naszego ślubu. Jurek został specjalnie do dzisiaj rana, byśmy choć godzinę byli razem i mogli złożyć sobie życzenia. Dostałam znowu pierścionek, ale tym razem skromniutki, który zresztą bardzo mi się podoba i chciałam go mieć. Pamiątkowa rzecz, stara celtycka robota. Po wyjeździe Jurka smutno mi było siedzieć samej, więc zdecydowałam się pojechać do Dundee, pozalać co potrzeba. Kupiłam sobie pantofle, cudne, ale bardzo drogie, bo kosztowały 3£, ale cóż. Teraz w okresie kuponów trzeba kupować rzeczy lepsze, by dłużej mogły służyć, w przeciwnym razie nie wystarczy 66 kuponów na pół roku, nie mówiąc o całym. Kupiłam też rękawiczki, pończochy zimowe i parę drobiazgów. Także na zimę jestem zabezpieczona.

Środa, 24 września 1941

Rano zobaczyłam pajęczka, mówi się, że to szczęście wróży. Dzień ten w połowie tylko był szczęśliwym, bo rano, około 12-ej, zupełnie niespodziewanie wpadł na 5 minut Mężuś. Przejeżdżał przez Broughty samochodem, przyniósł mi moją walizkę i oznajmił, że małe jest prawdopodobieństwo powrotu Brygady do Montrose⁴¹. Ponieważ gospodyni powiedziała mi, że p. Sanocka jest jeszcze w Broughty, poszłam po południu ją odwiedzić. Na otwarcie drzwi czekałam dobre 15 minut. Czekałam, bo słyszałam ruch w mieszkaniu, ale dlaczego nie otwierali, to tylko ich tajemnica. Niestety, nie zastałam już jej. Wyjechała w niedzielę w okolice Glasgow. Ponieważ byłam blisko miasta, chciałam iść do dentysty. Na drzwiach czytam kartkę, że w środy przyjmuje tylko do południa. Nie chciało mi się wracać do domu, więc zdecydowałam się odszukać p. Zaborowską. Pytałam się starszych – nie wiedzieli, ale gdy spytałam chłopców, od razu mi wskazali ulicę i dom. Poszłam tam, okazało się, że przeprowadziła się na Brook Street. Prowadzi mnie tam jedna dziewczynka, tuż koło domu spotykam p. Zaborowską z p. Łebelską! Sic! Spotykam jeszcze p. Smarzewską. Wszystkie wyrażały swą radość z powodu tego, że mnie widzą, okazuje się, że postawiły już na mnie krzyżyk. Zmęczona byłam tego wieczoru ogromnie, bo rozmawialiśmy spacerując po ulicy.

Niedziela, 28 września 1941

⁴¹ **Montrose** – miasto we wschodniej Szkocji, w hrabstwie Angus, położone na mierzei oddzielającej zatokę Montrose Basin od Morza Północnego. Ewakuowani z Francji żołnierze utworzonego w Szkocji I Korpusu Polskiego, wobec groźby niemieckiej inwazji na Wielką Brytanię, bronili wschodniego wybrzeża Szkocji od Firth of Forth do Montrose.

Mążus przyjechał na swój weekend do żonusi. Wczoraj opowiadał mi swoją rozmowę z plutonowym Jurczakiem na temat moralności i prowadzenia się Szkotek. Jako przykład dał swoją gospodynię, która mając blisko 50 lat, obdarzona trojgiem dorosłych dzieci, co drugi dzień chodzi na dancing uważając, że po pracy (pracuje) musi mieć wypoczynek i rozrywkę. Nie bierze natomiast pod uwagę, że taki sam wypoczynek należy się jej ciężej pracującemu mężowi. A więc, jak powiedzieliśmy, ona chodzi na dancing, a mąż myje i wyciera garnki. Jurczaka to niesłychanie oburza i buntuje męża – Szkota: „popatrz Pan, moja żona – polish lady – można powiedzieć, i młodsza i ładniejsza od Pańskiej żony, a czy ona chodzi na dancingi?” Szkot zaczął żonie wymyślać, to ona jest zła i na męża i na Jurczaka i skarży się do innych Polaków, że ten jej nie lubi. „A za co mam tę cholere lubić?” – powiada Jurczak. „Stara wydra uwiodła 24-letniego Polaka – artylerzystę, który pewnego dnia przyjechał do niej na urlop. Żeby móc go przyjąć, babsztyl prosi Jurczakową, żeby powiedziała jej mężowi, że to jej znajomy. Jurczak wraca ze służby, zastaje w domu, w pokoju u żony młodego artylerzystę. Żona wyjaśnia historię. Jurczak zaczyna mu przedkładać: coś ty zwariował? Taką starą babą głowę sobie zawracasz, nie możesz poszukać sobie młodszej, a nie flirtować ze Szkotką, z której próchno się sypie? Wynocha stąd barcie, nie będziesz bałaganu w moim domu robił”. Babsztyl słucha tej rozmowy, nie rozumie, więc pyta o czym mówią i czy ją artylerzysta kocha? Na to Jurczak: nie kocha Pani bo ma w Polsce młodą i ładną narzeczoną i niech Pani sobie nim głowy nie zawraca, bo powiem mężowi. Skutek tej interwencji był taki, że artylerzysta wyjechał i do Szkotki już nie pisze. „Żeby to moja żona była, to ja bym ją wykształcił, żeby Szkot był mądry i nakładł babie po pysku, to by się jej amatorów ode chciało. Ale tu w Anglii równouprawnienie, bić nie wolno, żona robi co jej się podoba, mąż tak samo. Cholerny świat!” Fatycznie cholerny, Szkotki rozwyrzone jak mało gdzie, które baby na świecie uwodzą naszych żołnierzy i oficerów. Chłop jak każdy chłop, korzysta z łatwej zdobyczy i na tym tle mieliśmy sporo już tragedii. A najważniejsze jest to, że psujemy sobie opinię, już i tak mocno nadszarpniętą.

Niesłychanie przykry wypadek miał ostatnio miejsce w Dundee, kiedy to żołnierz polski zabił Szkota, uderzając go nożem w plecy. Kto sprawcą zajścia? Wiadomo – Szkotka! Inna rzecz, że ja bym tego żołnierza powiesiła z miejsca, bez względu na to, kto był winien zajściu. Mogli się pobić, ale tak zwyczajem

polskim – kozikiem w plecy, okropne!? Szkoci czytają to we wszystkich gazetach i pierwsza rzecz, to nam pokazują, co my na to? Człowiek musi się za takiego lobuza rumienić i tłumaczyć siebie, jego i Polaków. Szkotka wyjdzie na czysto, mąż zabity, przyjaciel w więzieniu, a ona pewnie już z innym filtruje.

W wyniku zajścia wyszedł rozkaz gen. Sikorskiego⁴² zabraniający pokazywać się naszemu wojsku w Dundee. Nonsens! Po każdej awanturze podobne wychodzą rozkazy, po pewnym czasie odwołuje się je, aż do nowej awantury. Czy nie należałoby indywidualnie ostrzej karać, bez względu na to, żołnierz czy oficer, upił się, zrobił awanturę, pobił Szkotów – wyrzucić z wojska, wysłać na wyspę, zamknąć na kilka miesięcy nie wypacając poborów. Mam wrażenie, że większy pożytek by to przyniosło. Cóż mamy teraz? Nie wolno pić w Dundee, ale za to wolno w Aberdeen, Glasgow, Edynburgu, w całym szeregu innych miast.

Coś zaczyna mi się nie podobać i w naszej polityce. Zaczynam tracić sympatię do Sikorskiego. Nie czuję się na siłach i nie chcę krytykować jego wielkich w polityce posunięć, jak np. układ polsko-rosyjski⁴³, ale przecież ośmiesza się i podważa swój autorytet w rzeczach drobnych, w błahostkach. Po zawarciu tego układu przyjeżdża na teren Szkocji, przebywa tu kilka dni, objeżdża obozy, przyjęcie w Perth⁴⁴, odprawy dowódców, rozmowy z poszczególnymi jednostkami, z grupkami żołnierzy. Co jest tematem tych rozmów? – właśnie ostatni układ! Po co? – pytam się. Czyżby był aż tak zły, że trzeba było przyjechać do Szkocji i usprawiedliwiać się przed polskim żołnierzem. Wizyta ta także na mnie wrażenie zrobiła – wybielająca siebie, tłumacząca pobudki takiego, a nie innego posunięcia. A potem mowa, wielka mowa: „Wojsko nie jest do politykowania, wojsko jest po to, by się biło”. Jeżeli nawet zgodzimy się z tym oświadczeniem, to coś tu będzie nie w porządku, bo po co Naczelnny Wódz przyjeżdża do tego wojska rozprawiać na tematy polityczne,

⁴² **Władysław Sikorski** – (1881–1943) polski generał i polityk, w okresie II wojny światowej pełnił funkcję premiera Rządu RP na uchodźstwie oraz Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych.

⁴³ **Układ polsko-rosyjski** – układ z 30 lipca 1941 r. między Polską a ZSRS przywracający stosunki dyplomatyczne między obu państwami, zerwane 17 września 1939 r. z chwilą agresji ZSRS na Polskę. Układ miał na celu wspólną walkę obu państw z III Rzeszą Niemiecką w czasie II wojny światowej w ramach koalicji antyhitlerowskiej.

⁴⁴ **Perth** – miasto w Szkocji w regionie Perthshire, nad rzeką Tay. Mieści się tam największy polski cmentarz wojskowy na terenie Szkocji, w którym znajdują się 381 groby wojskowe polskich żołnierzy i sanitariuszek wojskowych, stacjonujących w Szkocji, walczących na frontach Europy Zachodniej. Na cmentarzu pochowani są również zmarli pacjenci szpitala wojskowego w Perth.

a więc politykować! Jeśli wojsku nie wolno politykować, to dlaczego Naczelny Wódz tego wojska jest jednocześnie premierem i politykuje. Churchill jest premierem, ale nie jest naczelnym wodzem! Coś jest źle!

Druga rzecz, na którą zwróciłam uwagę, to nagonka na wydawnictwa. Przestało wychodzić „Jestem Polakiem”⁴⁵, szczute przez rząd, przez Żydów polskich i angielskich, wierzę, że mogło nie podobać się Żydom, ale podobało się nam Polakom. Siedzę w Szkocji, w środowisku wojskowym, wiem, że nasi żołnierze chętnie je czytali. Fundusz Kultury Narodowej cofnął subwencję dla „Myśli Polskiej”⁴⁶ i dla „Wiadomości Polskich”. Zrobił to pewnie pod naciskiem rządu, a dlaczego? Przecież nasz rząd jest rządem demokratycznym, głosi wspaniałe hasła: wolności ducha, wolności słowa. Dlaczego więc urządza nagonkę na pisma, w których ukazały się słowa krytyki pod adresem rządu. Czy będziemy popierać tylko te, w których nam kadzą? Rząd sanacyjny, przedwojenny podobno przestał istnieć. Piszę podobno, bo nie bardzo to widać. Czy gen. Sikorski nie jest czysty w swym sumieniu tak bardzo, że boi się prasy? Churchill zamknął pismo „Daily Worker”, które działało wrogo dla państwa, nakłaniało robotników do sabotażu, ale nie zamyka pism, w których często czytamy słowa krytyki pod jego adresem. Więc czym tłumaczyć sobie postępowanie Sikorskiego, co najmniej dziwne, w ostatnich miesiącach. Musimy stwierdzić, że dobrze nie jest, wzięwszy pod uwagę rozłam nie tylko wśród Polaków, ale ozięble ustosunkowanie się prasy brytyjskiej do spraw polskich. Przyszłość odpowie mi na te pytania.

Czwartek, 9 października 1941

Szkocki pogrzeb. Wczoraj na naszej ulicy mieliśmy pogrzeb. Umarł starszy pan. Zaczęło się od tego, że gospodyni zaczęła robić black out od ulicy. Wy tłumaczyła mi, że za pół godziny będzie pogrzeb. W czasie pogrzebu cała ulica spuszcza rolety, by nie sprawić przykrości rodzinie robiąc widowisko z tego

⁴⁵ **Jestem Polakiem** – polski emigracyjny tygodnik wydawany w Londynie w czasie II wojny światowej, związany z Narodową Demokracją. Tygodnik wydawany był w latach 1940–41. Był zwalczany przez pisma innych orientacji politycznych, a także przez periodyki angielskie i środowiska żydowskie w Wielkiej Brytanii, opozycyjny wobec rządu W. Sikorskiego. Został zamknięty przez władze brytyjskie.

⁴⁶ **Myśl Polska** – tygodnik społeczno-polityczny o orientacji narodowo-demokratycznej, założony w 1941 r. jako organ Stronnictwa Narodowego. Pierwszy numer Myśli Polskiej ukazał się 20.03.1941 r. w Londynie. Pierwszym redaktorem naczelnym tygodnika został Marian Rojek, wcześniej urlopowany z I-ego Korpusu Polskiego. W okresie II wojny światowej publicystyka pisma koncentrowała się na stosunkach polsko-radzieckich i polsko-niemieckich oraz zagadnieniu polskich ziem zachodnich.

smutnego obrzędu. Przez szparę w black out-ie obserwowałam z Kasią ulicę. A więc zaczęli się schodzić panowie, przyjaciele zmarłego, czarno ubrani, w cylindrach na głowie. Przyjechały trzy auta i limuzyna – karawan. Na końcu przyjechał ksiądz. W domu w obecności żałobników odprawił service. W połowie modlitw rodzina wyniosła trumnę i wstawiła do auta, po czym wrócili do domu na dalsze modlitwy. Po ukończeniu ich zarządzający pogrzebem pousadzał gości w autach, sam usiadł obok szofera w karawanie i wolno przejechali przez ulicę. Na moje zdziwione pytanie gdzie jest żona, Kasia wytłumaczyła mi, że kobiety nigdy nie jadą na cmentarz. Nieboszczyka grzebią tylko mężczyźni, kobiety zaś pozostają w domu i przygotowują ucztę pogrzebną dla uczestników pogrzebu. Żaloby po śmierci członka rodziny nie noszą. Słuszne to jest, wzięwszy pod uwagę kupony odzieżowe. Podobno przed wojną nosiły.

Kobiety na całym świecie są jednakowe, tak jednakowe, że rozmawiając z Kasią wydaje mi się czasem, że siedzę w gronie polskich kumoszek. Np. mówiłyśmy często o wdowie, gdy ta nie była jeszcze wdową. Na mnie sprawiała ona zawsze miłe b. wrażenie, starsza pani z białymi włosami, zawsze b. porządnie uczesana, elegancko ubrana. Interesowała się moją chorobą, zaczepiała Kasię, Jureczka na ulicy, pytając, jak się czuję, robiło to zresztą b. dużo Szkotek. Kierowała nimi pewnie ta ich wrodzona uprzejmość, ale ta specjalnie serdecznie ustosunkowała się do mnie. Z sympatią wyrażałam się o niej, Kasia również. Zwrot nastąpił, jak tylko jej mąż zamknął oczy, bo okazało się, że umarł przez swoją żonę. Ona myślała tylko o strojach, on po ciężkiej pracy na kolei przychodził do domu, sprzątał pokoje, mył garnki, pielęgnował ogród, nigdy nie miał chwili odpoczynku. Ona pracę swoją ograniczała do wytrzepania dywaników i pielęgnowania dzieci sąsiadki.

Jedna drugiej zaczęły sobie Szkotki opowiadać o tym, że ledwie mąż umarł, te już piorą prześcieradła, że rozmawiają (matka z córką) z ludźmi, zamiast siedzieć w domu, że nie mają black-out-u, itd., itd. Tak jak w gronie naszych, poczciwych, polskich kumoszek.

Albo do sąsiedniego domu wprowadziła się Polka z dzieckiem (mąż jej w Szwajcarii). Nie ma dnia żeby Kasia nie przyniosła mi jakiś nowin o niej i o jej przyjaciółce, również Polce z dzieckiem. Otóż, zdążyłam się dowiedzieć, że mąż przyjaciółki wyjeżdża do Anglii, do Portsmouth, ta jednak tu pozostanie, bo tu spokojniej. Chcą obie razem zamieszkać, bo wygodniej ze względu na dzieci.

Nawet nie zdają sobie sprawy, bidule, że tyle się na tej ulicy mówi o paniach in „yellow jacht” and „in blue coat”. O mnie już tyle nie mówią, przestałam być atrakcją, ale początkowo inne panie znosiły mi współczujące uwagi, że jestem taka młodziutka, 19 lat, i musiałam już z Polski uciekać.

Niedziela, 12 października 1942

Wczoraj byłam wezwana do Dundee na policję. Policjant zbesztal mnie jak niegrzeczne dziecko, że nie przyszłam zameldować się po swym powrocie do Broughty. Mniej uprzejma jest tu policja niż w Londynie, czy Glasgow. Nigdy nie zapomnę pierwszej nocy spędzonej w Londynie w Pałacu Alexandra, jak to czuwający nad naszym snem policjanci londyńscy, sławni „bobby⁴⁷”, czule, z troskliwością matek okrywali nas dodatkowymi kocami, podnosili spadające, itd. To było naprawdę piękne. A później, ile cierpliwości i zrozumienia wykazali na posterunkach, gdy przychodziliśmy się meldować, kiedy to człowiek mówił i po francusku, i po niemiecku, wplatając do tego 3 czy 4 poznane już słówka angielskie. Sprowadzali tłumaczy z inny pięter. Niewiele to pomagało, bo taki tłumacz przeważnie znał francuski, czy niemiecki tak, jak ja angielski w pierwszym tygodniu mego pobytu w Londynie. Ręce, te poczciwe ręce wyjaśniały wszystko i usuwały wszelkie nieporozumienia.

We wtorek lub w środę wraca brygada do Broughty. Cieszą się pewnie miejscowe dziewczęta, weselsze znowu przyjdą czasy, bo z brygadą wróci czas koncertów, przedstawień i zabaw tanecznych, a przecież nasi chłopcy umieją tak cudnie się bawić. Tak ślicznie tańczą, och i tak ładnie całują... w rączkę. Teraz nastąpiła moda całowania w rączkę Szkotek, bo one to tak lubią, to ich bierze. Panie Polki natomiast się nie całuje, bo Szkotki tego nie lubią, patrzą się ze zgorznięciem i w ogóle nie wolno, nie wypada. Wypada natomiast podawać rękę w rękawicze wtedy, gdy pani podaje rękę bez rękawiczki. Wypada do mało znajomej sobie pani powiedzieć „trzymaj się Słoneczko, nie można tak chorować”. Mąż oczywiście powtarza swoje: „widocznie go upoważniłaś do tego lekkiego tonu, bo mężczyzna nigdy się do kobiety poważnej tak nie odezwie”. Niewiele pomagają tłumaczenia żony, że ja z tym człowiekiem dwa razy w życiu rozmawiałam, że nie miałam po prostu czasu go upoważnić i że temat o przebytej ciężkiej operacji nie jest tematem upoważniającym. A zresztą,

⁴⁷ **Bobby** – potoczna nazwa londyńskiego policjanta w charakterystycznym okrągłym hełmie.

są panowie, którzy natychmiast po poznaniu, potrafią powiedzieć per „ty” lub „kochanie”, lub „koleżanko” do kobiety i co tu mówić o upoważnianiu. To są tak zwani „swoi” panowie, jak są i „swoje” kobiety, tzn. takie, które palą papierosy, tak jak panowie piją wódę, nie żadną tam słodką wiśniówkę, po prostu czystą wódę, jak panowie lub lepiej grają w brydża, ze wszystkimi są na ty, itd. To jest w naszej armii tzw. lepsze towarzystwo, które wszystkich innych ma w pogardzie.

Popołudniu zupełnie niespodziewanie przyjechał Jaś. Ucieszyłam się bardzo, bo nie lubię samotnie spędzać weekendu. 2 tygodnie biedny chłopiec pracował na farmie, był wprawdzie w charakterze karbowego, tzn. miał grupę złożoną z 10-12 żołnierzy, ale sam musiał, tak jak wszyscy kartofle z ziemi wybierać. Praca szła na tempo. Maszyna do kopania kartofli nie czekała. Trzeba było się śpieszyć, o odpoczynku chwilowym mowy nie było. Pracowali po 8 godzin dziennie, z tego 7 szło na government, a 1 dla żołnierza. Jaś i wielu innych oddali swój dwutygodniowy zarobek dla Polaków w Rosji. Pytał się mnie, czy bardzo schudł, jeszcze dzisiaj wszystkie kości go bolą.

Opowiadał mi i moim gospodarzom również o sprawie polskiego żołnierza, która się toczy obecnie w Sądzie w Dundee. Usprawiedliwia go fakt, że zabił Szkota nożem należącym do Szkota-boksera, a więc działał w obronie własnej. Ciekawa jestem końca sprawy. Tymczasem Szkoci w Dundee robią nagonkę na Polaków, podobno niebezpiecznie jest się pokazać polskiemu żołnierzowi wieczorem w ciemnej ulicy, bo biją i mordują. Niedawno z zatoki wyłowiono zwłoki naszego żołnierza ze związanymi rękami. O tym jednak gazety szkockie nie doniosły.

Opowiadał także Jaś o nowych zabójstwach, które miały miejsce w Perth. W Perth od niedawna stacjonują angielscy, czy szkoccy spadochroniarze. Zaraz po swoim przybyciu powiedzieli sobie, że dosyć już uwodzenia szkockich dziewcząt przez polskich żołnierzy, żaden polski żołnierz nie wejdzie na zabawę szkocką. To doszło najpierw do miejscowej poci pięknej, a ta doniosła zaraz naszym żołnierzom. Finał można sobie samemu dopowiedzieć. „Co...? My nie pójdziemy? My polscy żołnierze i to tylko dlatego, że jakiś głupi Szkot nie chce?” I aczkolwiek nie mieli zamiaru wybierać się na te zabawy, poszli teraz gromadą. Weszli na salę, z miejsca jakiś spadochroniarz potrącił ramieniem jednego z naszych, a na uwagę zwróconą mu przez naszego żołnierza, uderzył go. W

obronie naszego stanęła cała grupa Polaków. Na pomoc Szkotom przybiegli inni spadochroniarze. Trzeba trafić, że zabawa odbywała się w jakiejś starej zbrojowni, ściany zawieszono były różnego rodzaju bronią. Z miejsca w ruch poszły toporki, stare pałasze⁴⁸, szable, lance, kopie i tarcze do obrony własnej. Nasi, wiadomo jak to nasi, dzielnie się biją, na placu boju pozostawili 3 trupy, 7 rannych, sami – nie jestem pewna zupełnie – zdaje się wyszli bez szwanku. Teraz pewnie za kratkami rozpamiętują swój zbrojny czyn. Przydałoby się nam zmienić tę część Szkocji na inną, lub zgoła kraj.

Wtorek, 14 października 1941

Dziś rano sprowadził się Jurek do żonusi, zachrypnięty i zakatarzony. Popołudniu wybrałam się nareszcie do siostrzenicy Hendersonowej (miss Todd, Monifieth⁴⁹, General Hospital). Ogromnie jestem rada, że mam tę wizytę poza sobą. Mile byłam przyjętą. Na moje opowiadania o trudnościach żywnościowych przy mojej diecie, siostra Hendersonowej, która jest szefem tego szpitala, dała mi ½ kostki masła. Szkoci mają do siebie mile, bezpośrednie podejście. Nie mogłam też nie przyjąć. Podziękowałam, ale nieszczęście chciało, że zapomniałam wziąć je ze sobą. Obawiam się, czy nie posądzą mnie o to, że zrobiłam to celowo. Spodziewam się wkrótce rewizyty siostrzenicy, miss Todd.

Niedziela, 19 października 1941

Straszny był dla nas koniec tego tygodnia, same smutne lub wręcz tragiczne wiadomości. Zaczęło się od piątku, kiedy to Jurek przyniósł wiadomość o śmierci syna Pieniżków – Zbyszka, 17 letniego chłopca⁵⁰. Niezbadane są wyroki Boskie. Wydawałoby się, że ten chłopiec, po tylu przygodach jakie przeżył, wróci cało i szczęśliwie do Polski. Tymczasem nie. Śmierć mu była sądzona. Był razem z Jasiem w Coëtquidan⁵¹, ściślej w Guer, ale w innej

⁴⁸ **Pałasz** – broń biała, przeznaczona do cięć i sztychów, z prostą, długą i szeroką jedno lub obosieczną głownią. Pałasze posiadały najczęściej rękojeści w stylu szablowym, niektóre posiadały rękojeści rapierowe. Pałasz wywodzi się z krajów Bliskiego Wschodu.

⁴⁹ **Monifieth** – małe miasto położone na wschodnim wybrzeżu Szkocji w pobliżu miasta Dundee. Administracyjnie jest częścią jednostki terytorialnej Angus.

⁵⁰ **Zbigniew Pieniżek** – sierżant podchorąży z dywizjonu przeciwpancernego Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Został pośmiertnie odznaczony srebrnym krzyżem Orderu Wojennego Virtuti Militari za walki w Afryce Północnej w Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich. 17-letni Zbigniew Pieniżek zgłosił się na ochotnika do patrolu, w trakcie którego zginął. Jego koledzy zabrali ciało z powrotem, mimo ostrzału z cekaemów. Pośmiertnie został awansowany na podporucznika. Jest pochowany na cmentarzu wojennym w Tobruku.

⁵¹ **Camp de Coëtquidan** – francuski obóz wojskowy położony w Bretanii w miejscowości Guer. Na poligonie Coëtquidan (przez polskich żołnierzy przewany Koczkodanem) miała szkolić się pierwsza

kompanii. Po ukończeniu podchorążówki przeniósł się do I-ej dywizji, wraz z nią był na froncie i walczył z Niemcami. Był poza tym w pułku, który znalazł się w najcięższym położeniu, całkowicie otoczony przez Niemców, zniszczony tak, że znikoma garstka dostała się do niewoli, między innymi Zbyszek. Rodzice jego przyjechali do Anglii, mimo usilnych poszukiwań nie mogli uzyskać o nim żadnej wiadomości. Uważali go za zaginionego, aż wreszcie w marcu, czy kwietniu otrzymali wiadomość z Konsulatu RP w Belgradzie, że meldował się tam. Uciekł z niewoli niemieckiej, przeszedł przez całą Jugosławię, która stała już w płomieniach wojny, przedostał się do Grecji i stamtąd odpłynął do Egiptu. Druga wiadomość jaką rodzice otrzymali, przysła już z Egiptu. Chodziło o potwierdzenie, że syn ich jest podchorąży-plutonowy, bo dowództwo nie chciało tego uznać. Nie wiem, czy zdołali nawiązać z nim listowny kontakt, bo dawno do Izy nie pisałam, mam nadzieję, że tak. Niewiele tych listów jednak od niego otrzymali, bo chłopiec zginął walcząc w Brygadzie Karpackiej w Tobruku. Rozpacz rodziców podobno ogromna. Nie dziwię się. Niedługo cieszyli się jego ocaleniem. Wstrząsnęła mną ta wiadomość, aczkolwiek bardzo mało go znałam, a cóż tu powiedzieć o tragedii rodziców, gdy tracą syna jedynaka, z którego byli tak dumni i którego los się tak pięknie zapowiadał.

W sobotę rano wyszłam po sprawunki do miasta, szłam razem z Mrs Wilson, opowiadała mi o wypadku, jaki miał jej mąż w fabryce. Maszyna przecięła mu palec, założyli mu dwa szwy. W mieście spotkałam p. Kucharczykową i Zaborowską. Opowiedziały mi o nowym nieszczęściu jakie spotkało Frenklową. Spodziewała się dziecka. Poród nastąpił w 6-tym miesiącu. Nasi lekarze podobno się nie poznali. Zanim skierowali ją do szpitala było już za późno na uratowanie dziecka. Uśpili ją i przy pomocy cesarskiego cięcia usunęli płód. Ona podobno czuje się nieźle, ale stale płacze i rozpacza, ku wielkiemu zdziwieniu szkockich „mothers”, które pytają się jej dlaczego się nie śmieje.

Następna przykra rzecz, to widok Jureczka po jego powrocie do domu. Buzia spuchnięta jak bania. Okazuje się, że formuje mu się wrzód, mimo

polska dywizja we Francji. Planowano, że dywizja będzie wspierać Francję w ataku alianckim na Niemcy. Jednak do takiego ataku nie doszło. Pierwsi ochotnicy zaczęli zgłaszać się do Coëtquidan po klęsce wrzesniowej. Zamiast planowanej jednej dywizji rozpoczęto tworzenie trzech. Przeszkolono wówczas około 22 tysięcy żołnierzy.

zaleconych zimnych kompresów. Spuchlizna się stale powiększa, a dziś rano była tak wielka, że bidula nie może nic jeść, nie mówiąc już o silnym bólu samego zęba, który trzeba usunąć po zniknięciu owrzodzenia. Pytam się kiedy nastąpi koniec tych chudych lat. Choroba wali się za chorobą, nieszczęście za nieszczęściem. Ukoronowaniem tych „miłych” piątkowych i sobotnich wieści była wiadomość o wypadku motocyklowym Jasia, na szczęście niezbyt poważnym. Skończyło się na zwichnięciu palca (podobno rękę nosi na temblaku) i potłuczeniu czoła. Żeby choć jedna, jaśniejsza, miłsza nowina. Nic, niestety. Trupy, łzy, choroby, nieszczęścia i nieszczęśliwe wypadki. Oszaleć można!

Środa, 22 października 1941

Wczoraj w przerwie obiadowej Jurka byłem z nim na spacerze. Usiedliśmy sobie nad zatoką i widzieliśmy jak od strony Morza Północnego wpływały statki handlowe kierując się do portu Dundee. Pewnie wiozły żywność dla Szkotów a nad statkami krążyły hydroplany i mewy, całe stada. Na wyspach brytyjskich mewy widzi się w takiej ilości, jak u nas kruki, czy wrony. I to nie tylko nad morzem, ale w gębi kraju również. Całe stada krążyły nad szpitalem, który jest w górach, w środkowej części Szkocji, a więc z dala od morza. Swym przeraźliwym krzykiem budziły chorych, tak że komendant szpitala zabronił rzucać im jedzenie. Niewiele to pomogło. Przyzwyczyły się już i wrzeszczały jeszcze głośniejsze, bo były głodne. Ciekawie też wyglądają, jak rolnicy orzą i sieją. Tak jak w Polsce wrony, tak tutaj mewy chodzą po polu i unoszą się nad farmerem i koniem. Pole jest białe, tak ich wiele. Ładnie to wygląda. W ogóle Szkocja ma dużo uroku, ładna jest i w lecie, i w zimie. Charakterystyczną dla Szkocji jest zieleń, która bynajmniej nie znika w zimie. Jest zielono, a potem ta zieleń jest cieniowana. Najróżnorodniejsze drzewa i krzewy, każde innego koloru. Moc jest drzew sprowadzonych z ciepłych krajów, doskonale się tu chowają. Różnorodność zieleni i ptactwa. Ileż tego było na wiosnę!?... Parki i ogrody były po prostu rozśpiewane, o ile można tak powiedzieć, i to na różne tony i melodie! Śpiewająca wyspa, śpiewają ludzie i śpiewają ptaszki!...

I co jeszcze było inne w Szkocji to to, że w odróżnieniu od Anglii nie było tu częstych niemieckich nalotów – poza jednym sensacyjnym! W pobliżu Glasgow wylądował pojedynczy

niemiecki samolot w 1941 r. z Rudolfem Hess⁵² na pokładzie. Hess, bliski współpracownik Hitlera, organizator terroru w Europie – wybrał wolność! A może przybył z jakimiś propozycjami? Niewiele mu to pomogło, w procesie norymberskim w 1946 r. został skazany na dożywocie, umarł w niemieckim więzieniu.

Czwartek, 23 października 1941

Charakterystyczną dla umysłowości Szkota jest opinia wygłaszana przez jednego kupca na temat inwazji niemieckiej: „nie wierzę w inwazję, a jeżeli nawet by się im udało opanować którąś część kraju, to zginą z głodu, bo my im nie sprzedamy!!” Uśmieć się można z takiego twierdzenia. Ja osobiście gotowa bym była twierdzić, że w razie inwazji nie tylko by sprzedawali, ale nawet dawali bez pieniędzy. Próbkę ich naiwności mieliśmy, gdy wylądował pod Glasgow Hess. Pierwszą rzeczą jaką usłyszał, to zaproszenie na cup of tea przez Szkota, na którego polu wylądował. A później prasa pełna była opisów o nim. Czytaliśmy nawet o tym, że Hess, ogólnie zdrowy, skręcił sobie tylko nóżkę w kostce, przebywając w jednym ze szpitali był na... kuracyjnej diecie, potrawkę z ryżem sobie zajadał. To był bohater nieomal!

Jeśli chodzi o poziom umysłowy naszych gospodarzy, to nie jest on wybitny, panuje tu jakaś tępota umysłowa, ciężko myślą, dużo trzeba poświęcić czasu by zrozumieli coś, co chcemy im wytłumaczyć. O geografii słabe mają pojęcie, o historii również. Kasia długo się uczyła nazwy Jugosławii w okresie napadu na nią. Pierwszy raz słyszała o takim kraju. „Wiadomości Polskie”⁵³

⁵² **Rudolf Hess** – 10 maja 1941 r. Rudolf Hess rozbił się swoim małym samolotem niedaleko Glasgow w Szkocji. Z katastrofy wyszedł prawie bez szwanku, skręcił sobie tylko kostkę podczas lądowania ze spadochronem. Jego zamiarem było, jak sam twierdził, wynegocjowanie pokoju z Wielką Brytanią i nakłonienie jej do wspólnej wojny przeciwko ZSRS. Hess planował spotkać się z Księciem Hamiltonem, którego poznał w Berlinie w 1936 r. podczas Igrzysk Olimpijskich. Zarówno Hitler jak i władze brytyjskie uznały go za chorego psychicznie i po prostu zignorowały. Został do końca wojny uwięziony w Wielkiej Brytanii. Nie wiadomo czy Hess rzeczywiście, jak przekonywał, realizował plan Hitlera, czy był chory, jak twierdziła większość. Istnieje hipoteza, że Hess, będąc od samego początku prawą ręką Führera (siedział z nim w więzieniu i pisał na maszynie dyktowaną przez Adolfa Hitlera „Mein Kampf”) był tak oddany, że próbował przewidzieć jego zamiary i wyprzedzić je, udowadniając swoją lojalność. Hess wiedział o planowanym ataku na Związek Radziecki i mógł myśleć, że Hitler planuje ugodę z Wielką Brytanią. Podczas procesu w Norymberdze został skazany na dożywocie. Karę odbywał samotnie w więzieniu Spandau w Berlinie Zachodnim, strzeżony przez żołnierzy ze Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego, Wielkiej Brytanii i Francji. Na odwiedziny swojej żony zgodził się dopiero po 26 latach. W 1987 r. podjął udaną próbę samobójczą – zmylił czujność strażników i powiesił się na kablu elektrycznym. Miał wtedy 93 lata.

⁵³ **Wiadomości Polskie, Polityczne i Literackie** – emigracyjny tygodnik społeczno-kulturalny wydawany w latach 1940–1944 w Paryżu i Londynie, będący kontynuacją międzywojennych

zamieściły niedawno w rubryce „Rozmaitości” notatkę z angielskiego pisma, wydawanego przez Towarzystwo Ochrony Zwierząt, której autor oburza się na Churchilla, że tenże w czasie spotkania z Rooseveltem na Atlantyku pogłaskał kota, maskotkę okrętową. Przeczulony Anglik ubolewa nad kotem, który jak i cały ród koci, nie lubi tego rodzaju pieszczot. Poczciwi, nie mają dużo większych zmartwień. Całe dziesiątki podobnych przykładów mogłabym przytaczać. W wielu wypadkach niezrozumiałą jest dla mnie ich mentalność.

Lubią natomiast rozrywki. W każdym domu jest radio, słuchają muzyki i komunikatów. Do kina chodzą często, czasami 2-3 razy w tygodniu. Lubią sport, najpopularniejszy jest golf. Mimo wojny mnóstwo jest jeszcze placów golfowych. Potrafią całymi godzinami chodzić po tych cudnie wystrzyżonych kobiercach i popychać kulkę. Nas, Polaków to dziwi i śmieszy, ale to dlatego, że nie znamy zasad tej gry, nie jest wykluczone, że i my moglibyśmy znaleźć w niej upodobanie. A propos kobierca, nie ma tu domu, by nie było przed nim trawnika pięknie, co dzień strzyżonego. Jest to najważniejsze zajęcie bezrobotnych Szkotów lub, jeśli ci pracują, to jedno więcej zajęcie ich żon. Ładnie to wygląda, nie przeczę, ale obecnie w okresie wojny, mniej powinno być trawników, a więcej ogrodów warzywnych.

W ogóle opisując Szkotów należy podkreślić fakt, że kobiety w większości wypadków pracują tu same, rzadko kiedy spotykamy tu służbę, jeśli nawet dom będzie bogaty. Służba jest tu bardzo droga i jest o nią niezmiernie trudno. A więc każda do południa jest tu kucharką, służącą, a po południu, po umyciu buzi szmatką, po zmienieniu sukienki – jest panią. Jeżeli nie wychodzi sama z wizytą, siada przy kominku z drutami w rękę, gotowa na przyjście gości, nawet niespodziewanych. Ubierają się te żony robotników bardzo elegancko. Każda ma po kilka płaszczy letnich, zimowych, futro, srebrne lisy wcale nie są rzadkością. Przepaść jest między robotniczą rodziną polską i szkocką. Jako ich plus trzeba podkreślić, że nikt się tu nie wstydzi pracy. Nawet dzieci są tu do pracy przyzwyczajane. Większość rodzin, nawet dość zamożnych, jak Hendersonowie, oddają dzieci do pracy w czasie ferii wakacyjnych, czy

Wiadomości Literackich. Wiadomości Polskie udostępniały swe łamy przeciwnikom polityki zbliżenia z ZSRS, forsowanej przez obóz Władysława Sikorskiego. Początkowo pisywali tu skamandryci, później m.in. Stanisław Stroński, Maria Danilewicz, Stanisław Cat-Mackiewicz i Ignacy Matuszewski. W lutym 1944 r. jego działalność została zawieszona, gdyż władze brytyjskie uznały, że godzi on w sojusz z ZSRS.

świętecznych. Np. Allen pracował w mleczarni, roznosił rano i wieczorem mleko. Tutaj dzieci pracują u piekarza, roznosząc lub rozwożąc pieczywo po domach, w innych sklepach, u farmerów. W okresie kopania kartofli wszystkie szkoły zwalniają dzieci na 10 lub więcej dni, by pomagały na farmach, oczywiście płaci im się za to.

Pobyt w Szkocji przypadł na moje młode lata. Jurek zupełnie inaczej planował te pierwsze lata naszego małżeństwa, mianowicie mieliśmy je spędzać w Polskim Korpusie Ochrony Pogranicza na pograniczu Polski z Rosją lub Ukrainą, z dala od stolicy i cywilizacji, ale w zamian za to dużo wyższe uposażenie, a jeśli trafimy na miły zespół ludzi to będzie i wesoło! O pobycie w Szkocji można dużo powiedzieć, ale wesoło nie było! Obcy świat, obcy ludzie, wojna, z dala od rodziny, niepewność co dalej, co jutro przyniesie.

Poniedziałek, 3 listopada 1941

Jurek w przypiływie szczerości powiedział mi, że szrama, którą ma na ramieniu po wycięciu tuszczaka, będzie służyć w Polsce jako dowód, że był ciężko ranny walcząc na froncie. Taki spryciarz. Nowe nieszczęście spadło na moją biedną głowę, mianowicie od dzisiaj mleko ograniczono tak, że wypada cztery butelki na tydzień dla dwóch osób. W przeliczeniu na litry – 1 litr na osobę na tydzień. Myślę, że w Polsce, Niemcy gorszych ograniczeń nie wprowadzili. W moich warunkach to jest cios wymierzony, jeśli można tak powiedzieć, wprost w moją wątrobę pozbawioną woreczka żółciowego. Będąc na tej straszliwej diecie, jaką mam, mleko, masło jest zasadniczym pożywieniem. Gdy w Food Office reklamowałam o większe porcje masła i cukru ze względu na przebytą tak ciężką operację, odpowiedziano mi, że większe porcje żywności mogą otrzymać tylko chorzy na cukrzycę. Wszyscy inni mogą tymczasem się przejechać. Przyznaję, przykrą i poważną chorobą jest cukrzyca, ale jest mnóstwo innych, znacznie gorszych. Będę teraz prosić choć o jedną dziennie butelkę mleka, z góry jestem przekonana o niepowodzeniu tej akcji. Czy rząd, w takim wypadku jak mój, ma prawo się oburzać na people, że ten robi kanty, wchodzi w porozumienie z kupcami, z farmerami i bierze więcej, tyle, ile mu potrzeba. Trudno, ja jeszcze chcę Polskę oglądać. Miła jest szkocka ziemia, ale na wszelki wypadek wolę jej nie gryźć. Jurek poszedł do farmerki, obrobił z nią, że będzie nadal przysyłać dwie butelki dziennie. Przy tej okazji stwierdziłam, że Kasia ma brzydki

charakter, bo cholera ją bierze o to, że ona ma co drugi dzień jedną, a ja dwie codziennie – nie wzrusza ją moja choroba zupełnie. Z perspektywy oddalenia uwydatnia się jeszcze więcej, co to za poczciwi ludzie byli Hendersonowie, po prostu dziwię się, że można było znaleźć takich wśród tych Szkotów. Chciałabym, przy pierwszej zmianie miejsca i mieszkania, zamieszkać w środowisku ludzi więcej kulturalnych. Już mam dość tych robotników, dobrzy, mili, ale w wielu wypadkach chamstwo z nich wychodzi, co mnie razi, oburza i dręczy. Nie umiem wytłumaczyć sobie tego jak Jurek, który stale mi powtarza: nie denerwuj się i nie martw, mów sobie zawsze, że ludzie raczej są źli niż dobrzy, a unikniesz wielu przykrości. Mam wrażenie, że dużo jest w tym słuszności, ale wiele lat upłynie, nim nauczę się wcielać w życie tę zasadę.

Środa, 5 listopada 1941

Dziś mogę stwierdzić jedno, że jeśli nie chcemy rozstać się z Kasią w gniewie, powinniśmy zaraz zmienić mieszkanie. Staje się z każdą godziną nieznośniejsza, a ja jestem cała rozdygotana, nie chcę doprowadzić do wybuchu, więc całe zdenerwowanie duszę w sobie. Nie zwracam jej żadnych uwag. Jureczek się na mnie obraził, jak mu powiedziałam, że jest w tym trochę jego winy. Było tak: przyszliśmy tu wynająć mieszkanie. Mały bedroom i używalność kuchni. Kasia chciała za wszystko 15 sh. tygodniowo, ze sprzętaniem pokoju włącznie. Jureczek powiedział 15 sh. jej dawać nie możemy, bo biorą 21 sh. za mieszkanie. Postanowił więc dawać jej 21 sh. za wszystko plus nasz węgiel, co wynosiło 5,2 sh. tygodniowo. A więc z miejsca dostawała o 12 sh. więcej. Wiadomo, była wniebowzięta, zadowolona i uprzejma. Nie mogło być inaczej. Ja byłam jeszcze wtedy zdrowa, nie bardzo chciałam, żeby mi się kręciła i krępowala mnie w tak małym pokoju, więc postanowiłam sama go sprzątać i palić w piecu. Później się okazało, że głupia byłam. Sama gotowałam zostawiając zawsze w kuchni po sobie idealny porządek. Do operacji była zgoda.

Zmieniło się na gorsze po moim powrocie ze szpitala i po powrocie Brygady. Nie wolno mi nic robić, poprosiłam więc Kasię, by sprzątnęła pokój i gotowała posiłki. Dopłaciłam jej za to 10 sh. tygodniowo. To naprawdę nie jest mało, zauważywszy, że Kasia się zbytnio nie przepracowuje. Ugotuje zupę, to jem jedną i tę samą przez 4 dni, udusi królika, to mam go i na obiady i na kolację na 2-3 dni, ugotuje kurę, to jem ją znowu kilka dni i to jest wszystko, bo nic więcej jeść mi nie wolno. Pokój sprząta bardzo powierzchownie, ale nie w tym

leży zło. Przy tym wszystkim robi „miny”, coraz częściej się chmurzy, rzuca się w oczy, że jej to nie dogadza, więc albo chce więcej, albo jest zmartwiona, że nie może spać do południa, jak to było przed moją chorobą. Więcej płacić nie mogę, bo nas na to nie stać. Płacę obecnie tygodniowo 35,2 za mieszkanie. Dla podkreślenia jak to jest dużo zaznaczę, że u Hendersonów płaciłam 35 sh tygodniowo, ale z utrzymaniem, miałam sypialny, miałam tylko do mego użytku olbrzymi sitting-room, gdzie od rana, począwszy od 10-go sierpnia paliło się w kominku, miałam cudowne życie, serdeczną opiekę, Ci ludzie oddawali mi swoje masło, starali się i wydobywali skądś śmietankę. Jureczek jadł czasami podwieczorki, to słuchać nie chciała, by wziąć pieniądze. Jaś przez dwa dni się stołował, to siłą zostawiłam jej na stole odjeżdżając 10 sh. – „gdzież brać pieniądze od polskiego żołnierza”. Złoci, kochani ludzie, chyba żywcem do nieba pójdą. Pamiętam ich oburzenie na wyzyskiwanie Polaków przez kupców szkockich, że gdzie Polak się ruszy, to musi płacić podwójne ceny. Oburzali się i na nas, że nie mamy zwyczaju się targować. Ja im to wytłumaczyłam, że nie targujemy się, bo jak tylko wylądowałam na tej ziemi, wbijali mi w głowę rodacy, którzy Anglię znali dawniej, że broń Boże, nie targujcie się, bo tu są stałe ceny, tu są uczciwi kupcy, tu od cudzoziemca więcej nie wezmą, a targowaniem wstyd przynosicie sobie. W praktyce okazało się to trochę inaczej, nie nasza to wina.

Wracając do Kasi, podkreślam, że tu muszę płacić za mieszkanie 35 plus utrzymanie, co wnosi 32 tygodniowo, a więc dwa razy więcej. Jureczek stołuje się w Kasynie, tu jada tylko śniadania i kolacje. Różnica kolosalna. Zapomniała panienska o tym, że chciała 15 sh kiedyś ze wszystkim, a teraz za każdą najdrobniejszą rzecz żąda dodatkowej zapłaty. Tacy to są ludzie. Czyż ja naprawdę nie zamieszkam z ludźmi, którzy zamiast wyciągać rękę po pieniądze, wyciągnęliby rękę z sercem na dłoni, w rodzaju Hendersonów? Powiedziałam sobie, że zrywam raz na zawsze z polityką ucznia, który ma smutny zwyczaj zjednywania sobie ludzi, a więc chcę tyle ale płacić więcej, by byli lepsi.

Noszę się z zamiarem napisania kiedyś książki na temat emigracji. Nie chcę potępiać wszystkich Szkotów w czambuł, wierzę w to, że Blacklawsowe i Kasia to nie wszystkie Szkotki, wierzę, że są uczciwe, wiem to od moich znajomych, którzy niejednokrotnie nachwalić się nie mogą swych gospodarzy. Wiem, że setki naszych żołnierzy i oficerów znalazło tu dom rodzinny i serdeczną, matczyną opiekę, niestety, ja nie mam szczęścia, nie mogę znaleźć tego ciepła,

jakie chciałabym mieć. Od dnia ślubu tłucze się człowiek po obcych kątach i przy każdej zmianie mieszkania marzy o tym, by ten nowy kąt był bardziej swój, bliski a nie obcy. Może te Kasie, czy Blacklawsowe nie są w gruncie rzeczy takie złe, może to chciwość na pieniądze robi je takimi, jakie są. A propos domu bliskiego, przypomina mi się jak Blacklaws powiedziała mi kiedyś, na kilka dni przed moim wyprowadzeniem się od niej, po awanturze z chłopcem: niech Mrs Górska nie zapomina o tym, że nie jest w swoim domu. Nie wiem, czy byłaby w stanie zrobić mi większą przykrość jeszcze. Mogę Panią zapewnić Mrs Blacklaws, że ja przez cały czas mego u Pani pobytu, o tym pamiętałam, bo nie dała mi Pani powodu, by nie pamiętać. Pamiętam też i dziś, i będę pamiętać zawsze.

Chwilami jest bardzo ciężko być uciekinierką, czy emigrantką, co kto woli. Dom kulturalny, gdzieby się znalazło i wygodę i może większe zrozumienie i trochę serca, człowieka nie przyjmie (samotnego prędej), bo na 30-u sz tygodniowo im nie zależy. Nim trafiłam do Kasi miałam w perspektywie mieszkanie w dużym domu, elegancko urządzone, zamieszkałym przez jedną tylko rodzinę szkocką. Widać było, że ludzie inteligentni, ale cóż? Żądali 2 £ tygodniowo, oddawali do mej dyspozycji duży bedroom i równie obszerny sitting-room z tym, że codziennie ja będę sprzątać i odkurzać sama, aczkolwiek mieli służącą. Niestety, zdrowie nie pozwalało mi na taki wysiłek, a kieszeń na taki wydatek.

Źle o Kasi świadczy fakt, że w czasie mego pobytu w szpitalu, wynajęła pewnemu żołnierzowi polskiemu pokój, który przyjechał tu spędzić urlop ze swą przyjaciółką Szkotką. Byli tydzień i spali na naszym łóżku. Okropne! Dom schadzek robi ze swego mieszkania. Nie dowiedziałabym się o tym, gdyby nie to, że przyszedł tu kiedyś z wymalowaną damą i pytał, czy nie ma pokoju. Okazało się, że ta dama, to już jest inna, tamta pierwsza wyszła za mąż, za Szkota w bardzo krótki czas po swej miłosnej schadzce z polskim żołnierzem. Kasi było ogromnie głupio, gdy się o tym dowiedziałam i twierdziła po ich wyjściu, że nawet gdyby miała wolny pokój, to nigdy by go im nie wynajęła.

Wczoraj otrzymałam przeraźliwie smutną kartę w odpowiedzi na mój list wysłany do znajomej z Les Sables-d'Olonne p. Marii Filleborn. Treść karty tak wygląda. „Dla mnie los jest bardziej srogi jak dla Pani, bo straciłam wszystko. Za późno przyjechałam do Anglii, bo dopiero w lipcu 1941 r. i – nie mam męża, bo jak to czasami na wojnie bywa – urządził sobie życie inaczej. Dla mnie był to

cios straszny, bo kochałam go bardzo i z wielkimi walczyłam trudnościami, by się tu dostać. W liście opiszę szczegółowo ile przeszłam i przecierpiałam. Pracuję w biurze i mieszkam tu, gdzie Pani mieszkała. (2, Palliser Road, Londyn W 14, koło Lewis House). Jest mi smutno i beznadziejnie. Przyjaźnię się z Mildred, ale życie mam tragiczne. Trzyma mnie tylko ta świadomość, że wrócę do Polski, do swej rodziny, którą bardzo kocham. Pani też biedna, ale nie sama”. Ileż tragedii w jej słowach? Wstrząsnęła mną do głębi ta przesmutna karta. Nie znam szczegółów, z kartki widać jedno, że rozstała się z mężem, bo ten w czasie jej nieobecności albo się zdążył ożenić ze Szkotką czy Angielką, albo w najlepszym wypadku wziął sobie przyjaciółkę. Oczywiście, że moja operacja, o której jej donosiłam, to nic w porównaniu z jej losem obecnie. Tragedia miłosna dla człowieka to więcej niż śmierć, a jeszcze w takich okolicznościach? Rzucić kobietę tu na obczyźnie, z dala od kraju, od najbliższych, żonę, którą się wywiozło z Polski, z którą podróżował razem i którą kochał, mogłabym tak sądzić, bo czytałam we Francji listy do niej. Straszne. Oburza mnie, gdy słyszę o prowadzeniu się złym panów, którzy mają żony w Polsce, ale taki jeden z drugim tłumaczy się, że żony nie widział 3 lata. Ale mając tu żonę młodą i przystojną, rzucić ją, to jest więcej niż oburzające, to jest ordynarne świństwo i takiemu panu w cudzysłowie nie warto ręki podać.

Widzę z tego, że muszę Jurka krócej trzymać, ot tak, na wszelki wypadek! Albo taki Makowski? W każdym liście pyta Hala o pana Broneczka, bo żona jego Zocha, ze zmartwienia o niego osiwiała, tęskni ogromnie, itd. itd. Pan Broneczek tymczasem hula sobie ze Szkotkami, telefony w kasynie w czasie obiadu się urywają – dzwonią do Brońcia Szkotki, ten siedzi rozparty i bohatera udaje: „niech poda nazwisko” mówi do żołnierza. Jeżeli to pani Smith, czy Miller to podejdzie do telefonu, jeżeli Mrs Henderson, czy Lawrence, to każe mówić, że go nie ma. Cóż tu pisać takiej żonie siwej, choć młodej w Polsce? Piszę, żeby się nie martwiła, bo jest zdrow i dobrze wygląda i tęskni do niej ogromnie. Niech wierzy i cieszy się, ma pewnie dosyć innych zmartwień o kawałek codziennego chleba.

Niedziela, 9 listopada 1941

Nowe kawalki przyniesione przez Jasia. Opowiadanie Jankowskiego: „Jak przyjedziemy do Polski, to jak nie złapię pierwszą brzoźkę, jak nie zacznę jej ścisnąć, jak nie rzucę się na Matkę-Ziemę, garściami w pysk będę pchał i

pierwszą garść zjem, a potem do żony, do dzieci, a potem... na polską wódkę, i kielbaskę do niej, i bigosik..., no bo jak?! No nie?” Słuchając kpt. Jankowskiego można się śmiać i płakać zarazem. Druga rzecz. Do Blairgowrie⁵⁴, miasta Jasia przyjeżdżają często nasi ochotnicy, bądź to z Ameryki Południowej, bądź ci, którym się udało zbiec z obozów Hiszpanii. Znają zaledwie kilka słów po angielsku. Idzie taki jeden do sklepu z papierosami i prosi: „Player`s please”. „I `m sorry, no Player`s” odpowiada szkocka girl. Na to polski żołnierz „Sorry, please”. Fe..., fe..., fenomenalne lub doskonale, bajeczne, wspaniałe... wprost fatalne..., jakby powiedział Jaś.

Przyniósł Jaś również trochę plotek, które sobie nasi żołnierze opowiadają na ucho, a więc, że w lipcu nie wiedzieliśmy nawet jakie chmury wisiały nad naszymi głowami. Za pośrednictwem Hessa miały się toczyć w tym czasie pertraktacje pokojowe między Anglią i Niemcami. Był moment, kiedy rzekomo Anglia zgodziła się na warunki Hitlera, w tym okresie jakoby miano odbierać naszym żołnierzom broń, wtedy to miały miejsce przeróżne przesunięcia Brygad zmierzające właściwie do całkowitego zlikwidowania naszej armii i internowania naszych żołnierzy na wyspie. Z nieznanym nam powodów zerwano jednak rokowania, a wkrótce potem Hitler ruszył na Rosję. Czy w tej plotce jest jakaś część prawdy, wyjaśni to nam kiedyś Historia!

Wracając do moich młodych lat, nawet się nie zorientowałam kiedy minęły, dlaczego na ten temat piszę? Setki razy od rodzin, od znajomych w kraju i od ludzi odwiedzających nas tutaj słyszę powtarzane w kółko: jak my wszyscy poza krajem żyjemy luksusowo, a oni w kraju przeszli przez terror cierpień i łez! Nie wszyscy, którzy zdecydowali pozostać za granicą żyli w luksusie, olbrzymi procent, to rzesze ludzi, którzy przeszli przez Sybir, obozy śmierci i niewolę, do kraju nie wrócili, bo system komunistyczny im nie pozwolił. Pozostali poza Polską, zakasali rękawy wykonując zajęcia poniżej ich wykształcenia i tego co robili w kraju, pracowali aby utrzymać rodzinę tutaj i pomóc rodzinie w kraju. Ja przez całą wojnę nie zatańczyłam, bo „Polska cierpi, nie wypada!”. Po wojnie dowiedziałam się, że w kraju na prywatkach, w

⁵⁴ **Blairgowrie** – miasto w Szkocji. Stacjonował tam szwadron czołgów Dywizjonu Rozpoznawczego I Korpusu Polskiego. W mieście powstał też Dywizjon Szkolny dla załóg pancernych, a przy nim Ośrodek Łączności. Ośrodek szkolił operatorów radiostacji czołgowych i wozów dowodzenia, mechaników i radiomechaników do napraw i konserwacji sprzętu. Ośrodek przekształcił się potem w Centrum Wyszkolania Łączności, później przeniesione do Dundee.

karnawale, w restauracjach bawiono się i tańczono w okresie okupacji! Taka była rzeczywistość. A na życie w wygodnych warunkach ciężko pracowaliśmy.

Piątek, 14 listopada 1941

Opętały mnie smutne dziś myśli. Mam czarne przeczucia co do mojej przyszłości, z przerażeniem myślę co to będzie po powrocie do Polski. Jeśli my się tu wciąż kłócimy, jeśli tu nasze niezgodne charaktery nie mogą się pogodzić, to co to będzie tam, gdy będziemy otoczeni rodziną, gdy przyjdą narady rodzinne i interwencje naszych najdroższych. Nie będzie wesoło, o nie! Dzisiaj Jurek otrzymał list od rodziny. Ogromnie są zmartwieni, nie tyle moją operacją, ile tym, że przez mnie Jureczek osiwił, co nie jest zgodne z prawdą. O ile Hela ma dar przejaskrawiania, o tyle oni twierdzą, że żyją sielsko i anielsko. Komu wierzyć? Myślę, że ani tym, ani tamtym.

Piątek, 2 stycznia 1942

A zatem jesteśmy w Nowym Roku. Co on nam przyniesie. Ja osobiście proszę Boga, by pozwolił nam w tym roku powrócić już do Polski i o mniej chorób. Niefortunnie się on jednak zaczął od samego początku. W Nowy Rok byliśmy z Jasiem w kinie na paskudnym zresztą filmie. Po powrocie do domu zmierzyłam sobie gorączkę, bo już od kolacji nieszczególnie się czułam. Nie myliłam się 37,4 st. C, a więc znowu gorączka. Szalony ból gardła i głowy. Wzięłam 2 aspiryny na noc. Dziś leżę w łóżku, gorączka mniejsza, ból gardła mniejszy, pozostał ból głowy. Zły prognostyk na rok 1942 jeśli chodzi o moje zdrowie. Druga rzecz, to posprzecaliśmy się wracając wczoraj z kina z Jureczkiem. Tak chciałam uniknąć kłótni w Nowy Rok, by jak najmniej ich było w ciągu następnych miesięcy a jednak... nie udało się. Smutno mi z tego powodu. Może jednak nie będzie tak źle, bo w wigilię stłukłam szkło od fotografii. Słyszałam, że z bicie czegoś w wigilię wróży szczęście na rok przyszły.

Na święta byliśmy sami. Olek z bratem nie przyjechał, wypadła mu służba w dywizjonie. W pierwszy dzień świąt byliśmy z wizytą u Mniszków, a w drugi dzień gościliśmy ich u siebie. W sylwestra byliśmy w kinie z Jasiem i Kasią, bo Edzio miał służbę. Około 11-ej wróciliśmy do domu, o 12-ej zapaliłam świeczki na choince. Na stolyczku śliczny tort od Goodfellow`a za 6 sh z napisem „Good luck for 1942” i winko. Gdy w radio londyński Big Ben wybił godzinę 12-ą, wychyliliśmy kieliszki na naszą pomyślność. Później pośpiewaliśmy kolędy i nie-

kolędy. Doczekaliśmy w ten sposób godz. 12:45, kiedy to radio nadało dla naszych najdroższych w kraju audycję noworoczną. Nieźle było to zrobione. Punktualnie o godz. 1-ej, tzn. wtedy, gdy w Polsce była godz. 12-a wychyliłiśmy znowu kieliszczyk za zdrowie rodzin. Pijąc, byłam myślami i niemal całą swoją osobą w Łowiczu na Arkadyjskiej, nie wiem czy oczekiwali oni tam na godz. 12-ą, raczej wydawało mi się, że śpią, w myślach swych pochylałam się nad nimi, całując każde i szepcząc słowa modlitwy serdecznie do Boga, by dał im zdrowie i siły do przetrwania, by ten rok przyniósł im wyzwolenie, by połączył nas nareszcie. Czy czuli mą obecność?

Od Kasi w Nowy Rok dostałam prezent w postaci poduszczyki do czajnika z herbatą, by dłużej utrzymywał ciepło. Wierzch pokryty tartanem szkockim. Od Jurka dostałam na gwiazdkę koszulę nocną. Obie rzeczy bardzo ładne i kosztowne (6£, 6sh, 6d). Hendersonowie jak zwykle dłużni nie pozostali, przysłali mi 6 uncji wełny, co wystarczy na sweter. Z biura szkockiego w Dundee przysłali mi 58 kuponów odzieżowych nadprogramowo, to też jest cudny prezent gwiazdkowy. Blisko roczna racja (66).

Sobota, 3 I 1942

Źle spałam tej nocy. Śniło mi się, że uczestniczyłam, sama zresztą, w pogrzebie mamusi i ojca. W jednym dniu pogrzeb, ale pochowani na dwóch różnych cmentarzach. Czy nie chorzy? Dziś siedzę sama w domu i sama śpię. Jurek ma od 12-ej w południe do 12-ej jutro służbę. Fatalnie mu to wypada, już któryś raz z rzędu i zawsze na weekend.

Poniedziałek, 5 I 1942

Wczoraj byliśmy z wizytą u pp. Todd w Monifieth⁵⁵. Mili ludzie. Daliśmy im w prezencie Pruszyńskiego, ona się zrewanżowała i dała mi ½ f. masła i kawałek bardzo dobrego tortu. Wzięłam, podziękowałam, bo to nie wypada nie wziąć, tym bardziej, że ona to masło daje osobie chorej i bardzo go potrzebującej. Dziś rano otrzymałam list z 3 września od Heli, wysłany pod jakimś dziwnym adresem na [Catrugali], nie wiem skąd ona go wzięła. Zdenerwowałam się, bo zawierał takie dziwne wiadomości. Ciotka Bronka z Ludką w Krynicy bawi, a Matka często nie ma na chleb. Z treści listu następnie wynika, że Mamusia miała też jakąś operację, o czym mi przedtem nikt nic nie

⁵⁵ **Monifieth** – miasto położone na wschodnim wybrzeżu Szkocji, w pobliżu miasta Dundee.

pisal. Co za interesy robią w Głownie, że mogą sobie pozwolić w tych tak ciężkich czasach na wyjazd do Krynicy. Znowu ani słowa o Edku, co on robi. O Krysi również nic. Cisza też jeśli chodzi o paczki, pewnie ich nie otrzymują. Szkoda, byłoby im lżej gdyby herbatę spieniężyli. Hela wciąż pisze, już bodaj po raz trzeci, o Maćkowskim, który jest w Peebles⁵⁶. Dlaczego wymienia nazwy miejscowości brytyjskich, skoro ja dla cenzury niemieckiej mam być w Portugalii? W każdym liście jej piszę, że ten łobuz jest razem z nami w Broughty i dobrze się czuje. Aż za dobrze...! Widocznie nie otrzymuje moich listów.

Z Jureczkiem jesteśmy trochę na bakier od Nowego Roku, niby rozmawiamy, często się śmiejemy i żartujemy, ale to tak się robi, jakby z przyzwyczajenia. Męczy mnie to i martwi na przyszłość.

Piątek, 13 lutego 1942

Długi czas nie pisałam, ale bo cóż i pisać. Wciąż w kółko to samo, że wszystkie Szkotki – cholery, że Kasię bym z rozkoszą zamordowała, o tym, że „dzielnych” żołnierzy brytyjskich walą aż huczy, że się od miesiąca wycofują według z góry przewidzianego porządku, zadając nieprzyjacielowi ciężkie straty. A nieprzyjaciel pokaleczony i bity zajmuje coraz to nowe posiadłości, zarówno Rommel w Afryce, jak Japończyk na Oceanie Spokojnym, który od pewnego czasu stał się bardzo niespokojnym, i wreszcie pisać o tym, jak to wielkie demokracje obliczają ile samolotów i statków wybudują w roku 1967 – dajmy na to? I może jeszcze napisać o tym, że Hitler to skończony idiota, bo gdyby ruszył wprost na „niezdobyte” wyspy brytyjskie, to by je zdobył w przeciągu tygodnia. Durny człowiek – można powiedzieć! A czym ich więcej piorą, tym ja się więcej cieszę. Wierzę najmocniej i bez najmniejszych wątpliwości, że zwycięstwo będzie przy nas, ale jednocześnie życzę sobie żeby tych głupio naiwnych Anglosasów porządnie złoili. Którzy jeńców niemieckich oprowadzają po sklepach, by ci sobie porobili zakupy, ci sami jeńcy przesiadują w kawiarniach i rozkazują tubylcom i mylilby się każdy, kto by sądził, że tubylcy ich źle traktują... Nawet widząc jak nasi wielcy przyjaciele odnoszą się do nas Polaków, gotowa jestem powiedzieć, że większym współczuciem i sympatią będą darzyć tych pierwszych.

Zastanawiam się często, dlaczego nam Polakom tak tu źle żyć. O wiele gorzej niż we Francji, gdzie byłam panią w skromnym hotelowym pokoiku. Myślę

⁵⁶ **Peebles** – miasto w Szkocji, w hrabstwie Scottish Borders, nad rzeką Tweed.

już i o nieznośnych charakterach naszych pań, ale przecież niemożliwe, żeby na kilka setek kobiet nie znalazło się kilkanaście zrównoważonych, opanowanych, które będą ze Szkotką żyły przyjaźnie pod jednym dachem. Z kimkolwiek rozmawiam, to pierwsza rzecz – narzekanie na szkocką gospodynię. Albo zdiera w niemożliwy sposób, zupełnie bez litości, albo okrada, i tutaj można już podzielić na dwie grupy: te które kradną ostatnie nasze łaszki i te, które kradną produkty żywnościowe lub pieniądze. (Świerkoszowa, Nowakowska, Kupisiewicz, Ciechońska). Jak nie okrada, to jędma, która potrafi człowieka zamęczyć.

Podam tu kilka autentycznych przykładów. Opowiadała mi Smirnowa, że z gospodynią swoją umówiła się, że rachunek za gaz i elektryczność będą płacić do spółki. Przychodzi rachunek za gaz, zapłaciła coś około 2£ dziwiąc się, że tak wiele, bo tu gaz bardzo tani. Po miesiącu przynosi jej Szkotka rachunek za elektryczność żądając około 3£. Ta się pyta dlaczego tak dużo i bada rachunek. Na początku dość duża cyfra 2£ 10sh, a pod spodem 15sh. Z tego Szkotka chce płacić 7 i ½sh a Smirnowa resztę. Co się okazało, że wszyscy płacą tu miesięcznie 5sh taksy i tę taksę za 10 miesięcy ma płacić Smirnowa. Bezczelność bez granic!. Powiedziała jej na to: „czy się pani nie wstydzi, mnie Polce, bez ojczyzny i domu swego, każe pani płacić taksę, którą czy ja tu mieszkam, czy nie, to płacić pani musi?” Szkotka nie tyle się zawstydzila, ile obraziła i zaczęła ją w różny sposób szykanować.

Ta sama Szkotka kiedyś opowiadała jej o tym, że w miesiącach letnich często przed wojną wyjeżdżała do Niemiec, że miała tam moc przyjaciół, którzy przysyłali jej do Szkocji marcepany. Marcepany! – ach jak ona je lubi! A po chwili dodaje z goryczą w głosie: „a teraz te marcepany to pani rodaczki w Polsce zjadają – moje marcepany Polki jedzą!” Smirnowa początkowo nie mogła się zorientować o co jej chodzi. Chwilowe zaćmienie mózgu nastąpiło u Szkotki, czy co? „Co też pani mówi takie rzeczy, jak to sobie w ogóle pani wyobraża?” „Cóż, zupełnie naturalnie, wasze Polki mają przyjaciół Niemców i ci zasypują je marcepanami, muszą czymś im płacić?” No, proszę mi powiedzieć, czy takiej Szkotki człowiek by nie zadusił z zimną krwią? Smirnowa jej nie udusiła, zatkało ją na amen, nawet nie umiała się zdobyć na odpowiedź. Poleciała do swojego pokoju i wybuchła płaczem. Mąż, jak każdy mąż, jak i mój mąż, uspokajał ją słowami: „nic sobie z tego nie rób, no cóż - głupia Szkotka,

wydra Szkotka itd.” Łatwo to powiedzieć, ale znacznie trudniej przyjmować te ataki, te ich wieczne złośliwości ze stoickim spokojem. Cierpliwość owszem, każda z nas stara się jak najdłużej być cierpliwą, ale to już jest drugi rok naszego pobytu w Szkocji. Daję słowo, gdybym chciała wydać o Szkotach w Polsce książkę, to nie miałabym dobrego słowa dla nich.

Poniedziałek, 16 lutego 1942

Wczoraj były Jurka urodziny, ogromnie się złości jak mu składam życzenia. Skończył lat ...dzieści i coś, a dla mnie, jak zwykle, od kilku lat – 39! Był również Jaś, który za kilka dni wyjeżdża do Anglii na kurs, wróci dopiero po świętach. Jest czegoś ogromnie zdenerwowany i tym samym dokuczliwy. Do całego świata i do nas ma pretensje, czasem najniewinniejsze słówko doprowadza go do pasji – rzuca się, krzyczy i obraża. Szukaliśmy się z Jureczkiem w korcu maku, ja mam zwariowanego braciszka i Jurek też.

Od tygodnia zamieszkali w naszym sąsiedztwie państwo Ciechońscy. On kapitan, ona doktor filologii i działaczka ludowa. Ludzie sympatyczni i lubiący opowiadać o swoich przedziwnych przeżyciach i przygodach, które przyjmuje się mimo woli z lekkim niedowierzaniem. On teozof – twierdzi, że brał udział w pierwszej wyprawie krzyżowej – biały brat z Clermont-Ferrand⁵⁷. Mówi z ekspresją, robi pauzy, akcentuje jakby w natchnieniu, starannie dobiera wyrazy i buduje zdania. Wszystkie te swoje niesamowite przygody ma spisane, trochę literat. Żona, więcej trzeźwa, zwraca mu uwagę, „daj spokój z tą wyprawą krzyżową, bo żaden słuchający Cię i o zdrowym umyśle nie uwierzy, a powie, że ma do czynienia z wariatem”. Trudno mi było głośno zgodzić się z nią, bo faktycznie tak sobie myślałam, więc gorąco zaprzeczyłam i prosiłam o dalszy ciąg. Prawie sześć godzin płynęła opowieść, po ich wyjściu byłam tak zmęczona i wyczerpana, że nie miałam siły ruszyć się z łóżka. Ponieważ szukamy do spółki domku, więc już zastrzegłam w rozmowie z Jureczkiem, że tylko on będzie chodził na te pogawędki do nich, a ja pozostanę w swoim pokoju. Przyznam się, że już jestem zmęczona tymi opowiadaniem i uwędzona... dymem z papierosów.

⁵⁷ **Clermont-Ferrand** – miasto i gmina w środkowej Francji, w regionie Owernia-Rodan-Alpy. Jest jednym z najstarszych miast kraju. W Clermont w czasie synodu w 1095 r. podjęto decyzję o pierwszej krucjacie w celu uwolnienia Jerozolimy spod dominacji muzułmańskiej. Decyzję ogłosił tam papież Urban II.

Ludzie ci wypalają stopy papierosów. Nie robią żadnych przerw między jednym i drugim. Siedzieliśmy więc wszyscy w obłokach.

Poniedziałek, 16 marca 1942

Fatalnie się czuję. Mam straszliwy ból głowy i serca. Po nocach sypiać nie mogę. Słyszę godziny wybijające jedna za drugą, a usnąć nie mogę! Leżę z otwartymi oczami i oglądam pokój, oświetlony do 3-ej w nocy płomieniem dopalającego się węgla w kominku. Straszne są te noce. Zасыpiam zawsze gdzieś około 2:30 w nocy, do tej godziny wsłuchuję się w chrapanie mojego męża, który leży obok mnie i mimo, że również jest zdenerwowany, to jednak usypia niezłe. Zazdroszczę mu. Ja, jak mi coś dokucza, to nie mogę jeść i nie mogę spać. Z wyczerpaniem nerwowym łączy się wyczerpanie fizyczne. Powód tego ten, że od dłuższego czasu bardzo źle żyjemy ze sobą. Co parę dni ostra wymiana zdań z mniej lub więcej ważnego powodu. Po takiej sprzeczce zwykle nie mówimy ze sobą przez 2-3 dni lub dłużej, a jak zachodzi potrzeba wymiany zdania, słyszy się słowa jak sztylety ostre. Jedno drugiemu ustąpić nie chce, i jedno i drugie uważa, że ma rację, efekt zwykle ten sam, tzn., że ja pierwsza zawsze wyciągam rękę do zgody trwającej kilka dni. Przyznam się, że jestem tym zmęczona, chwilami nawet bardzo zmęczona. Chwilami obawiam się poważnie, bym się ciężko nie rozchorowała na serce. Co ja później będę robić z wadą serca, jak potrafię zarobić na życie?

Czwartek, 25 czerwca 1942

3 miesiące nie pisałam, a więc choć w skrócie minione wypadki podam. Otóż, 18 kwietnia opuściliśmy nareszcie Broughty Ferry, żegnani przez Kasię... zalaną łzami. Histeria i nic więcej, bo stosunki z nią były ostatnio tak naciągnięte, że mogłaby być więcej opanowaną przy pożegnaniu. Obecnie jestem z nią w kontakcie, ale pisuję dość rzadko, zresztą ona do odpisywania się też nie kwapi. Tutaj mieszkamy dość wygodnie (144 Dunnikier Rd, Kirkcaldy⁵⁸) u młodego małżeństwa. Są 10 lat po ślubie, ale moja landlady⁵⁹ liczy sobie 65 wiosenek. Mamy dwa wygodne pokoje z używalnością kuchni. Gospodyni dużo mi pomaga, pomoc tę przyjmuję chętnie z uczuciem wdzięczności. Nie lubię natomiast jak myje mi garnki i o ile możliwości sama staram się to robić. Myję w

⁵⁸ **Kirkcaldy** – portowe miasto w Szkocji, na wschodnim wybrzeżu zatoki Firth of Forth. Liczy obecnie ok. 47 tys. mieszkańców i jest największym miastem w hrabstwie Fife.

⁵⁹ **Landlady** – gospodyni.

odrobinie wody, która po chwili jest kompletnie czarna. Kiedyś ja myłam po śniadaniu moje i jej naczynia. Gospodyni paliła w kominkach. Przyszła do kuchni i rękami czarnymi od węgla i sadzy i zaproponowała mi bym ją dopuściła do mycia garnków, bo ona jednocześnie umyje sobie ręce. Włosy mi z przerażenia uniosły się na głowie, ale nic nie powiedziałam, skończyłam myć ostatnią swoją rzecz i odeszłam od miski, niech swoje myje. Następnym razem jeszcze przykrzejszy obrazek. W misce z ciepłą wodą z mydłem, myje gospodyni swoje sztuczne szczęki. Umyła, schowała je w buzi i najspokojniej zaczęła myć w tej wodzie talerze. Czysta rozpacz. Wyszłam z kuchni by nie zacząć chorować na morską chorobę. Obecnie każdy talerz czy filiżankę przed użyciem myję. Niemożliwe też jest u niej kąpanie się. Jest wprawdzie łazienka, ale o wodę gorącą doprosić się nie można. Trochę letniej i na dnie, my dziwimy się, że taka zimna i tak mało, a ona się dziwi, dlaczego my się dziwimy, bo im to wystarcza. Żeby nie wydziwiała, że polish people jest very funny i wymagający – kąpię się raz na dwa tygodnie.

Placę jej dość dużo, bo 35 tygodniowo, ale z opalem już i ze światłem. Poza tym jest miłą kobietą. Zachwycona jest mną, że jestem tak spokojna, tak niewiele mówię, grzeczna, uprzejma, itd. Ale bo też nie każda Szkotka ma tak dobrze. Też mnie całe dni w domu nie ma, bo od 3-go maja zaczęłam pracować w kiosku. Właścicielką jego jest p. Hanka Sosińska, która stale jest w Dunfermline⁶⁰, a tu otworzyła oddział. Prowadzę jej ten kiosk za 10% od dochodu w czterech punktach, tzn. w kasynie sztabu Brygady Szkockiej stoi jedna skrzynia otwierana tu w poniedziałki i czwartki. Skrzynia ta co dekadę wędruje do oddziału sztabowego, gdzie znajduje się setka żołnierzy. Teraz jest ich znacznie więcej, bo około 200-u przyjechało z Rosji, są to prawie wszyscy lotnicy, chwilowo tu zatrzymani. Odżywili się na okręcie w czasie 3-miesięcznej podróży, wyglądają doskonale i zdrowo, a o pobycie w Rosji opowiadają skandaliczne rzeczy. Początkowo byli bardzo modni, teraz spowszechnieli, przestali pp. lordów interesować, opowiadań ich raczej wysłuchują obojętnie. Druga skrzynia stoi w Burmie, gdzie jest kurs etapowo-poborowy, lub kto woli wojewodów, lub jeszcze inaczej i najwięcej popularnie – gauleiterów. Masę

⁶⁰ **Dunfermline** – miasto w Szkocji, w regionie Fife, usytuowane w pobliżu zatoki Firth of Forth na Morzu Północnym. Miasto jest historyczną stolicą Szkocji.

znajomych tu spotkałam. I z Burmy co dekadę jeździ skrzynia na kurs kierowców, który jest w Olimpi. Podejmując się prowadzenia tego kiosku nawet sobie nie wyobrażałam, że tyle kłopotu ściągnę sobie na głowę. Poznałam z bliska ważnych panów, wartościowych ludzi na palcach się szuka, a reszta to śmiecie, które nim przyjdzie do Polski, powinno być dobrze przesiane.

Czwartek, 6 sierpnia 1942

Mój obecny adres to: 17 Grahams Rd Falkirk c/o Mr&Mrs Bonar. Kirkcaldy opuściliśmy 2-go lipca, żegnani bardzo miło przez naszych gospodarzy, pp. Adamsonów. W sobotę wyjeżdżaliśmy wieczorem i całą tę sobotę byliśmy u nich na wikcie, a więc na obiedzie, na który Jurek się spóźnił tylko 50 minut ?! (sic!). Biedna Adamsonowa przepraszała nas jeszcze, że ziemniaki są niezbyt smaczne, oczywiście od godziny gotowane na Jurka czekały. Nie wiedziałam co o tym myśleć, zdenerwowana byłam okropnie, ukradkiem wybiegłam z domu lecąc jak szalona do Kasyna, wchodziłam już do niego, gdy mój mąż wychodził, spokojnie, wolno, zapalając sobie fajeczkę. Pytam się o powód – okazał się istotnie „ważkim” – czekał na sierżanta, by odebrać od niego 2 szylingi za gazety. Krew mi oczy zalała, mówić nie mogłam, bo myśli mi latały. A mąż się z kolei obraził, że jak ja się mogłam obrazić i właściwie o co się rzucam, że zaledwie 50 minut się spóźnił? Istotnie, słuszne zdziwienie, bo w Polsce spóźniał się na randki ze mną nieraz po dwie godziny...

Takie to przykre wspomnienie z ostatniego dnia pobytu w Kirkcaldy częściowo zatarło inne miłe wspomnienia, które mieliśmy w okresie pobytu naszego w szkockiej Brygadzie, której dowódcą był gen. Głuchowski⁶¹ i który żegnając się ze mną, życzył mi wszelkiego najlepszego i bym została zawsze tak piękną, jak jestem dzisiaj. Powiedziałam mu, że postaram się o to, ale uroda jest to rzecz przemijająca, nietrwała, rzecz, którą mimo nadzwyczajnych wysiłków zainteresowanej, jak i nowoczesnych udoskonaleń w dziedzinie kosmetyki, nie

⁶¹ **Janusz Julian Głuchowski ps. „Janusz”** – (1888–1964) generał dywizji Wojska Polskiego. Po wydostaniu się z obozu internowanych w Rumunii przedostał się na Środkowy Wschód, skąd w styczniu 1941 r. został powołany do Londynu. W październiku 1941 r. objął dowództwo Brygady Szkolnej w Szkocji. 23 września 1943 r. został mianowany dowódcą Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii. Awansował 1 czerwca 1945 r. do stopnia generała dywizji. Ostre stanowisko gen. Głuchowskiego względem Rosji, a także w sprawie równych uprawnień dla znajdujących się na terenie Niemiec byłych jeńców wojennych z kampanii wrześniowej i AK, spowodowało, że we wrześniu 1945 r. został przeniesiony do Londynu do dyspozycji MON. Był jednym z twórców, a potem prezesem Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie. Zmarł w Londynie w 1964 r.

da się na dłuższą metę utrzymać. Gen. Głuchowski jest miłym mężczyzną, dżentelmenem w stosunku do pań, nie podoba mi się natomiast jego stosunek do kolegów, niższych stopniem... i monokl w oku, który zakłada gdy czyta. Może przesada, ale nie znoszę monokli. Mężczyzna w monoklu robi na mnie wrażenie mało poważnego lub zgoła śmiesznego. Gdy zakładał monokl, by przejrzeć książki i pisma leżące na stoisku w kiosku, przeważnie spuszczałam głowę i również udawałam zaczytaną, by się tylko na niego nie patrzeć. Po prostu mnie żenował ten monokl w oku p. generała. Nigdy nie widziałam go też rozmawiającego z oficerem niższym stopniem, tak jak dowódca rozmawiać powinien. Gdy mu się tam jakiś napatoczył pod nogi, podawał mu rękę i to podanie ręki robiło na mnie wrażenie, jak gdyby w tej chwili pan generał zstępował z piedestału, a to było już szczytem łaskawości. Nigdy nie słyszałam słowa wypowiedzianego do któregoś z oficerów, chociażby stereotypowe angielskie „how are you?” lub nasze polskie, „no, cóż tam słyhać?”. Wychodził z sali jadalnej i z miejsca zasiadał do brydża. Opowiadał mi Jurek o pożegnaniu oficerów, którzy z Brygady Szkolnej przeszli gdzie indziej. On był również jednym z żegnanych. Oczywiście w czasie kolacji generał słowa nie powiedział, a po kolacji podszedł do Jurka i zapytał go jak się pan czuje na nowym miejscu pracy. A w tej chwili, tak jakbym widziała ich rozmawiających, Jurek mówi coś, a pan generał znudzonym spojrzeniem wodzi po ścianie, czy suficie, myśląc by już odejść, i rzeczywiście robi ruch do odejścia, nie bacząc, czy ten ktoś, kto mówi, zakończył już, czy nie. Tak, to była zwykła uprzejmość i tylko wyświadczona ze względu na mnie, ale już w swojej tępej zarozumiałości generalskiej nie przyszło mu na myśl, że znając mnie, aczkolwiek jestem żoną tylko kapitana, wypada, grzeczność nakazuje, przekazać dla mnie pozdrowienia. O chłopaku ze wsi, gdyby tak zrobił, powiedzielibyśmy: popełnił chamstwo. Co w tym wypadku powiedzieć o polskim generale?...

Wracając do Falkirk, otóż bardzo zadowolona jestem z mieszkania. Mam duży diner-room z sypialnią i jeśli mam gości, używalność sitting-room-u. Gospodarze, katolicy, mają 13-letnią córkę Jane. W styczniu umarła im ich druga córeczka – czteroletnia. Oboje głęboko to przeżywają, bo co niedzielę z kwiatami są na jej grobie. Taka pamięć długa o zmarłych, tu na tych wyspach, jest nieco dziwna, czyżby dlatego, że katolicy?...

Po przyjeździe zgłosiłam się do Rodziny Wojskowej. Przedstawiłam się opiekunce ośrodka, p. Kukielowej, żonie generała, dowódcy Korpusu Pancerno-Motorowego. Z miejsca zyskałam dobrą opinię w ich oczach pięknym cerowaniem skarpetek. Okazało się jednak, że jestem zbyt „clever girl” bym cerowała pończochy, dano mi do przyszywania kołnierze do koszul. Za ostatnim swym pobycem w szwalni, obecna kierowniczka p. Niemcowa nauczyła mnie kroić kołnierze, a ponieważ umiem szyć na maszynie, więc chcę mnie zrobić kierowniczką szwalni, ale na to się nie zgodzę. Już wolę z dwojga złego przyjmując propozycję majora Michny⁶², obecnego szefa Jurka, by zająć się świetlicą dla żołnierzy na terenie II kompanii zaopatrzenia. Chwilowo chodzę trzy razy w tygodniu do mending-room, od czasu do czasu pomagam paniom wydawać kawę czy herbatę żołnierzom w świetlicy, sama gotuję, robię sweter dla Jasia, nakolanniki dla lotników naszych i cały szereg prac domowych – to dosyć, a zważywszy mój stan zdrowia – to nie jest mało.

26 lipca, a więc na moje imieniny, miałam sporo osób u siebie. Przyjechali Mniszkowie z Kirkcaldy, Ciechońscy z Dunfermline, mjr Michno i nasi gospodarze. Przyjęcie można uznać za udane. Zdążyłam już sobie wyrobić markę dobrej gospodyni.

3 sierpnia miał odczyt dla kobiet polskich gen. Boruta-Spiechowicz⁶³ o położeniu Polaków w Rosji. Sam długi czas przebywał w rosyjskim więzieniu i po wyjściu z więzienia widział cały ból i nędzę tych nieszczęśliwych wygnańców i zesłańców. Robi wrażenie milego człowieka, wygląda młodo, przedstawia typ męczyzny przystojnego o bardzo smutnych oczach i przemiłym uśmiechu. Gdy mówił, widać było, że to co mówi, to przeżywa to wszystko, ręce mu drżały,

⁶² **Stefan Michno, ps. „Mirski”** – (1893–1974) podpułkownik piechoty Wojska Polskiego, kawaler Orderu Virtuti Militari. We wrześniu 1939 r. był szefem sztabu Grupy „Dniestr”. Zmarł w 1974 r. Został pochowany na cmentarzu South Ealing w Londynie.

⁶³ **Ludwik Mieczysław Spiechowicz-Boruta** – (1894–1985) generał brygady Wojska Polskiego. Podczas wojny obronnej w 1939 r. dowodził Grupą Operacyjną „Bielsko”. Aresztowany przez NKWD, więziony w Stanisławowie, następnie na Łubiance w Moskwie. Po zawarciu układu Sikorski-Majski, w sierpniu 1941 r. zwolniony z więzienia. Na wniosek gen. Władysława Andersa został mianowany dowódcą 5 Wileńskiej Dywizji Piechoty. Od marca 1942 r. był dowódcą wojsk ewakuowanych do Iranu. 1 października 1942 r. Naczelny Wódz mianował go dowódcą I Korpusu Pancerno-Motorowego w Szkocji. W 1945 r. powrócił do Polski i został przyjęty do Ludowego Wojska Polskiego. Na skutek konfliktu z gen. Karolem Świerczewskim został w lipcu 1946 r. przeniesiony do rezerwy, następnie w stan spoczynku. Od 1958 r. angażował się w działalność Związku Inwalidów Wojennych. Mocno zaangażował się w akcję protestacyjną przeciwko radzieckiej dewastacji Cmentarza Orłat we Lwowie. Cieszył się ogromnym szacunkiem w środowiskach kombatanckich, był również członkiem Senioratu Wojska Polskiego, nieformalnej rady najstarszych rangą i dowodzeniem oficerów II Rzeczypospolitej.

nerwowo wkładał i zdejmował okulary chcąc pokryć może tym swe własne wzruszenie. Po odczycie zarządziłyśmy zbiórkę na Polaków w Rosji i zebrałam 7 £ 15 sh 7 p. Duża to suma zważywszy, że niewiele kobiet na tym odczycie było.

4 sierpnia Jurek powrócił z 3-tygodniowego kursu gazowego, który się odbył w Dunfermline. Dobrze się dziecko spisało, bo skończyło kurs z pierwszą lokatą.

Co słyhać w polityce? Otóż, panowie posiadający rzekomo informacje z najpoważniejszego źródła informują:

1) Pogorszenie się stosunków między Polską i Rosją. Stalin zażądał podobno usunięcia całej armii polskiej z Rosji, jako że za bardzo uświadamiają tubylców, którzy są tak oświeceni, że więcej być nie potrzebują. Gen. Anders zgadza się na opuszczenie granic gościnnej Rosji i przejście do Persji, ale pod warunkiem, że zabierze całą ludność cywilną polską, która się znajduje w pobliżu obozu. Na to absolutnie się nie zgadza Stalin, grożąc, że nie da wyżywienia. Anders mu na to miał odpowiedzieć, że wyżywienia mu wystarczy dla wszystkich, ale mimo to Stalin wynalazł dziesiątki innych powodów, aby ludności tej z Rosji nie wypuścić. Zdenerwowany Anders miał jednak wszystkich cywilów wziąć do środka, otoczyć uzbrojonym wojskiem i zaczął pochód w kierunku granicy perskiej. Pochód będzie to długi i ciężki, bo muszą przebyć 1000 km. Gdyby Rosjanie chcieli się zbrojnie sprzeciwić, mają przylecieć polskie dywizjony dla ochrony tego pochodu. Bajka to, czy prawda, po wojnie się wyjaśni.

2) Ani Anglia, ani Ameryka nie śpieszy się otworzyć drugiego frontu, bo Niemcy wzięci w dwa ognie mogliby się prędzej skończyć niż to przypuszczamy i nie daj Boże Batuszka Stalin znajdzie się wcześniej w Berlinie niż Churchill. Oczywiście mała by była zasługa sprzymierzonych w pokonaniu Niemców, właściwym i jedynym zwycięzcą byłby Stalin. A gdyby tak się stało marzenia nasze o odbudowaniu Polski, czy narodów bałtyckich o odbudowaniu ich państw, stałyby się tylko marzeniami i niczym więcej. Ani Anglia ani Ameryka nie miałyby żadnego wpływu na sprawy europejskie. Zdają sobie dziś sprawę, że Rosję pokonać mogą tylko Niemcy ewentualnie w bliskiej przyszłości i z pomocą Japonii. Oby się tak stało, co daj Boże, Amen! I wiemy dziś wszyscy i to, że zwycięstwa nad Rosją łatwo Niemcom nie przyjdą, że tam 60 tys. uzbrojonych po zęby Rosjan nie podda się wraz ze sprzętem w niewolę, jak to miało miejsce

w Singapurze z Anglikami i Japończykami⁶⁴. Tam giną Rosjanie, ale w tej samej ilości, lub większej giną Niemcy. Posuwają się naprzód, ale drogo te sukcesy oplacają: krwią żołnierza i zniszczonym sprzętem. Założmy, że Rosję zepchną zupełnie na wschód, że wezmą całą Ukrainę, naftę, Moskwę, czy Leningrad, ale nim się to stanie, opadną również i oni z sił, a wtedy uderzy potężnie na zachodzie Ameryka i Anglia. Nie wiem kiedy się to stanie, ale jeśli stanie się, to będzie to siła już straszliwa, miazdżąca.

Niektórzy przypuszczają więcej, mianowicie, gdy Niemcy Rosję zepchną na Wschód, pozostawią ją do wykończenia Japonii i dla zabezpieczenia swych tyłów część wojsk swoich, a sami ruszą na zachód i będą próbować inwazji wysp brytyjskich, czemu się nie będą sprzeciwiać Anglicy, jako że ich łatwiej będzie wydusić w kanale i ewentualne małe oddziały na wyspach, jeżeli się jakieś tu dostaną. Inwazja się nie udaje, a wtedy bezzwłocznie urządzają kontr-inwazję Anglicy i Amerykanie, którzy już w znacznej ilości są tutaj, no i my – Polacy na kontynent i jesteśmy w Polsce. Ale nim to nastąpi muszę zacząć jak najszybciej pracować, by zebrać trochę pieniędzy, kupić prezenty dla rodzin, ewentualnie zawieźć im trochę funtów. Zobaczymy, czy uda mi się to przeprowadzić. Dziś mamy sporo długów, do czego Jurek jest jedyny...

Poniedziałek, 17 sierpnia 1942

Dr Kaplan opowiadał nam ciekawą rzecz o ułanie polskim, zaklinał się, że mówi czystą prawdę na 100%. Rozmawiał wczoraj ze znajomym dyrektorem Banku Polskiego – Barańskim⁶⁵. Otóż, podobno nasz rząd odzyskał złoto polskie nie tracąc ani pół uncji. Nasze złoto siedzi na Martynice, ponieważ Francuzi nie chcieli go wydać. Rząd amerykański zarekwirował złoto francuskie, które znajdowało się w Ameryce i wypłacił nam wszystko co do centa. Obecnie w

⁶⁴ **Bitwa o Singapur** – bitwa stoczona między wojskami alianckimi a japońskimi w Singapurze podczas II wojny światowej. Singapur był główną bazą wojskową Wielkiej Brytanii w Azji Południowo-Wschodniej i nosił miano „Gibraltaru wschodu”. Bitwa o Singapur trwała od 8 do 15 lutego 1942 r. Bitwa zakończyła się upadkiem Singapuru i największą porażką militarną w historii Wielkiej Brytanii. Ok. 80.000 brytyjskich, indyjskich i australijskich żołnierzy zostało wziętych do niewoli razem z 50.000 innych żołnierzy alianckich pojmanych przez Japończyków podczas bitwy o Malaje. Brytyjski premier Winston Churchill nazwał sromotną klęskę Singapuru „najgorszą katastrofą” i „największą kapitulacją” w historii Wielkiej Brytanii. W ciągu zaledwie siedmiu dni, Singapur, „twierdza nie do zdobycia”, skapitulował.

⁶⁵ **Leon Barański** – (1895–1982) polski bankier, ceniony ekspert w dziedzinie bankowości. We wrześniu 1939 r. wraz z kierownictwem Banku, zasobem złota i rodziną, ewakuował się z Polski. Granicę polsko-rumuńską przekroczył 18 września razem z ostatnią czterotonową transzą złota. W listopadzie 1939 r., jako ostatni z naczelnych władz Banku, opuścił Bukareszt, udając się do Paryża.

Londynie urzęduje w jednym z banków angielskich nasz Bank Polski mając ręce pełne roboty, przeprowadza transakcje z bankami innych państw sojuszniczych papierami wartościowymi. Swego czasu wypuścił na rynek serię polskich znaczków pocztowych. Seria taka kosztowała 4/6 sh. Myśmy ją również kupili. Żałuję, że nie wzięło się więcej, bo dziś seria ta ma wartość już 24 sh. Bank Polski zarobił na tych znaczkach 100 tysięcy funtów. Czesi, którzy współpracują z naszym Bankiem starali się wypuścić serię znaczków czeskich, podobno rząd angielski się na to nie zgadza, bo nie posiadają marynarki swojej. Wobec czego sprytni Czesi mają wejść w kontakt z naszą marynarką. A ponieważ rzeczywiście spryt ich ogólnie znany jest, miejmy nadzieję, że zarobią jeszcze więcej. W każdym razie należy chwalić sobie, że Londyn pracuje i robi co może.

Czwartek, 8 października 1942

Blisko 10-a godzina wieczór. Siedzę sama w domu. Nie mogę powiedzieć, że samotność ta jest mi specjalnie przykrą. Czasami nawet konieczną, zwłaszcza w tak miłych warunkach: kominek, ogień olbrzymi w nim buzuje tak, że odsuwam nogi, bo piecze. Radio, muzyka śliczna z Frankfurtu (niestety, ale Niemcy na polu muzycznym biją Anglików). Czasami jak zacznie jakaś girl`ka jęczeć, to aż pięści człowiek bezsilnie ściska. „Słuchać hadko”, u nas to by się taką za drzwi wyrzuciło, widownia jajkami by obsypała, a tu taka brawo dostaje, aż huczy. Wracając do tematu muszę nadmienić, że od połowy września Jurka przenieśli na nowe miejsce postoju, tym razem do 1 dywizji gen. Maczka⁶⁶, obecnie jest w II korpusie zaopatrywania ośrodka zapasowego 1 dywizji. Dużo słów, ale mało treści. Stan w tym ośrodku – około 3 tys. ludzi, a powinno być dwa razy tyle. Urzęduje w Geoford Hause, 45 minut jazdy autobusem do Edynburga. Znowu mamy trouble z mieszkaniem. Dookoła maleńkie miejscowości z niewielką ilością domów, małżeństwu nie chcą wynająć. Stało na tym, że ja siedzę tu, a Jurek śpi w tym zamku, gdzie pracuje, w niezbyt miłych warunkach, bo ma kamienną posadzkę i obawiam się, żeby się nie nabawił znowu lumbago. Jeśli chodzi o mnie, to tak mi dobrze u tych Bauerów, że nie bardzo mi się chce ruszać.

⁶⁶ **1 Dywizja Pancerna** – jednostka pancerna Polskich Sił Zbrojnych w czasie II wojny światowej (1942–1947). Została sformowana na podstawie rozkazu Naczelnego Wodza, gen. broni Władysława Sikorskiego wydanego 25 lutego 1942 r., na bazie jednostek wydzielonych ze składu I Korpusu Polskiego w Wielkiej Brytanii. Dowodzona przez gen. Stanisława Maczka. W początkowym okresie jednostki dywizji uczestniczyły w osłanianiu około dwustukilometrowego odcinka wschodniego wybrzeża Szkocji przed ewentualnym desantem Wehrmachtu.

Tak szybko i niespodziewanie spadło na nas to przeniesienie. Wcale nie na rękę. Zawsze bliżej korpusu jest lepiej, tym bardziej, że nowy dowódca, gen. Boruta-Spiechowicz, spogląda na mnie z widoczną sympatią. Można powiedzieć, że mam szczęście do generałów. Szczęście do generałów, ale za to very bad luck jeśli chodzi o nasze milusińskie panie. Te, to mnie zgoła nienawidzą, nie raz czuję na sobie ich złośliwy wzrok, gdyby mogły to utopiłyby w łyżce zimnej wody. Już sama nie wiem co robić, bo podchodzę do nich jak najgrzeczniej, staram się być miłą, uprzejmą, ale nic nie pomaga. Szatany w ludzkim ciele, trochę młodsza i ładniejsza od nich i wystarcza, żeby ją nienawidzić. Wstrętne są. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że żałuję opuszczać Ośrodek Rodziny Wojskowej. Ale samego Falkirk⁶⁷, gospodarzy i sklepów to mi szkoda. W ubiegłym tygodniu przyjechał Jaś, był od wtorku do soboty, Jureczek przyjechał w czwartek. Byli Ciechańscy z wizytą, więc miałam dość busy tydzień.

Przedostatni weekend spędziłam w Kirkcaldy u Mniszków. Bardzo miłe mnie przyjęli, ja byłam tam od soboty do poniedziałku, a Jurek przyjechał na kilka godzin w niedzielę.

Środa, 11 listopada 1942, Fairbourne, near Barmouth-Wales⁶⁸,

Wczoraj wieczorem upłynęły dwa tygodnie jak opuściłam Falkirk (27 X) i przyjechałam na dłuższy pobyt do pp. Przechańskich, korzystając z ich miłego zaproszenia. Zadowoleni są bardzo, że wydostali się ze Szkocji, z kręgu intryg i plotek. On otrzymał przydział do 1-ej polskiej kompanii komandosów⁶⁹, jest zastępcą dowódcy. Po miesięcznej lekkiej zaprawie w Fairbourne, wyjechali dziś nasi komandosi, odprowadzeni przez miejscowy people i dwie Polki, do Szkocji na prawdziwe, wielkie ćwiczenia łącznie ze skakaniem z okrętów do wody. Dziękuję, zbyt wielka to byłaby przyjemność dla mnie, a więc lepiej z niej nie korzystać, a swemu Jurkowi nigdy bym nie pozwoliła przyjąć takiego przydziału. Na stare lata jakieś szalone skoki do wody, dobre to dla młokosów, ale nie dla starszych panów, jak mój słodki Jurek.

⁶⁷ **Falkirk** – miasto w środkowej Szkocji, ośrodek administracyjny hrabstwa o tej samej nazwie. Około 33 tys. mieszkańców, wraz z przyległymi miastami – 97 tys.

⁶⁸ **Fairbourne, Wales** – nadmorska wioska w Walii. Położona na południe od ujścia rzeki Mawddach w otoczeniu Parku Narodowego Snowdonia.

⁶⁹ **1 Samodzielna Kompania** – No. 6 Troop, złożony z Polaków brytyjski pododdział No. 10 Commando, istniejący od 10 października 1942 r. do 4 kwietnia 1944 r. – jednostka działająca na froncie włoskim podczas II wojny światowej.

Rozmawiałam na ten temat z kapitanem, odpowiedział mi, że wydaje mu się, że jest znacznie silniejszy i zdrowszy od Jurka. „A wie Pani dlaczego? Dlatego, że ja nigdy nie palem i nigdy nie byłem chory wenerycznie”. „Czy pan chce przez to powiedzieć, że mój mąż był kiedyś chory?” – zapytałam dość kpiąco. „Ależ nie, skąd, on pił dużo”. Pić pił, ale nie chorował, więc ta druga uwaga w stosunku do Jurka jest co najmniej nieodpowiednia.

Wracając do tematu, otóż wyjechałam z Edynburga o 9:20 odprowadzona przez męża. Podróż miałam przyjemną. W przedziale zebrali się międzynarodowe towarzystwo, wifę szkocka, cywil – Angielka, cywil – Polka, lotnik – Czech, lotnik – Anglik, oboje sierżanci. Wszyscy byli bardzo uprzejmi, powyciągali swoje zapasy, częstowali się nawzajem, musiałam się więc moimi wspaniałymi rzeczami rewanżować także. Najmilszy był tam jednak Czech. Opowiedział mi swoje przygody. Otóż, należał do grupy Czechów, która walczyła w Polsce przeciw Niemcom, był jakiś czas w Krakowie, a później na lotnisku w okolicy Kowla. Do Anglii przybył dość późno, bo rok temu z Rosji, gdzie długi czas siedział w jakimś obozie. Nie wyraża się zbyt miło o bolszewikach, lojalnie przyznaje, że oni, Czesi, byli karmieni bardzo źle, ale Polacy przebywający w sąsiednim obozie, znacznie gorzej. Szczęśliwy był, gdy opuszczał Rosję. Obecnie na Anglików pyskował jeszcze więcej niż my – Polacy. Anglik i Żyd to to samo, lub coś jeszcze gorszego. Doskonale ześmy się porozumiewali, ja mówiłam tylko po polsku, on po polsku i po czesku. Był bardzo uprzejmy i nadzwyczaj domyślny, przeciwnie do ociężałych Anglików, którzy nigdy się nie ruszą, by pomóc zdjąć lub położyć na półkę walizkę.

Podam kilka przykładów: zaczęłam doprowadzać do porządku mocno zniszczone przez robotę ręce. Wyciągnęłam pilnik, olejek, lakier – Czech przygląda się, szuka coś po kieszeniach i wyciąga nożyczki do wycinania skórek, dał mi je i nawet nie wiedział, że byłam mu za nie bardzo wdzięczna, bo od kilku tygodni palce moje nie widziały nożyczek. W torebce od kosmetyków wyleciał mi sznureczek, starałam się go wsadzić, ale nie miałam czym. Czech, niepytany i nieproszony, podaje mi agrafkę.

Środa, 3 lutego 1943

Od 7 grudnia mieszkamy w „Herlanes Hause” niedaleko Edynburga, 10 minut drogi od Gosford Hause, gdzie pracuje Jurek. Od samego początku w tym mieszkaniu nie możemy się ze sobą pogodzić, jakieś licho siedzi, które co rusz to

szczyje jedno na drugie. Obecnie od dwóch dni atmosfera jest przygniatająca po prostu. Tym razem poszło o pieniądze. W tym miesiącu mieli wypłacać 3 £ zaległego dodatku na żony. Nim go wypłacono (dowiedziałam się o nim nie od męża, a od pani Sołtyskiej, z którą mieszkam) prosiłam Jurka, by potraktował to jak rzecz, która w ogóle nie miała miejsca i dał mi te 3 £ poza 15 £, które normalnie daje mi na życie. Nigdy nie mam jakiegoś zbędnego grosza przy duszy, ucieszyły mnie te niezapowiedziane 3 £, bo po prostu luty jest miesiącem urodzin i imienin Jurka, chciałam mu coś kupić. Przychodzi pierwszy, mąż wyciąga wspianiałomyślnie 10 £ i daje mi je na cały miesiąc na utrzymanie domu, ubranie, życie, itd. Na moje pytanie, gdzie dodatek, stwierdza, że go wziął, ale długi musi spłacać.

Częste u nas są klótnie i nieporozumienia na tle pieniędzy, najprawdopodobniej, że ich nigdy nie ma. Odkąd tu siedzimy na tych wyspach sugeruję Jurkowi, jak dobrze by było, gdybym dostała posadę, tak jak dziesiątki innych, za 30 £. W przeciagu krótkiego czasu odłożylibyśmy ładną sumkę, a poza tym spłacało by się długi. Jurek nie chce słuchać z bardzo wielu powodów: 1. ze względu na zdrowie 2. że mogą Londyn bombardować (mnie to osobiście nie przeraża) 3. że nie chce się ze mną rozstawać, ale najistotniejsza jest przyczyna czwarta, z której się zdradza w chwilach nieporozumień, mianowicie, że ja zarabiając sporą sumę, chce się uniezależnić.

Nie znosi samej myśli o tym, żeby żona jego zarabiała, a jednocześnie każdego miesiąca daje mi mniej, każe mi się rozliczać, ograniczać i tak już mocno ograniczone wydatki, bo nie wystarcza, trzeba spłacać długi, do których robienia jest jedyny. Co miesiąc, choćby 1 funta, ale pożyczyć musi. Zresztą od 2-ch lat słyszę, że robi to dla mnie, przez mnie, na mnie, itd. Dług rośnie duży, a później w jednym miesiącu spłaca 10-11 £, znowu kładzie nas to na obie łopatki, bo za resztę gaży, przy obecnej wyższe cen, jest się obecnie trudno utrzymać. Jestem niemalże przekonana, że przed pierwszym znowu pożyczę.

Sytuacja wydaje się być poważna, ja czuję się zwitkiem nerwów, jestem rozżalona, zrezygnowana, chwilami chciałabym to wszystko rzucić, iść gdzie oczy poniosą, odetchnąć bez tej licznej kontroli i uwag nad moją rozrzutnością rzekomą itd., przestać myśleć i kombinować co zrobić, co kupić jutro, by wystarczyło do 1-go. Z drugiej strony włosy dębem stają mi, jak pomyślę co będę gdzieś robić sama, w pięknych czterech ścianach pokoju gdzie wracałoby się z

biura, jakby mi straszliwie było, brak jego ramion, jego pocałunków, jakbym nie miała się do kogo przytulić.

Wtorek, 23 lutego 1943

Czuję się źle, nerwowo. Mam wrażenie, że bezpośrednią przyczyną jest niedosypianie. Tęsknię ogromnie za moimi, za Helą, tak bym się chciała do nich przytulić. Czy w ogóle się kiedykolwiek przytulę, kogo zastanę przy życiu? W kabale wychodzi mi śmierć jakiejś starszej pani lub pana. Mam najgorsze przecucia – jeśli chodzi o matkę, sny złe mnie męczą, śp. wujek Wilkoszewski śni mi się często. Przedwczoraj śniło mi się, że mnie całował. Te sny, te przecucia i przejścia sprawiają, że rzeczywiście czuję się dziś niezbyt szczęśliwą.

Gdy stanęłam na nogi po ciężkiej operacji usunięcia woreczka żółciowego pełnego kamieni z żalem pożegnaliśmy Szkocję przenosząc się do Londynu. Powrót do Londynu to powrót do piekła wojny, a zatem conocny ciężki nalot niemieckich bombowców. To było straszne, nie wytrzymałam nerwowo w domu, wolałam być na zewnątrz. W kompletnym blackoucie mogłam widzieć sylwetki bombowców, niestety lokalna służba obywatelska nakazywała wrócić do domu. Inna możliwość przespania nocy to w Underground. Tysiące ludzi korzystało z tej możliwości. Imponowała organizacja, każdy miał jakieś zadanie. Zasada: życie musi płynąć normalnie, nalot się kończył, dancingi zaczynały, humor ludzi nie opuszczał, jutro mogę umrzeć, dzisiaj chcę żyć pełnią życia. Pamiętam jeden kawał: „Rozwalony dom, wewnątrz widoczne, starszy pan stoi w toalecie i zaśmiewa się. Co Pana tak ubawiło? Popatrzcie jaki jestem silny, pociągnąłem za sznurek i cały dom się rozleciał.” Lotnictwo angielskie i sprzymierzeńców dokonywało cudów w obronie Londynu i z czasem tych nalotów było mniej, zastąpiono ciężkie bombardowania inną bronią.

Któregoś pięknego dnia byłam w ogrodzie, mieszkaliśmy na peryferiach Londynu, słysząc dość głośny, jakby uszkodzony nadlatujący samotny samolot. Alarmu nie było, zatem uszkodzona maszyna powraca do bazy. Patrząc, samolot zawisa w powietrzu, po kilku sekundach prostopadle pada na ziemię kilka ulic dalej, huk rozwalających się budynków, widać dymy, nadjeżdżają straże pożarne, ludzie biegną ratować. Byłam świadkiem pierwszej bomby V1 – bomby bez pilota, która spadła na Londyn! V1 a potem V2 zaczęły w coraz większej ilości spadać na Londyn o różnych porach dnia i nocy, obrona przeciwlotnicza nie była w stanie ich zatrzymać. Z czasem na drodze ich lotu ulokowano balony i połączono je siatkami, trudno mi powiedzieć, czy te dość prymitywne bariery pomogły przerwać lot zabójczych bomb. V1 i V2

spowodowały, że do końca wojny spałam pod dużym fortepianem, ale nerwowo wytrzymywałam je lepiej, niż ciężkie bombardowanie.

W tym bardzo nękanym Londynie Jurek otrzymał funkcję w Sztabie a ja znalazłam pracę w 4-osobowym (ze mną) Ministerstwie Rolnictwa. Fachowcem był inż. Radwan, który wraz z sędzią Załęskim i adwokatem Kanarkiem pracowali nad nową Reformą Rolną dla Polski. Dotyczyła sposobu parcelacji i dopuszczalnego maximum posiadania ziemi. Wówczas wszyscy wierzyli, że wrócimy do kraju! Po jakimś roku pracy panowie doszli do wniosku, że ja się tu marnuję, że powinnam zdobyć jakiś zawód, a że właśnie w Liverpool otworzono Polską Szkołę Architektury⁷⁰, wspólnie z Jurkiem zmusili mnie do zgłoszenia się: zrobiłam to i w 1944 r. rozpoczęłam studia. Panom tym byłam i jestem za to wdzięczna. (Inż. Radwan powrócił do kraju, sędzia Załęski zmarł w Londynie). W roku 1949 otrzymałam dyplom ukończenia szkoły w Londynie. Z czasem władze angielskie w porozumieniu z Rządem Polskim na Obczyźnie zorganizowały w Londynie Polish University College z całym szeregiem różnych specjalności i departamentów. Dołączyła Polska Szkoła Architektury z Liverpoolu.

Moja praca dyplomowa była projektem urbanistycznym, projekt na miasto-ogród zaaprobowana. Wkrótce potem pracowałam w dziale urbanistycznym w Welwyn Garden City. Ja pracowałam, Jurek otrzymał odprawę przy likwidacji wojska polskiego – kupiliśmy trzypiętrową kamienicę w Londynie na Cader Road 7, zamieszkaliśmy na parterze z dojściem do ogrodu. Kupiliśmy ją od staruszków bezdzietnych z częściowym wyposażeniem wnętrza. Trochę mebli – antyków, trochę sreber i porcelany. Dwa górne piętra wynajmowaliśmy, z czasem, po ostatecznej likwidacji wojska polskiego, zamieszkał tu i Janek. Mieszkało nam się dobrze w powojennym Londynie, przyjaciele Anglicy i Polacy, koledzy i koleżanki z uniwersytetu, koledzy Jurka i Janka i Oleczka. O przyjaźni dla angielskich Bobbie 's (policji) pisałam. Zastanawiałam się natomiast nad tym, dlaczego obcy bez powodu i jakiegoś logicznego uzasadnienia bardzo nas kochają albo bardzo nienawidzą? Jako przykład w okolicy Liverpoolu mieli piękny dom z parkiem pp. Green, on wyższy wojskowy na emeryturze, ona uroczą starszą pani Phyllis Green, która zakochała się w Polakach a zwłaszcza czułą opieką otaczała niższe roczniki Polskiej Szkoły Architektury, zapraszała na lunche, pikniki, nawet na słynne wyścigi konne z przeszkodami pod Liverpoolem. Przyjaźń ta trwała ta trwała nie tylko po przeniesieniu szkoły do Londynu, ale nawet po wyjeździe wielu studentów do Ameryki,

⁷⁰ **Polska Szkoła Architektury** – utworzona dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej z 30 września 1942 r. w oparciu o umowę z 29 września 1942 r. pomiędzy Rządem Polskim a Uniwersytetem w Liverpoolu. Celem powołania szkoły było stworzenie kadr dla przyszłej odbudowy Polski oraz umożliwienie polskim emigrantom zdobycia wyższego wykształcenia i zawodu.

Kanady, czy Australii, aż do śmierci naszej dobrodziejki Phyllis Green! Nie rozumiałam dlaczego nas nienawidzono, zwłaszcza że londyńczycy wiedzieli o fantastycznej obronie Londynu przez polskich lotników, o walkach polskiej armii w Europie, że wspólnie z Anglikami oddawali życie „za naszą i waszą wolność”. Dlaczego na płotach w Londynie musiałam czytać „POLES GO HOME”? A może robili to tylko Anglicy, którym Polacy uwodzili żony? Musiał być ku temu jakiś ważki powód. Ciężko zostaliśmy dotknięci, że zostaliśmy pominięci przez „Paradę Zwycięstwa”!

W prasie polskiej w Londynie podano do wiadomości, że Kongres USA opublikował ustawę, na mocy której Ameryka przyjmie 100 czy 150 tysięcy żołnierzy polskich. Zrobiono to dla odciążenia Anglii, która po zakończeniu działań wojennych musiała znaleźć zajęcie dla własnych ludzi, powracających masowo z pól bitew w różnych częściach świata. Któregoś popołudnia razem z Jankiem przechodziliśmy obok Ambasady Amerykańskiej w Londynie. Zatrzymaliśmy się, aby przeczytać na tablicy jakieś ogłoszenie. Nagle przyszło mi do głowy (a może Jankowi?) „wejdźmy do środka, zapytajmy co z tą Ameryką?”. Okazało się, że były to ostatnie dni na zgłoszenie się. Pozostawiliśmy nazwiska i adresy, szczegółowe formuły do wypełnienia przysła. W dobrych humorach, jak to bywa po zrobieniu dobrego żartu, wróciliśmy do domu. W tydzień później, gdy prawie o tym zapomnieliśmy, przychodzą olbrzymie koperty z Ambasady USA, olbrzymia ilość papierów do wypełnienia z jeszcze większą ilością pytań do odpowiedzi. Jurek się spojrzał na nas jak na wariatów. Ja wychodziłam z założenia, że nikt nas do wyjazdu nie zmusi, że jest to tylko próba, że Ameryka będzie przeprowadzać selekcję i wybierać według ich „widzi mi się”, a jeśli nas zaklasyfikuje, to będziemy mieli satysfakcję i dopiero wtedy będziemy się zastanawiać co z tym fantem zrobić. To Jurkowi trafiło do przekonania, usiadł i zaczął wypełniać. Dom wariatów nastąpił, gdy prędzej niż żeśmy przewidywali, Ambasada nas zawiadomiła, że jesteśmy na liście do wyjazdu. Jechać, czy nie jechać? Anglicy nas nie chcą, ani Jurek ani Janek pracy znaleźć nie mogą, tak jak i reszta tysięcy wojskowych, generałowie czyszczą srebra w luksusowych hotelach, na co ani jeden ani drugi nie miał ochoty, ja bez przerwy przeziębiona w angielskim klimacie. JEDZIEMY!

Łatwo jest powiedzieć „Jedziemy”, ale nim pojedziemy trzeba sprzedać dom, zdecydować co zabrać ze sobą, co zrobić z tym, co pozostawiamy. Przygotować paszporty, wypełnić mnóstwo papierów postarać się o affidavit, etc. Te ostatnie to oświadczenie osoby w USA, że przybysza bierze pod opiekę i za niego odpowiada po wylądowaniu w Ameryce. Zobowiązania te zaczęły masowo napływać od Polonii w Ameryce na adresy polskich gazet oraz do polskich stowarzyszeń i klubów, m. in. do Stowarzyszenia Polskich Inżynierów i Architektów, którego byłam członkiem. Gdy zgłosiłam się tam o affidavit kolega architekt

zapytał, gdzie chciałabym wylądować? „Czym Pan dysponuje?” Nowy Jork, Chicago, Detroit, Waszyngton, Los Angeles, etc. Gdzie leży Los Angeles? Na dzikim Zachodzie, targ w targ, stanęło na tym mieście, bo było na drugim końcu Stanów, a skoro król angielski pokrywa koszty podróży, to jedźmy tak daleko, jak się da! Nie będzie nam się podobać, to spróbujemy inne miasta. Jak mogło się nie podobać?

Po 12-u latach rozstaliśmy się z Anglią i Szkocją, piękna, zielona wyspa, żeby nie te mgły, ten londyński smog, te deszcze i zimno. Kilka pożegnalnych przyjęć, przyjaciele rozebrali to, czego nie zabieraliśmy ze sobą, ostatnie zakupy: piękne, szkockie koce (w gorącej Kalifornii nieużywane, zjadły je mole), no i wreszcie w dniu 7 stycznia 1952 r. znaleźliśmy się w Southampton na Queen Mary odprowadzeni przez grono przyjaciół. Styczeń to nie jest najlepszy miesiąc na podróże oceaniczne. Stabilizatory na Queen Mary dość słabe, ocean wzburzony, chorowałam przez pięć dni, Jurek też, Janek zdawał nam raporty jakim wspaniałym jedzeniem się napełniał na prawie pustej sali jadalnej. Jakoś dopłynęliśmy do Nowego Jorku, sylwetka Manhattanu na tle kolumny Wolności, wspaniały widok, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wyzdrowieliśmy, pełni nadziei i energii stanęliśmy na ziemi Waszyngtona! Zasadnicza zmiana w naszym życiu, pytanie: czy na złe, czy na dobre?

Kilka dni pobytu w Nowym Jorku, aby poznać choć trochę miasto. Najwięcej czasu spędzałam przed okiennymi wystawami, nie były to sukienki, ani biżuteria, były to wystawy „Delicatessen Shops” z wędlinami na wystawach. Od tylu lat do dnia wyjazdu, w Anglii byliśmy zdani na kupony żywnościowe, a tu nagle te szynki, kielbasy, balerony! Przejazd przez Amerykę od Atlantyku do Pacyfiku też był ciekawy, zdumiona byłam patrząc z okien wagonu na te rozległe tereny: lasy, wzgórze, łąki i rzeki – bez ludzi. Od czasu do czasu jakaś stacja kolejowa, jakieś miasteczko, trochę folkloru, np. Indianie na stacji Albuquerque – autentyczni, sprzedający swoje artystyczne wyroby. Pierwsza przerwa w podróży miała miejsce w Chicago, odwiedziliśmy przyjaciół, którzy przybyli tam rok wcześniej. No i wreszcie, po kilku dniach podróżowania wygodnym pociągiem, dojechaliśmy do Kalifornii.

Głównie po słońcu i drzewach palmowych zorientowaliśmy się, że jesteśmy u kresu naszej podróży. Istotnie, wkrótce wylądowaliśmy na Union Station, 100% upału, ja w futrze, panowie w ciepłych jesionkach, z morzem ludzi wypływamy na powierzchnię wprost na tablicę z dużym napisem „GÓRSCY”, trzyma ją dr Tadeusz Mrozowski, wspaniały Polak i działacz polonijny; to on sam wyprosił około 100 affidavit `s dla żołnierzy w Anglii i Europie, którzy chcieli znaleźć się w Ameryce. Dzięki jego działalności czekało na nas wynajęte mieszkanie, to on zorganizował pierwszą w Los Angeles kolację w gościnnym polskim domu Niny i Zbyszka Wilczyńskich: wspaniała jajecznicą!

Jesteśmy w Ameryce, gdzie nic nie ma za nic, a zatem w kilka dni później byliśmy już członkami „Samopomocy”⁷¹, a wkrótce potem Jurek był już częścią władz „Samopomocy”. Zaczęliśmy od szukania pracy. Cała trójka była przekonana, że ja będę pierwsza, która pracę znajdzie: dobra znajomość języka angielskiego, dyplom inżyniera architekta, praktyka w Anglii. Jakże się wszyscy myliliśmy. Każdy mój telefon w poszukiwaniu pracy kończył się krótko: „we do not take women”. Trudno nam było uwierzyć, że dla progresywnej Ameryki kobieta może być tylko maszynistką, pielęgniarką, sprzedawczynią. W efekcie mój Jurek, 100-u procentowy żołnierz, bez doświadczenia jako cywil, pierwszy znalazł pracę. Pomógł mu w tym Tadeusz Mrozowski, który przy okazji powiedział nam, że początki dla mężczyzn wcale tu kiedyś nie były łatwiejsze, on sam rozwoził nieboszczyków dla Zakładów Pogrzebowych, a architekt Jerzy Szeptycki mył naczynia w restauracji. Jurek rozpoczął pracę w Broadway Department Stores w dziale pakowania paczek. Życzliwi koledzy Amerykanie nalegali by zmienił imię i nazwisko. Jerzy na George, mieli problem z nazwiskiem, jak przetłumaczyć Górski na angielski? Zasugerowałam: Mountbatten! Oczywiście, Jurek ani imienia ani nazwiska nie zmienił a przełożeni dość szybko przenieśli go do administracji, z czasem z funkcją Buyer`a Departamentu. W Broadway`u przepracował 25 lat do emerytury i zawsze był Mr. Górski. Do końca mieliśmy miłe, towarzyskie stosunki z jego przełożonymi. Janek pracę zaczął w May Co. Department Store, następnie pracował jako agent realnościowy, tu też nie czuł się szczęśliwy, w końcu po ukończeniu kursu otrzymał pozycję we władzach miasta Los Angeles, praca państwowa, nieźle płatna, opieka lekarska, pozostał na niej do emerytury. Ja również wywalczyłam sobie pracę – logiką! Zaproszono mnie na tzw. „interview”. Padło oczywiście pytanie o lokalne doświadczenie. Odpowiedziałam, że go nie mam i mieć nie będę dotąd, dopóki nie otrzymam propozycji pracy od jakiejś lokalnej firmy. Przyjęto mnie i już bez przeszkód przepracowałam w swoim zawodzie następne 20 lat.

Z dotychczasowego pomieszczenia przeprowadziliśmy się do dość dużego domu na 9`Beacon Ave w oczekiwaniu na meble płynące z Londynu. Gdy byliśmy urządzeni i aby zmniejszyć opłaty za dom wynajmowaliśmy dwa pokoje z łazienką. Byliśmy w lepszej sytuacji niż cały szereg nowoprzybyłych, bo w Anglii sprzedaliśmy dom, a zatem nie zaczynaliśmy od zera. Tym niemniej zaczynaliśmy skromnie. Pierwsze auto to Chevrolet z 1939 r. kupiony za 90 dolarów. Wyekwipowanie kuchni: lodówka i piec po 25\$, zakupione na licytacji. Mieliśmy również Anioła Stróża w osobie Lorenz Latta, który nas uczył co robić, jak się zachowywać, a

⁷¹ **Samopomoc** – Stowarzyszenie Nowej Emigracji, organizacja polonijna w Południowej Kalifornii. W 1955 r. Hanka Górka jako pierwsza kobieta została Prezesem, a jeszcze później Honorowym Prezesem tej organizacji.

zatem otworzyć konta bankowe, wyrobić karty i płacić kartami, nie kupować niczego za gotówkę, bo gdy będziemy kupować dom musimy wykazać się gwarancjami, że w terminie długi spłacamy. Dzięki niemu dwa lata później kupiliśmy nasz pierwszy w Ameryce dom 1479 Westerly Terrace w Silver Lake na dwóch poziomach. Na poziomie niższym, ogrodowym mieszkał Janek, początkowo sam, potem z dr Łuczakiem, który doszlusował do nas z Anglii. Niestety Olek bawił za długo w Nowym Yorku w okresie upałów: 100% upałów i 100% wilgotności, prawie natychmiast po wylądowaniu w LA miał szok – uderzenie krwi do mózgu w połączeniu z paraliżem. Jako lekarza leczyli go lokalni polscy lekarze nie pobierając pieniędzy, amerykańscy zachowywali się podobnie. Gdy stan Jego się poprawił, gdy stanął na nogi zrobiliśmy naradę rodzinną: zatelefonowaliśmy do Moniki, zakochanej w Oleczku Angielki. Stało na tym, że przyleci do Nowego Yorku, gdy znajdzie mieszkanie i pracę, my dostarczymy Olka. Tak się też stało. Natychmiast się pobrali. Monika pracowała i nieźle zarabiała w United Nation, Olek wyzdrowiał na tyle, że pracował w szpitalu Bellview w Nowym Yorku. A my w międzyczasie w 1957 r. kupiliśmy większy dom w ładnej dzielnicy LA, mieszkaliśmy w nim do roku 1975-go, adres: 364 Orange Drive.

Tu muszę zrobić odskok. W roku 1965 po raz pierwszy po wojnie razem z Jurkiem wybraliśmy się na krótki, trzytygodniowy urlop do kraju. Ja postanowiłam połączyć piękne z pożytecznym i nakręcić film w Pałacu w Nieborowie. W Ameryce od czasu do czasu oglądaliśmy filmy o Polsce produkcji ówczesnych komunistów pokazujących polską wieś z najbardziej prymitywnej strony, a więc chłopą przy pługu i kobiety z sierpem w ręku. Jako architekt uzyskałam zgodę Ministerstwa Kultury i Sztuki i nawet pomoc w postaci fachowego filmowca. Po drodze w Stuttgarcie w fabryce odebraliśmy zamówionego Mercedesa, załadowaliśmy do niego nasze bagaże i aparaty fotograficzne i poprzez Salzburg, Wiedeń Wrocław do Polski. W Wiedniu zaproponowano nam najkrótszą drogę przez Czechy do przejścia granicznego w Kudowa Zdrój. Uprzedzono również, że nasz Mercedes będzie w niebezpieczeństwie, bo Czesi i Polacy nienawidzą Niemców. Oblepiliśmy auto nalepkami USA, a droga okazała się najdłuższą i pełną niespodzianek. Zatrzymaliśmy się na lunch, Jurek wyciągnął dolary do płacenia, właściciel nie przyjął, zachował się bardzo nerwowo (podobno za to szło się do więzienia). W końcowym efekcie podszedł uprzejmy Czech, zapłacił i odmówił przyjęcia papierosów czy alkoholu. Na granicę przybyliśmy kilka minut przed 2-gą w nocy i usłyszałam „dobry wieczór, właśnie miałem zamknąć granicę”. A gdzie jest Straż Czeska? „To ja jestem, my tu urzędujemy razem” i rzeczywiście straż była w tym samym budynku. Jurek od opuszczenia kraju w 1939 r. po raz pierwszy był w kraju, gotów był rzucić się strażnikom polskim na szyję, ale zamiast tego wyciągnął butlę koniaku. Ja prowadząc auto cały dzień

słaniałam się na nogach i załatwiałam telefonicznie nocleg. Następny nocleg był we Wrocławiu. Siedzimy przy śniadaniu, głodni i szczęśliwi, przynoszą kawę, prosimy o mleko. „Mleka nie ma”. Czerwona płachta na byka dla mojego Jureczka. Jak to nie ma mleka w rolniczej Polsce? Oparło się o kierownika, mleko się znalazło, Jurek zaczął buntować ludzi przy sąsiednich stolikach. „Panowie, dlaczego to tolerujecie?!”. Ja wyszłam, żeby ktoś był na wolności! Kierując się do auta na strzeżonym parkingu widzę spod auta wychodzące nogi! Chryste, odkręcają coś!! Podchodzę do auta i przemawiam do tych nóg. „Przepraszam Pana, ale co Pan robi pod moim autem?” Nogi zaczynają się na plecach wysuwać, mężczyzna z czerwoną twarzą tłumaczy, że w kraju mercedesów nie ma, że chciał obejrzeć podwozie. Proszę niech Pan ogląda, tylko proszę nie wykręcać śrubek, bo ja nie znam się na mechanice. Nie skorzystał. Wreszcie zajechaliśmy do Nieborowa. Otwieram bagażnik, nie mogę, próbuje Jurek, filmowiec, dyrektor Muzeum Pałacowego – mowy nie ma. Jedziemy do Łowicza na ul. Zduńską gdzie mieszkał zawodowy „kasiarz”. Nie otworzył. Wróciliśmy z muzeum do Warszawy. Z roli filmowca nic nie wyszło. Zamek w aucie był złamany przez złodziei, którzy w nocy usiłowali się dostać do auta. Auto otworzył i zreperował mechanik Cyrankiewicza – on miał Mercedesa. Z mercedesem mieliśmy inną przygodę. Adres mechanika, specja od mercedesów otrzymaliśmy w Stuttgarcie z przykazaniem zrobienia pierwszego przeglądu. Wykonał go ten sam mechanik Cyrankiewicza. Wyruszyliśmy w pierwszą podróż do Gdyni odwiedzić i poznać rodzinę mojego przyrodniego brata Pawła Wilkoszewskiego. Cud, że dojechaliśmy tam szczęśliwie. Po tym przeglądzie w Warszawie auto zgrzytało, a zwłaszcza przy skrętach robiło hałas jakby się miało rozpaść. Po wylądowaniu w Gdyni narada z Pawłem. Co robić? Do mechanika! Wytłumaczyłam, że po drodze auto oglądało kilku i pojęcia nie mieli. – Ale ten, to stary mój przyjaciel, z biznesu się wycofał i jeśli nie on, to nikt nie pomoże. Stary mechanik obejrzał, znalazł miejsce suche jak pieprz, posmarował językiem, nalał trochę oliwy, auto ruszyło bez zgrzytu, auto uratował. Przyczyną była automatyczna zmiana biegów, z którą dotychczas nie miał do czynienia mechanik Cyrankiewicza.

Nasz pobyt w kraju kończył się, auto nadaliśmy na statek w Bremen. W Niemczech Zachodnich dwie noce nocowaliśmy w hotelu. Gości na lekarstwo, Amerykanie, nowy mercedes, to tylko my. Usługę mieliśmy super, kilku wytwornych kelnerów, kryształ i ciężkie srebro na stole, myślałam, że Jurek dostanie ataku serca, a już jest po jednym. Haniuś, czy to co widzę to jest realne, czy tak wygląda zwyciężony, pobity kraj? Wracamy z kraju „zwycięzców”, z Polski, w której w restauracjach podawano nam blaszane widelce i noże na poplamionych serwetach, gdzie my jesteście!? Ano komunistyczny rząd Polski odrzucił Plan Marshalla zaproponowany Europie, aby ta stanęła szybciej na nogi po 2-giej Wojnie Światowej.

Rosja zabroniła Polsce go przyjąć, a Niemcy zwyciężone i Francja i inne kraje go przyjęły. Rok był 1965. Ciężkie lata Polskę czekały. Z pod niemieckiej okupacji pod rosyjską!!

W sumie w Los Angeles mieszkaliśmy 23 lata. Następne dwa i pół roku to pobyt naukowy w Polsce. Po powrocie przenieśliśmy się do Orange County. Obecnie, gdy zaczęłam pisać te wspomnienia, mamy rok 2004, a zatem upływa 28 lat. W Anglii mieszkaliśmy ponad 10 lat. W sumie jestem 65 lat poza krajem. Pobyt w Anglii pobeżnie opisałam. Co się działo poprzez 23 lata w Los Angeles, 2 i pół roku w Polsce i 28 lat w Orange County – opowiem!

Los Angeles 1952 jakże inne od dzisiejszego i to pod każdym względem: piękniejsze, czystsze, bezpieczniejsze, mniejsze, otoczone pomarańczowymi sadami i pachnące kwieciami drzew pomarańczowych. Dzięki Tadeuszowi Mrozowskiemu szybko poznaliśmy przedstawicieli tej najstarszej emigracji, tej co przyjechała tu „za chlebem” na początku wieku 20-go, ludzie, których cenię najbardziej. Nie była to wielka grupa, ale ile już osiągnieć. Mały, skromny, polski kościółek – kaplica, dwa polskie domy: przy ul. Crenshaw i drugi przy zbiegu ulic 8-ej i Alvarado, zapoczątkowali szkółkę polską i bibliotekę.

W krótki czas po naszym tu przybyciu, któregoś niedzielnego popołudnia zatrzymało się auto przed naszym nowo wynajętym domem na Beacon. Patrzymy z Jurkiem przez okno, pytam, czy on kogoś oczekuje? Pewnie omyłka, ale z auta wysiada starsza matrona z córką i dwoma dorosłymi synami. Dzwonek, otwieramy: Czy tu mieszkają Państwo Górscy? Ja jestem pani Kozik, to jest moja córka Felicia i synowie Fabian i Chester. Dostaliśmy list od naszego kuzyna w Londynie z waszym adresem i przyjechaliśmy was powitać na ziemi Waszyngtona. Rzeczywiście w Londynie mieliśmy przyjaciół, arch. Kozik, również Fabian z dwoma synami. Jestem chrzestną matką młodszego Piotra. Co nas ujęło w tej rodzinie to to, że reprezentowali tę najstarszą emigrację a wszyscy mówili zrozumiałą polszczyzną. „Jak Pani to zrobiła?” „Prosto, dzieci miały przykazane: tak długo jak jesteście w szkole lub bawicie się z dziećmi na zewnątrz, mówicie po angielsku, z momentem, gdy przekraczacie próg naszego domu, mówicie po polsku”. Byli naszymi przyjaciółmi przez długie lata. Jurek i Janek dostawali po pętku polskiej kiełbasy na Wielkanoc domowego wyrobu. Dzisiaj żyje tylko Chester, zaawansowany wiekiem.

Wracając do Starej Emigracji pracującej w różnych organizacjach, a było ich bez liku z Polskim Kongresem na czele. Wówczas była to potężna organizacja na Arizonę, Kalifornię Południową i Północną. Dzisiaj jej zasięg obejmuje Kalifornię południową tylko. Wszyscy nowo przybyli byli członkami Kongresu. Starszyzna narzekała, że są starzy, że potrzebują naszej pomocy. W praktyce wyglądało to nieco inaczej. Pamiętam, że przed jednym ze Zjazdów Kongresu wysunęliśmy kandydaturę Jurka Szeptyckiego – architekta – na stanowisko Prezesa.

Gdy się stara emigracja o tym dowiedziała, ostro się zmobilizowała i ich kandydat łatwo przeszedł. Ta szlachetna konkurencja była nawet zabawna. Były od czasu do czasu między nami nieporozumienia, na ogół współpracę oceniam pozytywnie! Często starszyzna zbierała się w naszym domu, cenili sobie opinię i dobre rady Jurka. Mieli swoje kluby: Klub Uniwersytecki i Klub Profesjonalistów. Bale jakie organizowali były na najwyższym poziomie, nie na Sali parafialnej, a w Hotelu Ambassador na Wilshire Blvd, wówczas był to jeden z luksusowych hoteli w Los Angeles. Panie w pięknych toaletach, panowie w smokingach. Władzio Liberace⁷² z filmowcami miał swój stół, przy nim królowała jego Mama, a brat George partycypował ze swoją orkiestrą. A skoro mówię o tych dzielnych ludziach muszę podkreślić, że choć wielu nie umiało pisać lub czytać, ale nie przeszkadzało im to pobudować w Ameryce tysiące szkół, Domów Polskich, pięknych kościołów, bibliotek i nawet The Central Archives of Polonia w Orchard Lake w Michigan. Tam właśnie wysłałam 10 pudeł materiałów ilustrujących ciężką pracę społeczną Polonii w Południowej Kalifornii: listy, publikacje, ilustracje, tu wydawane gazety i miesięczniki przez ludzi, którzy zeszli z tego świata i nikt o nich nic nie wie, a ja złożyłam to wszystko tam, w odległym Michigan jako dowód, że polskie Los Angeles nie zaczęło się od Solidarności!

Ale aby zakończyć temat o tej najstarszej emigracji dodajmy, że gdy przybyliśmy do Stanów w 1952 r. Polonia miała kilku senatorów i kilkunastu kongresmenów, dzisiaj możemy się pochwalić jedną kongresmenką, tylko dlatego, że długo żyje. Dzisiaj nikt się tu z nami nie liczy, stworzyliśmy zgoła upiorną sytuację, Polonia jest w 80% demokratyczna, a zatem na zdrowy rozum: prezydent demokrata nie musi przekupywać Polonii i obiecywać stanowiska, bo i tak Polonia w 80% będzie na niego głosować; tym bardziej prezydent republikański wie, że głosów Polaków nie otrzyma, a zatem nie musi złotych gór im obiecywać i w ten oto sposób wyzbyliśmy się ludzi i w Kongresie i w Senacie.

Niedawno wybieraliśmy prezydenta (2004), Polacy oszaleli z powodu wiz, no bo walczyliśmy i pomagamy w Iraku, to powinny wizy do USA być zniesione. Zabiegali o to: prezydent Kwaśniewski, premier Belka i Wałęsa, oglądaliśmy to na telewizji amerykańskiej. Prezydent Bush tłumaczył się, że o tym decyduje Senat, a nie on. Nie ważne, to jego wina! A ja niemądra myślałam, że Polsce będzie więcej zależało na biznesowych kontraktach, na dostawach materiałów budowlanych, na zaangażowaniu Polaków przy budowie dróg i mostów

⁷² **Liberace, właśc. Władziu Valentino Liberace** – (1919-1987) amerykański artysta estradowy pochodzenia polsko-włoskiego. Znany przede wszystkim z ekstrawaganckich kostiumów, biżuterii oraz wystawnej oprawy swych występów, podczas których na fortepianie zawsze stawiał świecznik, na scenę często wjeżdżał luksusowym samochodem. W 2013 r. do kin wszedł dramat biograficzny pt. „Wielki Liberace” na podstawie książki Scotta Thorsona.

w zniszczonym wojną Iraku, i że na tym powinna być energia Polaków skoncentrowana! Poczułam się dzisiaj nieco lepiej, gdy w telewizji usłyszałam, że senator z Virginii, demokrata, zgłosił stanowczy protest przeciwko zniesieniu wiz dla Polaków. A kto o te wizy wolne od opłat dla Polaków zabiegał? – Senator z Pensylwanii – Republikanin! Wątpię jednak, aby ten przypadek zmienił dysproporcję głosów polonijnych na rzecz republikanów, słowo demokracja ma jakiś magiczny wydzźwięk dla Polonii. Tymczasem ja w Kalifornii muszę czekać 8 tygodni na dachówkę ceramiczną. Dlaczego? Bo materiały budowlane są transportowane z Kalifornii do Iraku. Z Polski byłoby bliżej, ale o to Polacy nie zabiegają!

Odbiegłam nieco od tematu. Wspomniałam, że prawie natychmiast po naszym przybyciu do Los Angeles wprzęgnięto nas do pracy społecznej w „Samopomocy”. Założycielami m. in. byli Sylwin Strakacz⁷³, wieloletni sekretarz Ignacego Paderewskiego, dr Tadeusz Mrozowski, architekt Jerzy Szeptycki⁷⁴ (zmarł w listopadzie 2004 r.). Z Jurkiem S. w ostatnich latach rozmawiałam telefonicznie, przekomarzaliśmy się, kto wygłosi mowę pożegnalną. On mówił: „Ty nad moją trumną, bo ja starszy” a ja: „na pewno Ty nad moją, bo ja bardziej schorowana”. Nie tylko nie wygłosiłam kilku słów nad jego trumną, ale nawet nie byłam na Mszy św. za jego duszę, bo byłam i chora i słaba. Na przestrzeni ostatnich miesięcy miałam złamane prawe ramię, złamane biodro i operację i pobyt 8-o dniowy w szpitalu na atak trzustki. Śpij Jurku w spokoju wiecznym! Przez długie lata pracowaliśmy społecznie bez większych zakłóceń; „Samopomoc” była stowarzyszeniem emigracji po 2-giej Wojnie Światowej, założeniem organizacji było: członkiem mógł zostać każdy nowoprzybyły bez względu na płeć, wiek lub pochodzenie. Chodziło o to aby tym ludziom stworzyć namiastkę domu rodzinnego po tułaczce wojennej, żeby pomóc przy stawianiu pierwszych kroków, pomóc przy znalezieniu mieszkania z zaopatrzoną w jedzenie lodówką, pomóc przy znalezieniu pracy, etc.

Poza pomocą społeczną „Samopomoc” regularnie raz w miesiącu organizowała zebrania towarzyskie, poprzedzone zawsze odczytem na aktualne tematy lub na obchody patriotycznych świąt, kończyły się dansingiem. Największym powodzeniem cieszył się bufet w rękach Komitetu pań, a tych pań w Komitecie było 30. W ramach „Samopomocy” był cały szereg Kół i Komitetów, Szkółka Polska, Sport, Teatr, Prasa. Comiesięczne zebrania

⁷³ **Sylwin Jerzy Strakacz** – (1892-1973) dziennikarz, kompozytor, sekretarz Ignacego Paderewskiego, dyplomata, urzędnik konsularny.

⁷⁴ **Jerzy Szeptycki** – (1915-2004) inżynier architekt. W latach 1954-1956 pracował w Wytwórni Disneya, gdzie m. in. planował Disneyland. Od 1955 r. prowadził własną pracownię. Specjalizował się w projektowaniu obiektów o charakterze sakralnym, stworzył m.in. bazylikę oo. paulinów w Doylestown, Narodowe Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej.

towarzyskie miały tak wielkie powodzenie, że zostaliśmy zmuszeni do wynajęcia pomieszczeń w Klubie Kobiet Protestanckich przy ul. Menlo Ave. Obszerny, ładny budynek, sala ze sceną, służył nam przez szereg długich lat. O „Samopomocy” zaczęto pisać w prasie polonijnej jako o najlepszej organizacji charytatywnej w Stanach.

„Samopomoc” współpracowała poza Kongresem Polsko-Amerykańskim z innymi klubami na terenie Los Angeles np. z „Free Poland” założonym przez mecenasa Niemo-Niemojewskiego, przemiły starszy pan urodzony w Ameryce, gorący patriota polski, przez Ernę Chat, która medycyną naturalną poprawiała ludziom wzrok, przez H. Liebke (popularna Leniutka) sekretarkę pani Paderewskiej i Sylwina Starkacza. Klub „Free Poland” był nastawiony na działalność wśród Amerykanów, zaangażowany w nim był świat Hollywood‘u m. in. rodzina Barrymore. Drugim Klubem, z którym nawiązaliśmy kontakt był „Klub 1939” istniejący do dzisiaj, klub polskich żydów, którzy tak jak i my na skutek działań wojennych znaleźli się na tym terenie. Organizacja o podobnym do „Samopomocy” założeniu. Przez długie lata bardzo czynny był w nim mec. Benjamin Grey, lokalny działacz – napisał mi wiersz, że go przywróciłam „na ojczyzny łono”. Członkowie „Klubu 1939” bywali na naszych imprezach, my na ich, spotkania Polaków z Polakami, te same podobne i smutne wspomnienia i zainteresowania. Członkowie „Samopomocy” gremialnie uczestniczyli w obchodach narodowych organizowanych przez Pol-Am Kongres, takich jak 3 Maj – polskie święto narodowe ignorowane przez komunistów w kraju. Tłumy Polaków i Amerykanów partycypowały. Miało to miejsce albo na placu przed City Hall L. A. albo w parku wytypowanym na ten cel przez władze miasta. Jeśli nie gubernator Kalifornii, to na pewno Mayor L.A City partycypował. Hymny grane przez orkiestrę, flagi, przemówienia. Pokażcie mi te tłumy dzisiaj!

Albo nasz Teatr „Samopomocy”. Jakie sztuki i jakie talenty, rodzinne i importowane. Nie jestem w stanie wymienić wszystkich, ograniczę się do tych zawodowych, co pisali i występowali: Stanisław Kotwicz, Wanda Stabrowska, członkowie Teatru Lotników w Anglii i Szkocji, Tomasz Gliński stał na czele Teatru Białego Orła w Londynie, autor „pamiętaj drogi wnuku, Twój dziadek był w Tobruku” – oni i inni pisali na użytek naszego Teatru „Samopomocy”. No i Miecio Gaston-Znamierowski, przedwojenny reżyser w Polsce, w Hollywood przerzucił się na architekta wnętrz, świetnie zarabiał, pomógł nam w zorganizowaniu Balu Architektów (część programowa).

A skoro poruszyłam ten temat, to coś o tym balu, a było to wydarzenie roku, „gwiazda sezonu”, jak pisała lokalna prasa. Było nas na tym terenie z 15-u architektów, postanowiliśmy na wzór słynnych balów Architektury w przedwojennej Warszawie zorganizować Bal.

Wynajęliśmy w parku w Los Feliz prywatny klub, architekci zrobili piękne dekoracje. Dobra orkiestra. Program był w rękach Miecia Gastona i udział w nim wzięła przedwojenna śmietanka intelektualna. Komitet Pań przygotował bufet, którego nie powstydziliby się Hotel Waldorf Astoria w Nowym Yorku. Jedna rzecz zawiodła, właśnie bufet. Jedzenia było na 300 może 400 osób, a przyszło 800. Wierzyliśmy, że nasi amerykańscy koledzy poprą nas i choćby z ciekawości przyjdą, ale takiej masy nie przewidzieliśmy. Gdy w poniedziałek zjawiłam się w biurze (pracowałam dla znanej firmy Victora Gruena, on and Richard Neutra byli Honorowy Chairmen naszego balu) koledzy powitali mnie gwizdem, na moje pytanie o co chodzi odpowiedzieli, że przyszli na bal na dobre polskie jedzenie, byli głodni, a ja ich nie nakarmiłam. Oczywiście był to żart, byli zachwyceni. Impreza przyniosła największy również dochód, który był przeznaczony na budowę lub zakup Domu Polskiego w L.A. Zamiast Domu „mądrzy” Polacy zakupili kilka akrów ziemi na pustyni 50 mil od L.A. i zorganizowali tam picnic grounds dla młodzieży, miało to być na krótko – chwilową lokatę gotówki uzbieranych ciężką pracą wielu osób oddanych całkowicie „Samopomocy”. Stara emigracja – ta najstarsza – miałyby już trzy domy. A my mamy wciąż Picnic Grounds, mimo że od tego czasu minęło już 36 lat!

Drugą większą imprezą zorganizowaną przez „Samopomoc” był „Bal Wojska Polskiego”. Na tę okazję zaprosiliśmy jako honorowego gościa Gen. Kazimierza Sosnkowskiego, przyleciał z Kanady, gdzie stale zamieszkiwał. Bal był w Ambassador Hotelu. Generał był wprowadzony na salę przez grupę młodzieży w mundurach szwoleżerów Powstania Listopadowego przy dźwiękach generalskiego marsza. Obecni byli przedstawiciele Stanu California i City Los Angeles i cała śmietanka towarzyska L.A. nie wyłączając pary znanych przedwojennych aktorów: Adama Brodzisza i Marii Bogda. Tym razem dochód poszedł na polskich weteranów. Mieliśmy przyjemność gościć w naszym domu Gen. Sosnkowskiego. „Samopomoc” była organizacją, którą chętnie odwiedzali VIP`s z całego świata. Gościliśmy Marię Kornilowicz, wnuczkę Henryka Sienkiewicza, Konrada Toma, Jarosiego – słynne postacie przedwojennej Warszawy. Generał Bór-Komorowski, Generał Maczek, Generał Sosnkowski, Melchior Wańkowicz przyjechał w dniu, w którym wybrano mnie – po raz pierwszy kobietę – na Prezesa „Samopomocy”. Ktoś mu o tym powiedział i co on zrobił? Wziął książkę swego autorstwa do ręki i zaopatrzył kartką – życzeniami, aby moje władanie skończyło się sukcesem, takim jak rozprawdzanie jego książek wśród Polonii. Very nice!

Nie tylko kalifornijski klimat, nie tylko sława Hollywood ściągnęła tu tylu miłych gości, ściągali ich ludzie tu stale mieszkający, a byli to gen. Kasprzycki, członek „Samopomocy” piszący liryczne wiersze do miesięcznego biuletynu „Samopomocy”. Biuletyn przygotowywał

do druku mój szwagier Jan Piotr Górski a robił to z wielkim talentem. Stali mieszkańcy to Henryk Wars⁷⁵, słynny muzyk, którego utwory, takie jak „Umówiłem się z nią na 9-ą”, „Zatańczmy tango”, „Miłość Ci wszystko wybaczy” śpiewane są do dzisiaj w Polsce i po świecie; Bronisław Kaper, kompozytor, zdobywca Oscara za piosenkę do filmu pt. „Lili”. Słynny przedwojenny reżyser Józef Lejtes, reżyserował „Młody las”, „Dziewczęta z Nowolipek” i etc. Mieszkała tu stale Zofia Batycka, pierwsza przedwojenna Miss Poland i aktorka, Sylwin Strakacz, Leniutka Libbke, oboje sekretarzowali rodzinie Paderewskich. Nieco później dołączyli do nas Gen. Lotnictwa Karpiński z żoną Barbarą, również lotnikiem. Stałym mieszkańcem był Leonidas Dudarew-Ossetyński, początkowo wielki przyjaciel rodziny Górskich, a potem wielki wróg, autor anonimów o wielu ludziach tu działających, niewątpliwie człowiek utalentowany, ale niezrównoważony. Wybaczyłam mu tę napaść na mnie, gdy Wanda Stabrowska przekazała mi co o mnie powiedział „jedyną osobą, z którą można tu inteligentnie porozmawiać jest Hanka Górski”. Jak niewiele potrzeba ludziom do szczęścia? Panie Boże świeć nad jego duszą!

Praca w „Samopomocy”, choć nagrodzona tytułem Honorowego Prezesa, odbiła się na moim zdrowiu. Wylądowałam w szpitalu, skomplikowane, całkowite usunięcie tarczycy, wkrótce później upadek i złamanie lewego łokcia, nasz kochany wilczur Filut zaplątał mi się pod nogami. Pies urodzony w Ameryce, ale 100-u procentowy Polak. Okoliczna dzieciarnia wołała na niego „Filip” (tak to dochodziło do ich uszu), on ani drgnął. Jurek zawołał Filut i Filut w sekundę był u jego stóp. Kochał nas, kochał naszych przyjaciół, pierwszy rzucał im się na szyję, ale gdy zobaczył innego psa, duży czy mały, gotów był rozszarpać na kawałki. Ale gdyby przyszli złodzieje, to pootwierałby szafy i szuflady. Zabierajcie! Kochał ludzi! Potrafił być i złośliwy. Jureczek wydzielił część naszego ogrodu na jarzyny, zabawił się w ogrodnika. Któregoś dnia poszliśmy na przyjęcie, Filut został w ogrodzie na straży domu. Rano następnego dnia Jurek nie może otworzyć drzwi ogrodowych, obszedł dom wokoło i co zobaczył? Nasz kochany Filut wykopał cały jarzynowy ogród Jureczka i przyniósł go pod drzwi. Był to taki niecodzienny widok, że Filut lania nie dostał, choć Jurek miał ochotę mu przyłożyć. Dożył u nas dojrzałego wieku, żal nam było się z nim rozstawać, Janek nam pomógł i zawiózł go do weterynarza, wszyscy powiedzieliśmy sobie, że więcej zwierząt do domu nie wprowadzimy.

A ja, gdy doszłam do zdrowia, opuściłam Los Angeles. Jak dobrze jest kobiecie, gdy ta ma wyższe studia, znaczy to, że jest niezależną, jak bardzo przydały mi się studia

⁷⁵ **Henryk Wars**, właściwie **Henryk Warszawski** – (1902-1977) polski kompozytor muzyki rozrywkowej, aranżer, pionier jazzu w Polsce, pianista oraz dyrygent.

architektoniczne! W 1955 r. zakończyłam moją funkcję prezesa „Samopomocy”, plus ciężka operacja (usunięcie przerośniętej tarczycy), plus ta złamana ręka, doprowadziły mnie do kompletnego wyczerpania fizycznego i psychicznego. Wszyscy mieliśmy nerwy nadszarpięte i Jurek i Janek i ja. A podłożem tego była niska, prymitywna zawiść, wada charakterystyczna dla polskiego narodu, wada powtarzająca się w każdym pokoleniu, poparta naukowymi badaniami. Opowiadamy sobie na ten temat kawały w rodzaju: przy wielu dużych kotłach w piekle stoją diabły i widłami spychają w dół każdą osobę, która wspina się do góry. Jeden kocioł stoi bez diabła. A dlaczego? Bo to jest kocioł Polski. Polacy sami ściągają na dno Polaka, gdy któremuś udaje się osiągnąć szczyt, a nawet może nie szczyt, wystarczą trochę lepsze wyniki. Rzeczywiście, miałam w mojej pracy społecznej wyniki dobre, dzięki szlachetnej i życzliwej pomocy komitetu pań (około 90-u). Z panami było trochę gorzej. Nie pamiętam co było tą ostatnią kroplą goryczy, ale któregoś dnia zapakowałam walizki i znalazłam się w Nowym Yorku! Od wielu lat marzyłam o tym, aby pracować w firmie architektonicznej, która zbudowała Empire State Building, pierwszy najwyższy wieżowiec na świecie, 1250 stóp, 85 pięter = ¼ mili, 65 wind. Projektowała i budowała firma Shreve, Lamb and Harmon i złożyłam tam podanie i zostałam przyjęta i ku mojemu zdziwieniu nie kwestionowali, że byłam kobietą! Oprócz mnie były tam dwie amerykanki architektami. Empire State Building był rewolucją w architekturze, windy elektryczne wyrugowały windy hydrauliczne, biura ulokowane na piętrach najwyższych były wolne od hałasu ulicznego, pozwolił wprowadzić do architektury nie tylko inne materiały budowlane, ale i nowy, inny styl.

Przez rok z plusem mego pobytu w Nowym Jorku mieszkałam na Forest Hills Gardens na Long Island. Byłam sąsiadką Lidii i Jurka Tabor, ona przez długie lata pracowała dla KLM, holenderskich linii lotniczych, znała kilka języków obcych, entuzjastka Esperanto (dla informacji: język ten stworzył Polak Ludwik Zamenhof, jako język międzynarodowy, przez pewien czas był dość popularny, dzisiaj wyrugowany przez angielski). Później, aby uniknąć podróży metrem, czego nie znosiłam, przeprowadziłam się do centrum na 5th Avenue, na placu po drugiej stronie Łuku była słynna cukiernia „Babka”. Tak dobrych babek i wyrobów cukierniczych nigdzie indziej nie było. Poznałam w Nowym Jorku sporo ciekawych ludzi, zostałam członkiem Polskiego Stowarzyszenia Architektów i Inżynierów, pamiętam, podejmowaliśmy przybyłego do Ameryki z kraju architekta J. Hryniewickiego, celebrował nagrodę otrzymaną za Stadion Narodowy w Warszawie „Stadion Dziesięciolecia”, dzisiaj największe targowisko! Jak można sprofanować wybitnego polskiego architekta i taką piękną część naszej stolicy? Jak długo jeszcze ten stan rzeczy będzie trwać? Poznałam w tym okresie wielu ciekawych ludzi, poza architektami zaliczam do nich Władka i Adelę Zachariasiewiczów,

znajomość zamieniła się w przyjaźń, która wciąż trwa. Ten międzynarodowy społecznik Władek napisał piękne wspomnienie po śmierci mego Jurka do „Nowego Dziennika”. Spotkałam w Nowym Jorku architekta Mariana Hełm-Pirgo, znaleźliśmy się w Anglii, był również poetą, autorem „W okopach i w walce” pamięci tych, którzy walczyli o Wolność i Niepodległość Rzeczypospolitej. Sam był więźniem łagrów sowieckich. Był moją eskortą na Balu Fundacji Kościuszkowskiej w Waldorf-Astoria. Poznałam zespół Radia Wolnej Europy działający w Nowym Jorku, przeprowadzili ze mną szereg wywiadów. Sporo miłych wieczorów spędziliśmy we włoskiej restauracji, w której kelnerzy ze dwa razy w czasie wieczoru zawieszali na krótki czas swoje czynności i zamieniali się w śpiewaków. Dyrygował tym występom Paweł Prokopieni i sam występował solo. Więcej dla tych występów i Prokopieniego niż jedzenia tam chodziliśmy. Ten wypad do Nowego Yorku przyniósł mi podwójną korzyść, uspokoił moje stargane nerwy pracą społeczną, odzyskałam siłę do przyszłych zmaganiań, ale również po raz pierwszy byłam sama, nie było rodziców ani wujostwa ani Jureczka, którzy się mną opiekowali i mną dyrygowali. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ja im wszystkim byłam i jestem bezgranicznie wdzięczna za to, że byli przy mnie i wspierali mnie, ale tą ciągłą opieką zabijali we mnie inicjatywę i odwagę przy podejmowaniu decyzji, a tych jest zawsze wiele na drodze życia. Na pewno poczułam się pewniejsza i jako dowód, namówiona zresztą przez Lidię Tabor, kupiłam działkę na Fire Island. I zaraz potem powróciłam do słonecznego Los Angeles w ramiona stęsknionego Jureczka i z nowym zapasem sił do podjęcia pracy zawodowej i nowej działalności na polu społecznym.

I znowu praca społeczna (przeszłam do porządku dziennego i zapomniałam o doznanych przykrościach) i znowu urządzenie imprez, bo chodzi o zebranie funduszy na dalsze akcję, na pomoc przybyłym tu uchodźcom. O tych wielkich imprezach, jak Bal Architektów, Bal Wojska Polskiego, wspominałam. Ale jakie mnóstwo imprez nieco skromniejszych, ale naprawdę udanych i pięknych urządzaliśmy, przeważnie jako główny cel przyświecało nam pobudowanie Domu Polskiego! Czym się to skończyło pisałam: piknik grounds na pustyni! Ale wówczas nie przyszło nam do głowy, że to się tak skończy i pracowaliśmy z zapałem! Na przykład na 15-lecie istnienia „Samopomocy” zorganizowaliśmy „Bal w Starej Warszawie”. Tutaj przyszedł mi z pomocą Ludwik Wiechecki, brat słynnego Wiecha, który z żoną Teją (Słowaczka z pochodzenia) zjechali na nasz teren z Argentyny. Stali się naszymi serdecznymi przyjaciółmi. Wiech pisał w Warszawie do gazet i książek felietony językiem przedmieść Warszawy, był pisarzem-humorystą, a jego brat Ludwik był bardzo utalentowanym malarzem, przeważnie akwarele, ale nie tylko. Otóż, na „Wieczór Warszawy” nasz ogród w L.A. na Orange Drive był usłany metrami grubego, białego papieru i Ludwik

przez tydzień malował Warszawę. Po kilku dniach biały papier zniknął, zamiast niego wyłoniła się Kolumna Zygmunta, Łazienki, Zamek Królewski, pomnik Mickiewicza i Chopina i figury z książek Wiecha; wszystko wspaniałe, wszystko zasługiwało na najwyższe order. Orkiestra doskonała w oparciu o znane melodie o Warszawie. Jubileusz 25-lecia Samopomocy Stowarzyszenia Emigracji po 2-giej Wojnie Światowej super udany, fundusz na Piękny Dom Polski powiększył się!

Wiele lat przyjaźni, wspólne wigilie, przyjęcia, bez przerwy coś się działo, bez przerwy ktoś ciekawy przyjeżdżał z Polski lub ze wschodu Ameryki. Do tych bardzo ciekawych wizyt zaliczam i przyjazdy Mazowsza, przyjazd Marii Kornilowicz, wnuczki Sienkiewicza, po raz pierwszy przyjazd kilku osób z Telewizji Polskiej, wizyty znanych postaci z Filmu Polskiego, jak Kawalerowicz, Hoffman, etc. Sporo ciekawych momentów mogę opisać w związku z pobytem Mazowsza w L.A. Pierwszym tanecznym zespołem w L.A. była grupa Śląsk. Po koncercie zaprosiliśmy kilku tancerzy na kolację, zaprzyjaźnili się, był kontakt listowny. Któregoś dnia dowiadujemy się, że dwie pary przeszły ze Śląska do Mazowsza i że Mazowsze na święta Bożego Narodzenia zjeżdża do L.A. Dobra wiadomość, cieszymy się, trzeba dla młodzieży zorganizować Wigilię. Komitet pań, podział na 10 czy więcej domów, wysłałam list do Pani Miry Zimińskiej Sygietyńskiej z zawiadomieniem i zaproszeniem młodzieży na wigilię do domów prywatnych. Pani Mira bardzo mile odpisała, ucieszyła się i podziękowała.

Następnego dnia po przylocie Mazowsza – Wigilia. Otrzymuję telefon, potwierdzony przez p. Mirę, przeprasza, cała młodzież idzie na wigilię do Domu Polskiego, ich opiekun miał układ z grupą Związku Narodowego o czym p. Miry nie zawiadomił. Do mnie dzwonią lokalne przyjaciółki: „Pani Hanko, co mam zrobić z tą olbrzymią ilością ryby?” Dzwoni młodzież: „Pani Hanko, my tam długo nie będziemy, szybko zjemy i uciekniemy, proszę o przysłanie aut”. Powiedziałam: „postaram się”. Poprosiłam o to Janka, mego szwagra. „Zobaczę!”. Sama wycofałam się do kuchni. Na wszelki wypadek dosmażyłam więcej ryby. Poza naszą trójką mieliśmy na kolację wigilijną zaproszonych lokalnych przyjaciół: Miecio Gaston Znamierowski, Wiecheccy, Zygmunt Sulistrowski, reżyser filmowy z Brazylii. Szykując tę kolację byłam w napięciu nerwowym, bo wszystko wyglądało inaczej niż było zaplanowane. W pewnym momencie słyszę zgrzyt samochodowych hamulców, pełno aut, hałas, powitania, śmiechy, uchylam drzwi a tu w naszym living-room głowa przy głowie stoi tłum ze 30 osób lub więcej. Wycofałam się do kuchni i do telefonu do najbliższej nas mieszkających przyjaciół: „SOS! Przyjeżdżajcie natychmiast, zabierajcie od nas młodzież z Mazowsza!” Mając zagwarantowane z pięć aut dopiero wówczas wysłałam się przywitać.

Jeden z nich Jurek Wójcik rzuca mi się na szyję z podziękowaniem i prowadzi mnie do starszego mężczyzny: „chciałem przedstawić pani Dyrektora Pagartu pana Zakrzewskiego”. Pan Zakrzewski z kolei przeprosił mnie mówiąc: „to ja bardzo przepraszam, że się u Państwa znalazłem, ale ubłagałem młodzież, żeby mnie ze sobą zabrali, a poza tym muszę przyznać, że to ja narobiłem tego bałaganu i nie poinformowałem o tym pani Miry”. A myśmy tu przypuszczali, że z młodzieżą jeździ agent komunistyczny, który nie zezwala młodym ludziom na kontakt z nami. Ale czy on i tę funkcję pełnił, trudno nam było wiedzieć na pewno. Osiem osób z Mazowsza plus my, razem 15 osób nareszcie zasiedliśmy do wigilii. Była bardzo udana i uroczysta.

Przy innym pobycie Mazowsza w L.A. pamiętam dość zabawną scenę. Było tym razem lato, zorganizowaliśmy przyjęcie dla grupy jakiś 15-tu osób „Mazowszan”. Jureczek i ja byliśmy zajęci organizacyjnie i poprosiliśmy naszego przyjaciela Eugene Holt, aby witał przybywających gości. Eugene Holt był mężem Stefy, a Stefa była siostrą Jadwigi Grabowskiej, która w Warszawie otworzyła znany „Dom Mody”. Zdolne i energiczne były te siostry, bo Stefa ma na swoim koncie olbrzymie osiągnięcia: praca kulturalna w L.A. Museum of Art. W nowo otwartym Muzeum zorganizowała Dział Kostiumów, a dział został uroczystie otwarty przy udziale amerykańskiej intelektualnej śmietanki. Stefa zaprosiła mnie i Krysie Dubrawską do pomocy przy otwarciu „Polish Costumes and Textiles”, a na uroczystość otwarcia sprowadziła z Polski Wystawę Polskich Kostiumów Ludowych. Sukces ogromny w czym jej dzielnie pomagał mąż Eugene, dyplomata, Węgier z pochodzenia, on pełnił również funkcję kuratora. Oboje pp. Holt bardzo dużo wnieśli do powstania tej cennej kulturalnej placówki, oboje nie żyją. W 2002 r. Muzeum wręczyło Generalnemu Konsulowi Polski p. Kasprzykowi ceremonialny baldachim (a Persian or Mughal ceremonial canopy) podobno wywieziony przez Niemców w czasie wojny z Muzeum Czartoryskich w Krakowie. Przekazanie tego daru nastąpiło w czasie ½ godzinnej ceremonii w cztery oczy, gdy muzeum było zamknięte. A szkoda, była taka okazja do zorganizowania trochę większej uroczystości o przypominaniu Amerykanom o Polsce, która ten Dział Tkanin i Kostiumów zorganizowała i długie lata prowadziła. Tkanina była 20 lat „in storage”, a może Stefa ją gdzieś znalazła, od kogoś odkupiła, jaka była jej historia? Obecny kurator zawołał konsula, wręczył mu paczkę: „proszę, niech pan sobie to weźmie, nam to nie potrzebne”. Po 48-u godzinach cenna canopy była już w Krakowie! Szkoda, była okazja do zrobienia trochę propagandy Polsce i Polce! Była to zapowiedziana przez mnie „skakanka”.

Teraz wracam do pana Holt, który witał wchodzących gości z „Mazowsza” w naszym domu, począwszy od „prosimy bardzo, czekamy..., miło Was zobaczyć, proszę do baru, mamy

piękny dzień, etc.” Czego nasi goście z Polski nie wiedzieli, że to była u Eugene całą znajomość języka polskiego. Młodzież zachwycona była Węgrem, paplała do niego po polsku przekonana, że on wszystko rozumie i tak świetnie opanował polski język, a tymczasem on i my mieliśmy dobrą zabawę!

Iluż tu było wartościowych ludzi, wszyscy pracowali utrzymując rodziny i wszyscy pracowali nie pobierając żadnego wynagrodzenia w różnych organizacjach charytatywnych. Czasami zadaję sobie pytanie, skąd po tylu przykrych doświadczeniach wojennych ludzie brali siły? Zwłaszcza, że Los Angeles słynie z położenia i rozległej rozbudowy. Sepulveda Blvd ciągnie się milami – z głębi San Fernando Valley do Pacyfiku San Pedro – 70 km, wciąż w obrębie Los Angeles, a przecież wiele rodzin zamieszkało w Orange i San Bernardino Counties. Odbywaliśmy długie podróże do pracy, a wieczorem i w weekendy na posiedzenia, bo wciąż coś planowaliśmy, organizowaliśmy i nie wszyscy mieli auta, autobus wchodził w grę. Ja i moja rodzina w tym wszystkim partycypowaliśmy wraz z dziesiątkami nowo przybyłych na ten teren, było zaangażowanych w pracy na rzecz Polski, Polonii i Polaków, gdziekolwiek oni byli. Piszę o tym, żeby tym, co na nasz teren przybyli później wykazać, że życie i działalność nie zaczęła się tutaj od „Solidarności”. Bogu dziękuję, że udało nam się podziękować tym, co dali z siebie maksimum dla innych, nim umarli. Niestety rzadko się to zdarza. Na swoim koncie mam dwa takie przypadki: zorganizowałam Jubileusz 25-lecia Tadeuszowi Łuczajowi, śpiewak operowy w przedwojennej Warszawie, w 1963 znalazł się na naszym terenie z żoną, p. Haliną i synem Andrzejem. Nigdy nam nie odmówił gdyśmy szukali wykonawców przy organizowaniu obchodów patriotycznych i innych. Stosunkowo łatwo było nam planować te obchody, gdy weźmiemy pod uwagę olbrzymią ilość talentów i sław stale mieszkających na naszym terenie jak Henryk Wars, Bronisław Kaper, Roman Maciejewski – pianista, Stefan Pasternacki, Harry Sukman, Mieczysław Gaston-Znamierowski. W tym czy w innym sensie partycypowali w różnych obchodach i uroczystościach, które kończyły się przyjęciem u nas w domu.

Inną udaną aferą był Bankiet dla Sylwina Strakacza, wieloletniego sekretarza Ignacego Paderewskiego, jednego z założycieli „Samopomocy”. Szesnastu prezesów „Samopomocy” wzięło w nim udział, Sylwin na to zasługiwał, o ile łatwiej nam było sprawować ten urząd przy jego pomocy. Był Ministrem Pełnomocnym Rzeczypospolitej Polskiej przy Lidze Narodów w Genewie, był Konsulem Generalnym RP w Nowym Jorku, działacz polityczny i społeczny, dyplomata, świetny mówca po polski i angielsku, nie tylko służył nam radą i pomocą, ale czynnie partycypował w każdym naszym przedsięwzięciu. Niezwykle przy tym skromny, do śmierci mieszkał i żył skromnie, na życie zarabiał pracując jako tłumacz w lokalnych sądach. Nie odziedziczył majątków po Ignacym Paderewskim, kto inny opróżnił dom Mistrza z

cennych przedmiotów. Oni opuścili Szwajcarię autem w pośpiechu, poprzez Francję, Hiszpanię do Portugalii, cztery osoby w aucie, nie było miejsca na skarby. Na bankiet przybyła masa ludzi. Był lubiany i szanowany. Przemówienia, toasty, dobra atmosfera, ale Sylwin nie wydawał się być ani wesoły, ani szczęśliwy, brakowało tego wieczoru jego córki i jego wnucząt. Zarówno my, jak i on, przede wszystkim on, spodziewał się, że będą razem z nim celebrować. Niestety, a wielka szkoda, dokładnie miesiąc po tej uroczystości otrzymałam telefon od p. Libke: „Pani Hanko, Sylwin nie żyje!! Proszę o pomoc, dzwonili do mnie z Santa Monica Szpitala. Skoczyłam do auta, w 15 minut później byłam u p. Leniutki. Co się stało. Stał na przystanku autobusowym, miał być w sądzie o 9:00. Stracił przytomność, upadł. Pojechaliśmy do szpitala, chcieliśmy go zobaczyć, lekarz odmówił. Okazało się, że Sylwin ofiarował swoje oczy i cokolwiek miał zdrowego na rzecz potrzebujących i to wszystko było już wykonane i rada lekarska była: zapamiętajcie Mr Strakacz takim jakim był. Zmarł w 1973. Pochowany został na cmentarzu w Glendale, tym samym, gdzie jest obraz Styki, słynne płótno „Crucifixion”. Odszedł dobry człowiek, gorący Polski Patriot. Ja i moi przyjaciele zgodziliśmy się, że będzie nam go bardzo brak. I tak się stało.

Wkrótce potem opuścił L.A. Dr. Tadeusz Mrozowski, otrzymał stanowisko w Waszyngtonie w Library of Congres. W kilka miesięcy później otrzymujemy wiadomość od Marii, jego żony: Tadeusz nie żyje, był na rybach, słońce, gorąco, wysoka wilgotność, uderzenie krwi do mózgu. Dwa filary w życiu Polonii w L.A. przeszły do wieczności. Wkrótce po nich przeszedł do wieczności i Tadeusz Ruczaj, również pokolenie po 2-giej Wojnie Światowej, to lepsze, to uczciwsze, solidniejsze, pracowitsze, bohaterskie. Pan Tadeusz był śpiewakiem operowym, występował w operze w Warszawie przed wojną, w czasie wojny był w AK, partycypował w Powstaniu Warszawskim, bronił baszty Mokotów. Umarł w L.A., pochowany w Warszawie na Powązkach.

W międzyczasie u mnie również nastąpiły zmiany. W prasie ukazało się ogłoszenie, które pozwoliłoby mi powrócić do planowania przestrzennego, co od samego początku więcej mnie interesowało. Złożyłam podanie i zostałam przyjęta. Minus ten, że propozycja nowej pracy związana była z Filadelfią, a może nie „minus”. Zmiana miejsca i to taka zasadnicza, z „Dzikiego Zachodu” na Wschód, tam gdzie Ameryka wzięła swój początek. Niezłą propozycja, pojedę, zorientuję się, może przeprowadzimy się. Nie muszę zapewniać, że reakcja Jurka nie była na plus, ale skończyło się dobrze: spróbuj!. Jak ważne jest to słowo „spróbuj”, gdy wchodzi na tapety jakieś inne nietypowe okazje: nie wahajmy się, spróbujmy! Mnie się udało, na Boże Narodzenie na 2 tygodnie przylatywałam do domu, Jurek był już na emeryturze, przylatywał do Filadelfii, wspólnie bywaliśmy na różnych uroczystościach polonijnych w

Filadelfii i w Waszyngtonie. On „pokochał” Dutch Country, czyli Amishów. Wokoło Lancaster w Pensylwania ulokowała się sekta protestanckich chrześcijan, powstała w XVI wieku. Grupa ni to Niemcy, ni Holendrzy, nie uznają postępu, a zatem elektryczności, aut, etc., podróżują krytymi wozami przypominającymi karoce, noszą nieco mniejsze ubiory czarne, skromne, ani imponujących kościołów i katedr nie mają, modlą się po domach. Chętnie odwiedzaliśmy ich restauracje, smacznie gotowali.

Wynajęłam jedno-pokojowy studio apartament, okna wychodziły na Franklin Ave i Logan Square, samo centrum Filadelfii. Z mojego pokoju oglądałam parady i uroczystości. Budynek o nowoczesnej architekturze ze 20 + pięter, strzeżony, auto parkowano mi we wnętrzu, baseny kąpielowe na ostatnim piętrze, luksus. Pamiętam pierwszą zimę w Filadelfii. Dwadzieścia lat nie widziałam zimy, a obraz jaki zobaczyłam przez okno był zgoła urzekający. Miasto pod całunem śniegu. Po wiadomościach o 11:30 gotowa byłam do łóżka, ale ostatni rzut oka, czy śnieg wciąż pada? Śnieg przestał padać a z okna rozpościerał się najpiękniejszy widok! Po prawej stronie Logan Square Katedra Katolicka, na wprost budynek Biblioteki, na dalszym po lewej Muzeum of Art. Wokoło skweru drzewa, wszystkie bogato udekorowane zapalonymi lampeczkami, reflektory, wszystko pokryte puchem śniegu, niedotknięte stopą ludzką. Dla wyjaśnienia Logan Square jest otoczony publicznymi budynkami, a zatem cały ten teren po zamknięciu biur jest wolny od ludzi, całkowity spokój i pustka. Zwłaszcza o północy i w poświęcie księżycy Logan Square przedstawiał zaczarowany widok. Zarzuciłam na siebie ciepły szlafrok i przesiedziałam resztę nocy chłonąc go!

Nie tylko luksusowo mieszkałam, ale pod każdym innym względem mój pobyt w Filadelfii był bardzo korzystny. Pracowałam dla Delaware Valley Regional Planning Commission – Agencji Planowania Regionalnego gdzie się planuje na przyszłość, na następne 25 lat. Rejon Delaware obejmował 5 hrabstw w stanie Pensylwania i 4 w stanie New Jersey. Urbanistyka już od studiów uniwersyteckich interesowała mnie więcej niż budownictwo indywidualne czy zespołów budowlanych. Projektowanie przestrzenne to tereny wyznaczone na miasta, wsie i osady. To komunikacja: drogi, koleje lotniska, autostrady. To otwarte przestrzenie, pola uprawne i góry, wody, rzeki, lasy, tereny pod zabudowę, to gęstość zaludnienia, to budownictwo miast, a w miastach podział na budownictwo mieszkaniowe, handlowe, przemysłowe, to biura i urzędy, uniwersytety i szkoły, to parki i ośrodki rekreacyjne, to wreszcie drogi, ulice, parkingi, zaopatrzenie mieszkańców, zapewnienie czystej wody i czystego powietrza, gaz i elektryczność, itd. Tak się szczęśliwie złożyło, że w tej agencji planowania byłam jedynym architektem, a tu zbliżała się data 200-lecia Stanów Zjednoczonych

(1976). Filadelfia, Boston i Nowy Jork rozpoczęły ze sobą walkę i pierwszeństwo w planowaniu głównych obchodów.

Wytypowano mnie do zrobienia studium i udowodnienia świata, że Filadelfia i tereny wokoło niej są najbardziej historyczne i ważne w walkach o niepodległość. Był to morderczy rok dla mnie, ale wywiązałam się z tego zadania na „piątkę z plusem”. W wyniku intensywnych badań moja agencja opublikowała dwie książki: „A Report on History Preservation” i „Inventory of Historic Sites” in the Delaware Valley. Moje nazwisko na ostatnich stronach. Na frontowych były nazwiska Board Members, tych co zapłacili 18 tys. dolarów za publikację tych książeczek i płacili nasze gaże! Lokalna prasa pisała: polski architekt uczy Amerykanów, jak chronić przed zagładą pamiątki architektury”. Gdy opracowywałam materiały do moich książek przypadek zrządził, że buldożery zrównały z ziemią najstarszy dom w Filadelfii liczący 279 lat – Rush Haus, a miały rozebrać niedaleko stojącą bez wartości ruinę. Oczywiście, uwieczniłam to w książce. Do książki z wykazem historycznych pamiątek wciągnęłam wszystko, co miało związek z polskością, stare polonijne kościoły, domy i pola bitew – związane z nazwiskami Kościuszki i Pułaskiego. Do „Raportu o ochronie narodowych pomników” włączyłam osobny rozdział mówiący o Polsce, jako kraju przodującym w Europie w dziedzinie odbudowy zabytków architektury zniszczonych w czasie Drugiej Wojny Światowej.

Włączając te dane do moich książek nie przewidywałam wówczas jak wielką korzyść mi to przyniesie za niecałe trzy lata. W sumie mogę śmiało zaliczyć ten pobyt w Filadelfii do dużego sukcesu w moim życiu. Sukces również i dla DVRPC, bo agencja weszła na łamy gazet, otrzymaliśmy sporo pochwalnych listów i awards od naukowych i państwowych instytucji i uzyskała to co chciała – prawo pierwszeństwa w obchodach 200 lecia Niepodległości Stanów Zjednoczonych! Miałam wielką ochotę przenieść się na stałe do Filadelfii, niestety mój Jureczek oświadczył: „Haniuś, jeśli ja nie mogę umrzeć w Polsce to umrę w Kalifornii”. To mi wystarczyło, było mi żal, bo polubiłam i swoją pracę i ludzi, którzy mnie otaczali. Począwszy od rodowitych Amerykanów, tam była to „śmietanka”, ludzie, których przodkowie dali początek Ameryce! Polonia była tam inna, „ważniejsza”, zajmowała dobre stanowiska we władzach lokalnych, stanowych i rządowych. Wspominałam już o dużej ilości kongresmenów i senatorów polskich. Na pewno była bardzo aktywna, zwłaszcza w Nowym Jorku, Filadelfii i Waszyngtonie: zebrania, bankiety, bale w eleganckich lokalach. Doroczne Bale Fundacji Kościuszkowskiej w wytwornym Waldorf-Astoria Hotelu, doroczna Parada Pułaskiego w Nowym Jorku, Obchody Patriotyczne w Filadelfii i Waszyngtonie zawsze w dobrych hotelach. Amerykanie, reprezentanci różnych prywatnych i publicznych instytucji chętnie przyjmowali

zaproszenia, dobrze się z Polonią czuli i bawili, to oni stanowili nasze waszyngtońskie lobby, dzisiaj trudno byłoby takie znaleźć, zgoła niemożliwe nawet za pieniądze.

Dobre, dawne czasy, kiedyś naszych rodaków z prezesem Polish-American Congress przyjmował ciepło Biały Dom, dzisiaj i to uległo zmianie. Kiedyś Biały Dom miał swoją kompanię honorową, która reprezentowała go na zewnątrz. Na czym to polegało? Zbliżał się 3-Maj święto Narodowe Polski, w przeciwieństwie do kraju w kleszczach komunizmu, tym bardziej uroczystie obchodzone przez Polonię w Ameryce. Gala w Waszyngtonie, po uroczystych akademiach rano, bal w eleganckim hotelu. Otrzymałam zaproszenie od Zachariasiewiczów łącznie z noclegiem i gością. „Eskortę gwarantujemy”. Wkrótce po zajęciu miejsca przy stole, przy wolnym miejscu obok mnie zjawia się pan porucznik, wysoki, piękny rycerz w jeszcze piękniejszym galowym mundurze, obwieszony medalami i złotymi sznurami, przedstawia się i oznajmia, że jest moją eskortą. Biały Dom przysłał swoją honorową delegację- wieczór był więcej niż udany, bo przy tym był doskonałym tancerzem. Ja nie byłam wyjątkiem, wszystkie inne samotne panie miały taką samą eskortę! Pisząc o Waszyngtonie przypomina mi się jedna z wielu moich wizyt w Library of Congress. Kompletowałam materiały do moich książek. W teczce o Kościuszcze znalazłam rachunek: 15 dolarów za wykonanie planów dla fortyfikacji Red Bank Battlefield w Fort Mercer w stanie New Jersey. Byłam oburzona, jak mogli oni tak nisko ocenić pracę naszego bohatera?

Wracając do Filadelfii, poza pracą zawodową wzięłam kilka kursów na Uniwersytecie w Filadelfii mówiących o amerykańskich metodach planowania regionalnego, bądź co bądź, od pracy urbanistycznej w Anglii minęło z 15 lat. Na Boże Narodzenie 1974 r. zjechałam na dwa tygodnie urlopu do domu. Jurek i ja przedyskutowaliśmy dalsze kroki. Poszedł list do Filadelfii, że rezygnuję z dalszej pracy, problem z sercem. Istotnie, miałam wówczas problemy z sercem, lekarz stwierdził „anginę pectoris”. Przeszłam na wczesną emeryturę.

Lata tysiąc dziewięćset siedemdziesiąte. Tak jak poprzednie i te wypełnione pracą społeczną i częściowo zawodową. Jurek i Ja oboje emeryci. Czy czuliśmy się emerytami? Nie bardzo! Nudziliśmy się? Na pewno nie! Bez przerwy działa się coś! Któregoś dnia otrzymaliśmy list z Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku z prośbą aby zająć się Marią Kornilowicz, która zjechała do Stanów, aby w „sto lat później” przejechać Amerykę śladami jej dziadka Henryka Sienkiewicza. Nie przypuszczałam, że ta niewinna wizyta wpręgnie mnie do pracy społecznej trwającej do dzisiaj. Pani Maria zjechała na nasz teren w 1971 r. Głównie chciała zobaczyć Anaheim, pierwsze miejsce zamieszkania jej dziadka i dom Heleny Modrzejewskiej. Dom w tym okresie był w posiadaniu rodziny Walker, która absolutnie odmawiała wszystkim, którzy chcieli ten dom obejrzeć z bliska. Stał w dużym ogrodzie – parku,

otoczony niebotycznymi drzewami, prawie niewidoczny dla ciekawych stojących poza wysokim ogrodzeniem. Poprosiłam o pomoc naszego przyjaciela, niezastąpiony nasz agent ubezpieczeniowy Laurent Latta. Nawiązał kontakt z właścicielami i uzyskał ich zgodę na otwarcie domu na kilka popołudniowych godzin dla Marii Korniłowicz i jej eskorty, z mocnym podkreśleniem, że wyjątkowo, że nigdy więcej! Pani Korniłowicz u nas mieszkała, Janek Górski pokazał jej wszystkie atrakcje L.A. i okolice, robił to zawsze i chętnie, gdy gościliśmy VIP's z Polski. Pani Maria po powrocie do kraju napisała książkę pt. „Sto lat później”. Pisze: „Arden jest miejscem, które prosi się o Muzeum, ale kto może to zrobić? Polonia? Nie ma na to pieniędzy”. Kupić to nie wszystko, duże sumy będą potrzebne na utrzymanie! W kwietniu 1986 r. zawiadamiam p. Marię, że życzenie jej spełnione. Orange County zawiadomiło nas, że posiadłość zakupiło za 1,9 mln dolarów. Walkers otrzymają milion gotówką, a dziewięćset tysięcy zwolnione z podatku.

Przez następnych kilka lat bardzo zaniedbany dom był wzmacniany konstrukcyjnie. Kosztowało to wiele tysięcy dolarów. Orange County pokrywało te wydatki. I teraz nastały trudne i pełne emocji czasy dla zainteresowanych włączeniem się do pracy przy restauracji domu, oczyszczenia terenu, zorganizowaniem Muzeum Heleny Modjeskiej, itd. Początkowo przy współpracy władz hrabstwa Orange grupa pań z nieocenioną Ellen Lee na czele założyła „Helena Modjeska Fundację”, zarejestrowaną w stanie Kalifornia i współpracującą z władzami Orange Country. Zaczęliśmy od pustego, ale odrestaurowanego domu, dzisiaj wyposażonego w meble i pamiątki po Helenie Modrzejewskiej i jej mężu Chłapowskim. Dom-Muzeum zaczął być licznie odwiedzany przez wycieczki młodzieży szkolnej, grupy i kluby. Kilukrotnie Polonia celebrowała w nim polskie Święto Narodowe 3-go Maja, na które przychodzą tłumy. Szkoda, że nie zobaczyła tego ostatecznego efektu: tego pięknego domu w założeniu parkowym Maria Korniłowicz, zmarła w roku 1998. Dom jest dedykowany i Helenie i Karolowi – jej mężowi i jej synowi Ralph Modjeski, słynnemu budowniczemu mostów w Ameryce i Kanadzie. Pochowany na cmentarzu w Los Angeles. Należę do grupy założycieli i dyrektorów Fundacji H. Modjeskiej, zbieram, włączam i opracowuję pamiątkowe albumy, wszystko skrzętnie notowane i poparte fotografiami. Zastanawiamy się razem z Ellen Lee, jak długo się to wszystko utrzyma po naszej śmierci? Mam nadzieję, że znajdą się ludzie tak oddani sprawie jak Ellen, która ma w małym paluszku wszystko co dotyczy życia Heleny Modrzejewskiej. Niemożliwe będzie ją zastąpić! A szkoda, bo warto jest podtrzymać sławę Heleny Modrzejewskiej, o której się mówi, że ulokowała na mapie Ameryki Hrabstwo Orange – najbogatszą County w Stanach – dzisiaj.

Nie wiem czy urok Południowej Kalifornii, czy klimat zwabiał ciekawych ludzi na ten teren i było ich bez liku, tych stale mieszkających, pracujących w różnych zawodach i o różnych talentach i zamiłowaniach i tych tylko wizytujących. Część z nich angażowała się razem z nami w pracy społecznej, inni wspierali nas swoją przyjaźnią, za co mieli naszą dozą wdzięczność. Tym przyjaciołom chcę poświęcić garść wspomnień, a jednym z nich był Stanisław Szukalski⁷⁶, wybitny rzeźbiarz, a nazwisko jego znajdujemy we wszystkich encyklopediach świata. Urodził się w Polsce w 1893 r. w miejscowości Warta. Wykazywał talent artystyczny od dziecka, mając lat 16 został przyjęty do krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych jako wszechstronni utalentowany geniusz. Przed 1929 r. wraz z rodzicami osiadł w Ameryce w Chicago, założył tam grupę artystyczną: „Szczep Rogate Serce”. Duży wpływ na jego projekty miała Ameryka Południowa, sztuka ludowa Inków i Azteków. Rzeźby jego były fantastyczno-symboliczne, wymagały interpretacji. Do domu Mistrza wprowadził nas ówczesny nasz „przyjaciel” Dudarew Ossetyński. Po obejrzeniu licznych i pięknych modeli rzeźb w jego studio w Burbank cała nasza trójka zorientowała się, że stoimy w obliczu wielkiego talentu. Pokazał nam wówczas również „dzieło jego życia”, tak bowiem nazywał 46 tomów w nich tysiące szkiców i rysunków i opisów wykonanych przez niego tym tak bardzo charakterystycznym pismem, w którym każda litera była rzeźbą samą w sobie. Zaiste imponujące dzieło powstałe po latach siedzenia w bibliotekach na temat niezrozumiały dla przeciętnego człowieka. Szukalski stworzył swoją własną koncepcję jak wyglądał świat po wielkiej Biblijnej Powodzi i jak odbudowano nową cywilizację na ziemi! Otóż na Południowym Pacyfiku znajduje się wyspa o nazwie Easter Island (część Chile). Tutaj wzięł początek pierwotny język ludzkości mający powiązania z najstarszym językiem polskim, który nazywał „Protong”. Tę swoją teorię udowadniał w tych 46-u tomach tłumacząc jak doszedł do tych konkluzji. Otoczenie mówiło o tym koncepcie z humorem a częściej nawet z kpinami. Na nas zrobił duże wrażenie ogrom pracy zawarty w tych tomach.

Czciliśmy go za wielki talent i współczuliśmy mu, że przez rodaków był tak bardzo niedoceniony, nie mówiąc już o złym losie, który go nie oszczędzał. I tak na przykład po raz pierwszy pojechał do Polski na wystawę swoich modeli rzeźb w 1939 r., zaproszony przez Związek Artystów Polskich. Zastała go tam wojna. Nie wiem czy zdążył ktoś tę wystawę obejrzeć, wrócił do Stanów bez modeli, stracił wszystko. Po powrocie do Ameryki osiedlił się

⁷⁶ **Stanisław Szukalski** – (1893-1987) polski rzeźbiarz, malarz, rysownik, projektant i teoretyk, przywódca Szczepu Rogate Serce. Działał głównie na terenie Stanów Zjednoczonych. Poza licznymi dziełami artystycznymi, stworzył też koncepcję o pochodzeniu starożytnych Polaków (Lechitów) o nazwie zermatyzm, uważaną za pseudonaukę. W okresie międzywojennym był jedną z barwniejszych postaci w życiu artystycznym Warszawy i Krakowa.

w Los Angeles w Kalifornii. Również przed wojną ogłoszono konkurs na pomnik Adama Mickiewicza w Wilnie. Pierwszą nagrodę przyznano Szukalskiemu, ale zaraz potem rozpętała się burza. Prasa pisała: „zamiast Mickiewicza będzie stał przed Ratuszem japoński smok”. Na specjalnie zwołanym zebraniu ktoś wykrzyknął: „Na projekcie Pana Szukalskiego Mickiewicz jest goły, tylko z pióropuszem na głowie jak Indianin a w naszym klimacie ta golizna jest nieuzasadniona”. Szukalski dotknięty do żywego odpalił: „A czy pan wie co Indianie robią z takimi starymi przykami jak pan? Zakopują ich żywcem do ziemi i przydeptują”. Oczywiście, ten wybuch nie zjednał mu przyjaciół, projekt przepadł.

Piękne były te projekty, imponujące w detalach: Gen. Bora-Komorowskiego, Bolesława Chrobrego, czy jego ojca – kowala, pomnik Jałty i mój ulubiony projekt Kopernika ilustrujący „młodzieńca, który sam w pojedynkę zatrzymał słońce i poruszył ziemię z kwadrylioną planet i gwiazd wokoło niej tańczących”. Mam fotografie tych projektów, dedykowane Górskim przez Szukalskiego.

Gdy pracowałam w Filadelfii przygotowując moją książkę do druku otrzymałam dużą kopertę wypchaną papierami od Szukalskiego z prośbą o wykorzystanie „moich stosunków” lokalnych i o pomoc w jego sporze ze znanym, popularnym pisarzem polonijnym Jantą-Połczyńskim⁷⁷. Otóż, kilka lat temu Janta organizował polski patriotyczny obchód na Wschodzie Ameryki. Zdołał przekonać Szukalskiego, że aby uświetnić to wydarzenie potrzebne będą modele jego rzeźb, a wystawione w auli uniwersyteckiej będą podziwiane przez tłumy ludzi, ludzi wpływowych, co mu może przynieść mnóstwo zamówień. Nie pamiętam o jaką ilość tych modeli chodziło, fakt jest, że cokolwiek przesłał Jancie wszystko zaginęło podobno w pożarze na uniwersytecie. Po raz drugi ani modeli rzeźb, ani pieniędzy! Na skutek mojej interwencji wyszły listy z Filadelfii do Janty, ale niestety bez rezultatów oczekiwanych przez p. Stanisława.

Jedyną na poziomie wystawę ku uczczeniu pamięci Stanisława Szukalskiego zorganizowali w 2003 r. nie Polacy, a jego przyjaciele – Amerykanie w Laguna Beach Art. Museum w naszym Orange County. Wystawa była imponująca, wydano przy tym sporo pięknie ilustrowanych książek i albumów. Na czele tej wystawy stał znany amerykański aktor Leonardo Di Caprio⁷⁸, jego rodzina mieszkała w bliskim sąsiedztwie Szukalskich w Burbank. Młody Leonardo spędzał całe dnie w atelier Mistrza patrząc jak ten tworzy te piękne modele i na

⁷⁷ **Aleksander Stanisław Janta-Połczyński** – (1908-1974) polski prozaik, poeta, dziennikarz, publicysta, tłumacz, podporucznik kawalerii Wojska Polskiego, kolekcjoner, bibliofil.

⁷⁸ **Leonardo Di Caprio** w 2018 r. wyprodukował film dokumentalny (dostępny na platformie Netflix) pt. „Struggle: The Life and Lost Art of Szukalski” (Walka: życie i zagubiona sztuka Szukalskiego).

długich z nim pogaduszkach. W konsekwencji Szukalski stał się dla młodzieniaszka bohaterem i supermenem. W artykule na temat rzeźbiarzy odpowiedział „Szukalski yes, Rodin no!” Di Caprio pokrył również wysokie koszty tej wystawy. Szukalski zmarł w 1987 r. Byłam wówczas w Polsce, zawiozłam tam prochy mego Jurka, którego ostatnim życzeniem było być pochowanym w grobie Matki. Natomiast prochy Szukalskiego i jego żony Jean (zmarłą pewien czas przed Stanisławem, była drugą jego żoną, przemiłą Amerykanka, oddana całym sercem mężowi) zostały rozsypane na wyspie Easter at Rano Raraku przez sześciu jego przyjaciół Amerykańskich. Jak to się stało, że nie było Polaków?

Uwaga: teczka z papierami i pamiątkami po Szukalskim, łącznie z 20 pudłami informacji o działalności Polonii w Południowej Kalifornii, głównie o ludziach, którzy zjechali na ten teren po drugiej wojnie światowej, jest w posiadaniu:

REV. MSGR. DR. ROMAN NIR

ORCHARD LAKE SCHOOL

3535 INDIAN TRAIL ORCHARD LAKE, MI 48324

Ks. Dr. Nir ma pod swoją opieką Muzeum Polonii Amerykańskiej. Wiem, że przekazuje wiedzę o kolosalnym wkładzie Polonii Amerykańskiej do kultury polskiej, o patriotyzmie dla kraju naszego pochodzenia, o pomocy Polonii dla Polski w chwilach jej ciężkich zmagania i prześladowań i wreszcie o naszej głębokiej wdzięczności dla kraju, który nas tu przyjął, pozwolił nam tu żyć, kształcić się i pracować w pokoju i dobrobycie.

A na pożytek nowo przybyłych prosimy pamiętać, że Polonia w Stanach Ameryki Północnej nie zaczęła się od Solidarności i że ta najstarsza Polonia, ta „za chlebem” była najbardziej wartościowa i miała największe osiągnięcia.

Hanka Górska

Spis dokumentów i fotografii do publikacji:

1. Hanka i Jerzy Górscy w okresie narzeczeństwa, 1939 r.
2. Polowy ślub Hanki i Jerzego Górskich w Vatra Dorney, Rumunia, 23 września 1939 r.
3. Hanka Górską, lata 40-te XX w.
4. Jerzy Górski, lata 40-te XX w.
5. Powitanie na Union Station w Los Angeles, od lewej: Hanka Górską, dr Tadeusz Mrozowski, Jerzy Górski, 20 stycznia 1952 r.
6. Uroczystość poświęcenia sztandaru „Samopomocy” Stowarzyszenia Nowej Emigracji, piąta od lewej prezes „Samopomocy” Hanka Górską, 8 maja 1955 r.
7. Prezes „Samopomocy” Hanka Górską oraz Prezes Wydziału Stanowego Kongresu Polonii Amerykańskiej Izidor Brudziński wbijają w drzewce pamiątkowe gwoździe przy sztandarze Stowarzyszenia Nowej Emigracji, 8 maja 1955 r.
8. Zaproszenie na bankiet z udziałem gen. dyw. Tadeusza Bora-Komorowskiego zorganizowany z okazji 10 Wydziału Stanowego w Kalifornii Kongresu Polonii Amerykańskiej, 5 grudnia 1954 r.
9. Wizyta w Los Angeles gen. dyw. Tadeusza Bora-Komorowskiego (pierwszy z lewej), druga od lewej: Hanka Górską, 5 grudnia 1954 r.
10. Zaproszenie na przyjęcie z okazji 20 rocznicy ślubu Hanki i Jerzego Górskich, wierszyk okolicznościowy autorstwa Leopolda Jana Kronenberga (1891-1971), Los Angeles, 24 października 1959 r.
11. Dom Hanki i Jerzego Górskich, 364 South Orange Drive, Los Angeles
12. Zaproszenie na Bal Architektów organizowany przez „Samopomoc”, Los Angeles, 26 września 1959 r.
13. Wizyta gen. Stanisława Maczka w Los Angeles, obok z lewej strony: Hanka Górską, Los Angeles, 1954 r. (PRAWDOPODOBNIENIE)
14. Wręczenie Hance Górskiej dyplomu uznania przez Prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej Izidora Brudzińskiego, 12 marca 1960 r.
15. Dyplom w uznaniu zasług dla Hanki Górskiej przyznany przez Kongresu Polonii Amerykańskiej, 12 marca 1960 r.
16. Zaproszenie na Bal charytatywny i Akademię ku czci Żołnierza Polskiego w hotelu Ambassador w Los Angeles, 4 września 1961 r.
17. Gen. Kazimierz Sosnkowski, gość honorowy Balu i Akademii ku czci Żołnierza Polskiego w Los Angeles, 4 września 1961 r.
18. Powitanie na lotnisku w Los Angeles gen. Kazimierza Sosnkowskiego, wrzesień 1961 r.

19. Hanka Górską i gen. Kazimierz Sosnkowski na Balu charytatywnym ku czci Żołnierza Polskiego w Los Angeles, 4 września 1961 r.
20. Gen. Kazimierz Sosnkowski, pierwszy od lewej w pierwszym rzędzie, na Balu charytatywnym ku czci Żołnierza Polskiego w Los Angeles, trzecia od lewej w pierwszym rzędzie: Hanka Górską, 4 września 1961 r.
21. Podziękowania za gościnę dla Hanka Górskiej od gen. Kazimierza Sosnkowskiego, 30 września 1961 r.
22. Zaproszenie na bankiet organizowany przez Stowarzyszenie Polaków w Kalifornii „Samopomoc” dla Sylwina Strakacza, 17 marca 1973 r.
23. Sylwin Strakacz (drugi od lewej) i Hanka Górską (trzecia od lewej) podczas bankietu zorganizowanego przez Stowarzyszenie Polaków w Kalifornii „Samopomoc”, 17 marca 1973 r.
24. Hanka Górską podczas pobytu naukowego w Warszawie, 1975-1977, 4 zdjęcia
25. Hanka i Jerzy Górscy, 45 rocznicę ślubu, 1984 r.
26. Hanka Górską podczas spotkania z Janem Nowakiem Jeziorańskim i Jackiem Taylorem,
27. Zaproszenie na spotkanie z Prezydentem RP Lechem Wałęsą w Beverly Hills, Kalifornia, 23 marca 1991 r.
28. Hanka Górską (druga od lewej) przed domem Heleny Modrzejewskiej w Arden, Kalifornia, lata 90-te XX w.
29. Odznaczenie Hanka Górskiej krzyżem „Pro Ecclesia et Pontifice” za pracę na rzecz Domu Polskiego w Rzymie

Zdjęcia z Narodowego Archiwum Cyfrowego:

1. Marszałek Edward Rydz-Śmigły przed mikrofonem Polskiego Radia w Warszawie NAC
2. Ewakuacja polskiej ludności we wrześniu 1939 r. NAC
3. Żołnierze I Korpusu Polskiego podczas marszu w Szkocji NAC
4. Żołnierze I Korpusu Polskiego w Szkocji NAC
5. Żołnierze I Korpusu Polskiego w Szkocji NAC
6. Premier RP i Naczelný Wódz, gen. Władysław Sikorski w rozmowie z żołnierzami w Szkocji NAC